H. B. Fyfe

D-99

(D-99)

`

Pyramid Books, 1962
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the novel "D-99" by Horace B. Fyfe, published by Project Gutenberg, April 26, 2016 [EBook #51866].
According to the included copyright notice: "Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ I

Na dziewięćdziesiątym piątym piętrze Westervelt opuścił publiczną windę i przesiadł się do prywatnej, automatycznej kabiny, którą pojechał jeszcze cztery piętra w górę. Kiedy z niej wysiadł, ten ciemnowłosy, szczupły młodzieniec stanął przed wejściem do biura, na którego podwójnych, przeszklonych drzwiach widniała skromna tabliczka: „Departament 99”.

Przeszedł przez hol i dostał się do środka. Pomachał ręką w stronę małej blondyneczki siedzącej w kantorku centralki telefonicznej po prawej stronie drzwi i wszedł kilka kroków w głąb biura. Dwie sekretarki, z rzędu stojących przed nim biurek uniosły głowy, trzecie miejsce było puste. Za nimi długie okna wpuszczały do środka światło późnego popołudnia, nadając mu łagodną barwę.

— Czy masz to ze sobą, Willie? — spytała ciemnowłosa dziewczyna po jego lewej stronie. — Pan Smith chce, żebyś natychmiast do niego wszedł. Spodziewał się ciebie wcześniej.

— Mój lot z Londynu był opóźniony; po wylądowaniu robiłem, co mogłem — wyjaśnił Westervelt. — Przywiezienie tego urządzenia zajęło mi cały dzień. Pozwól mi przynajmniej zdjąć płaszcz!

Udał się w prawo, do skromnego biurka stojącego we wnęce utworzonej przez ścianę końcową biura i wysoką przegrodę, która otaczała centralkę telefoniczną.

— Jak ty możesz w tym chodzić? — spytała druga sekretarka, złotowłosa dziewczyna z leniwym uśmiechem na twarzy. — A tyle się mówi o kobiecych ubraniach! W tym roku, mężczyźni noszą okrycia wierzchnie wielkości namiotów.

Westervelt poczuł, że się rumieni, ku swej niechęci. Z trudem zdjął z siebie płaszcz, z jego wewnętrznych kieszeni wyjął podłużną paczkę i dużą kopertę, a następnie rzucił płaszcz na biurko.

Ledwo skończył to robić, gdy otworzyły się drzwi na przeciwległym końcu biura, za ciemnowłosą dziewczyną. Z sąsiedniego pomieszczenia wypadł człowiek, który wyglądał jeszcze szczuplej niż Westervelt, ponieważ miał jakiś cal lub dwa, powyżej sześciu stóp wzrostu. Jego szerokie czoło marszczyło się w skupieniu, przez co ciężkie brwi niemalże stykały się z wysoko osadzonym nosem. Podbródek mężczyzny wydawał się dłuższy poprzez nerwowe przeżuwanie dolnej wargi. Miał założone zarękawki i bardzo pilnie potrzebował fryzjera.

— Idę do pomieszczenia łączności, panno Diorio — rzucił do brunetki. — Mamy właśnie kolejne dziwne zgłoszenie!

Głośno tupiąc nogami zniknął pośpiesznie w korytarzu.

Sekretarka popatrzyła na Westervelta, z uśmiechem w kącikach ust. Wyciągnęła ręce do góry, lekko je obracając.

— Mówiłam ci przecież, żebyś od razu wchodził do środka — przypomniała mu.

— E tam, daj spokój, Si! A gdybym akurat był w drzwiach, kiedy on z nich wybiegał?

— W każdym bądź razie, co to jest? — spytała druga z dziewczyn.

Westervelt zmierzył ją dokładnie wzrokiem, kiedy wstała i podeszła do jego biurka. Pomyślał, że Beryl Austin byłaby powalającą kobietą, gdyby nie roztaczała wokół siebie tej atmosfery chłodu. Na wysokich obcasach była jedynie o cal niższa od niego. Twarz miała okrągłą, lecz o delikatnej strukturze kości, która czyniła ją dziwne piękną. Westervelt prywatnie był zdania, że dziewczyna psuła ten efekt, nosząc zbyt krótkie i zbyt precyzyjnie ułożone włosy. I za mocno rozjaśnione, dodał w myśli.

Mówiło się, że przed przyjściem do Departamentu wygrała dwa lub trzy pomniejsze konkursy piękności. To mogło tłumaczyć jej staranny makijaż i elegancką niebieską sukienkę, która tak pochlebnie układała się na jej ciele. Westervelt podejrzewał, na podstawie wskazówek rzucanych przez Simonettę Diorio, że nie były to wystarczające kwalifikacje do funkcji sekretarki, nawet w tak osobliwej instytucji jak Departament 99. Oczywiście, być może Smithowi chodziły po głowie pomysły, aby zrobić z niej agentkę terenową.

Wyciągnął przed siebie paczkę.

— W londyńskim laboratorium powiedzieli mi, że to jest specjalna latarka, która mogłaby uchodzić za zwykłą.

— Och, ta do sprawy Antaresa — wykrzyknęła Beryl. — Si mówiła mi, że wysyłała jej schematy. Pokazywali ci, jak ona działa?

— Dopóki nie naciśnie się dodatkowego przełącznika, daje tylko wiązkę zwykłego słabego światła — powiedział Westervelt. — Po jego naciśnięciu emituje serię błysków wystarczająco jasnych, aby porazić oczy.

— Po co im to, u licha? — spytała Beryl.

— Po co im to, na normalnej planecie, chciałaś powiedzieć! Na niektórych innych planetach, tubylcy są tak przyzwyczajeni do przyćmionego światła swoich czerwonych słońc, że tego rodzaju błysk, skierowany prosto w ich wrażliwe oczy, byłby w stanie pozbawić ich przytomności.

— To miejsce jest po prostu pełne brudnych sztuczek, takich jak ta — stwierdziła blondynka. — Dlaczego nie mogą uwolnić tych ludzi w jakiś inny sposób?

Westervelt i Simonetta popatrzyli po sobie. Beryl pracowała w Departamencie zaledwie od paru tygodni i wydawało się, że jeszcze nie do końca pojęła o co tutaj chodzi.

A może rozumiała to lepiej niż nam się wydaje, pomyślał Westervelt. Może nie wyglądałaby nawet w połowie tak mało inteligentnie bez tych fajnych wypukłości na piersiach.

— Niektórzy z podróżujących w kosmosie, po prostu wpadają czasami w kłopoty — powiedziała Simonetta. — Prawo różnych obcych ludów, które spotykamy w galaktyce, niekoniecznie musi mieć sens w odniesieniu do Terran.

— Ale dlaczego ludzie nie mogą trzymać się z dala od takich dziwacznych miejsc?

— Co byś zrobiła — spytał Westervelt — gdybyś znajdowała się na statku kosmicznym, który eksplodował gdzieś w pobliżu jakiegoś obcego układu planetarnego. I gdybyś uratowała się w szalupie ratunkowej, aby potem wylądować na pierwszej dobrze wyglądającej planecie, zaś miejscowi ufole aresztowaliby cię, ponieważ mają u siebie prawo zabraniające komukolwiek przelotu przez ich układ bez specjalnego pozwolenia?

— Ale jak mogliby ustanowić takie prawo? — zaczęła się dopytywać Beryl.

— A kto powiedział, że nie mogą? Na przykład, mogli mieć wcześniej wojnę z istotami z najbliższej im gwiazdy i zaczęli podejrzliwie spoglądać na wszelkiego rodzaju statki kosmiczne. Właśnie teraz mamy do czynienia z takim przypadkiem.

— Pracują nad tym od dwóch miesięcy — potwierdziła Simonetta. — Ci biedacy przez ponad miesiąc siedzieli pod kluczem, zanim ktokolwiek o nich usłyszał.

Beryl wzruszyła ramionami i wróciła do swojego biurka. Westervelt przyglądał się dziewczynie jak odchodzi, myśląc, że jej tylna elewacja też dobrze wygląda, dopóki nie przyszło mu do głowy, że Simonetta może obserwować jego wyraz twarzy. Blondynka usiadła i wygodnie się wyprostowała, aby się przeciągnąć. Gotów był założyć się o dziesięć kredytów, że zrobiła to tylko po to, aby mu dopiec.

— No cóż, ta praca jest interesująca — przyznała Beryl — ale nie widzę powodu, dla którego nie mógłby jej wykonywać Departament Stosunków Międzygwiezdnych. D.S.M. zatrudnia wyszkolonych dyplomatów i wie wszystko o kontaktach z kosmitami.

— Daj spokój, moja droga — odparła Simonetta. — Jak myślisz, skąd pochodzi twoja wypłata? Publicznie D.S.M. nie lubi się przyznawać do tego, że istniejemy. Aby ukryć powiązania między nami, nazwali nas po numerze piętra, na którym znajdujemy się w tym budynku, i mają nadzieję, że nikt nas nie zauważy.

— Wiedziałam, że pakuję się w coś nielegalnego! — wykrzyknęła Beryl.

— To zależy, jak na to patrzeć — stwierdził Westervelt. — Załóżmy, że jakiś terrański marynarz kosmiczny trafił gdzieś do więzienia za coś, co w Układzie Słonecznym nawet nie byłoby przestępstwem. D.S.M. protestuje, a ufole po prostu zaprzeczają, że go mają. Jak daleko można zajść na drodze dyplomatycznej? My spróbujemy wydostać go w inny sposób.

Podniósł „latarkę”.

— Teraz przekażą kosmofaxem plany tego gadżetu na Antares, naszym agentom terenowym. Natychmiast jak tylko jego egzemplarz zostanie wykonany i przemycony w odpowiednie miejsce, wszystko, co trzeba będzie zrobić, to przylecieć tam szybkim statkiem, aby zgarnąć naszego chłopca, zaraz jak tylko wydostanie się z więzienia.

— Skoro już mówimy o tym cudeńku — zasugerowała Simonetta — dlaczego nie zaniesiesz go do pana Smitha? Pewnie czeka na wiadomość w pomieszczeniu łączności.

Westervelt zgodził się z jej opinią. Wziął paczkę oraz kopertę z planami, i wyszedł na korytarz. Skręcił najpierw w prawo, wzdłuż podstawy korytarza w kształcie litery „U", a następnie w lewo, po minięciu drzwi na schody przeciwpożarowe w wewnętrznym rogu i prywatnego wejścia do biura Smitha, położonego naprzeciwko nich.

Ściany korytarza pokryte były szarym plastikiem, który w blasku świecącego się sufitu wyglądał delikatnie i jednostajnie. Podłoga, prawie czarna, była sprężysta, co tłumiło odgłosy kroków.

Idąc wzdłuż skrzydła litery „U", w które skręcił, Westervelt minął po prawej stronie drzwi do biblioteki departamentu i sali konferencyjnej, oraz po lewej drzwiczki oznaczone jako „Szyb". Za tymi ostatnimi znajdował się kawałek pustej ściany, za którą, jak wiedział, znajdował się specjalny szyb dla przewodów zasilających urządzenia komunikacyjne departamentu.

To miejsce było samowystarczalną jednostką, pomyślał. Miało własny sprzęt telewizyjny oraz radio podprzestrzenne do łączności z odległymi statkami kosmicznymi, choć większość rutynowych połączeń była przekazywana przez stacje przekaźnikowe na zewnętrznych planetach Układu Słonecznego.

Niektóre linie komunikacji z agentami terenowymi były powolne, ale wiadomości zazwyczaj docierały. Jeśli linie się zrywały, wysyłano kogoś, by przeszukał poufne dane, w poszukiwaniu okrężnego połączenia.

„Zastanawiam się, ilu z nas skończyłoby przed sądem, gdyby te dane stały się znane opinii publicznej?" pomyślał Westervelt. „Chciałbym zobaczyć, jak próbują poradzić sobie ze Smittym! Nawet tutaj przez większość czasu nikt nie jest w stanie go rozgryźć, a my jesteśmy co najmniej w połowie równie szaleni jak on."

Dalej, obok pomieszczenia łączności, departament miał nawet poufne laboratorium, do którego jednak zwykle wchodziło się z drugiego skrzydła korytarza, w którym znajdowały się również grupa wind, szyby i toalety. Laboratorium, tak naprawdę, było raczej magazynem osobliwych urządzeń i narzędzi wykorzystywanych dla potrzeb organizacji. Westervelt nie lubił tam chodzić, obawiając się zawsze, że niechcący coś uruchomi. Była to w zasadzie domena jedynego człowieka w departamencie, o którym wiedział, że kiedyś siedział w więzieniu kosmitów.

Robert Lydman był byłym marynarzem kosmicznym, który dołączył do zespołu po tym, jak został uratowany z takiego więzienia, w rozbijaniu których obecnie się specjalizował. Westerveltowi powiedziano, że pobyt wśród gwiazd sprawił, iż Lydman zrobił się nieco dziwny i prawdopodobnie dlatego nie wykorzystywano go już, jako agenta terenowego.

Doszedł do zamkniętego końca korytarza, i ostatnie drzwi po prawej, prowadziły do pomieszczenia łączności. Otworzył je i wsunął głowę do środka.

W pomieszczeniu było ciemniej niż na korytarzu. Operatorzy, którzy czasami musieli zmagać się z kiepsko przekazywanymi, niewyraźnymi obrazami na ekranach, woleli aby tak właśnie było. Filtry w oknach były ustawione w taki sposób, że na zewnątrz równie dobrze mogła być noc. Gdzieniegdzie świeciły się małe lampki przy różnych odbiornikach

radiowych lub urządzeniach do nagrywania taśm, a w tle słychać było nieustanny szum zakłóceń, zmieszany z cichymi gwizdami i pomrukami.

W tej chwili dyżurnym operatorem był Charlie Colborn, spokojny rudzielec, który trzymał szafkę pełną elektronicznych gadżetów do majsterkowania w wolnych chwilach. Smith siedział koło niego na krześle z prostym oparciem, obserwując znajdujący się przed Colbornem ekran.

Nadchodziła właśnie wiadomość z przekaźnika na Plutonie - Westervelt rozpoznał tamtejszego operatora, który powiedział coś krótko do Colborna przed przekazaniem samej wiadomości. Następną twarzą, niezbyt wyraźną z powodu wielokrotnie powtarzanego wzmacniania obrazu, było oblicze jakiegoś nieznajomego.

— Tu Johnson, z Tridenta — oznajmił mężczyzna. — Capella IV mówiła mi, że przekazała wam informacje na temat Harrisa. Zgadza się?

Smith przysunął się bliżej, aby obiektyw nadajnika mógł go również uchwycić. Westervelt wszedł do środka i znalazł sobie wolny stołek.

— Właśnie otrzymaliśmy transmisję — odparł Smith. — Powiedział pan, że ten marynarz kosmiczny jest przetrzymywany przez tubylców, a oni nie pozwalają panu się z nim skontaktować. Zgłosił pan to do D.S.M.?

Odległość i konieczność użycia przekaźników spowodowały kilkusekundowe opóźnienie transmisji, nawet przy ultranowoczesnym sprzęcie podprzestrzennym.

— Ja jestem przedstawicielem D.S.M. — oświadczyła twarz na ekranie po krótkiej pauzie. — Obok kilku innych funkcji, komercyjnych i urzędowych. Wie pan, na tym posterunku jest tylko kilku Terran. Tubylcy nawet się nie przyznają, że go mają.

— Więc skąd pewność, że go przetrzymują? I dlaczego nie możecie jakoś się do niego dostać?

— Wiemy, bo udało mu się wysłać wiadomość - tak nam się przynajmniej wydaje. — Johnson zmarszczył brwi z powątpiewaniem. — To znaczy udało mu się to zrobić, jeśli wierzyć… ee… posłańcowi. Zwróciliśmy się z zapytaniami do tubylców, ale nie da się przeprowadzić poważniejszego sprawdzenia, ponieważ ich cywilizacja ma charakter podwodny.

Smith zauważył obecność Westervelta.

— Willie — szepnął pospiesznie — zadzwoń i poproś jedną z dziewcząt, aby wpadła do biblioteki i przyniosła mi tom *Galatlasu* z Tridentem.

Westervelt rzucił swoją paczkę na stół i wybrał numer Beryl na najbliższym telefonie. W międzyczasie, z typowymi niesamowitymi przerwami, kontynuowana była międzygwiezdna rozmowa.

Zaginiony Terranin, który nazywał się Harris, wbrew wszelkim radom nalegał, aby w placówce na jednej z nielicznych wysp wodnej planety, przeprowadzić podwodne badania eksploracyjne przerobionym zwiadowczym statkiem kosmicznym. Ponieważ dziewięćdziesiąt pięć procent powierzchni Tridenta stanowiły oceany, Johnson miał tylko dosyć mgliste pojęcie o tym, dokąd udał się Harris. Chodziło o to, że badacz już od zbyt długiego czasu nie nawiązywał kontaktu. Tubylcy, morski lud, pochodzący od skorupiaków, które można było znaleźć na większej części dna oceanicznego, i który stworzył dosyć rozwiniętą cywilizację ze stałymi

miastami oraz pojazdami podwodnymi o napędzie odrzutowym, przyznali, że słyszeli o Harrisie, ale zaprzeczyli że mają jakąkolwiek wiedzę o miejscu jego pobytu.

— Więc zgłosiliśmy to do kwatery głównej sektora D.S.M. — podsumował Johnson. — Wysłali eksperta, aby nakłonił tridentiańskich urzędników do przybycia na płycizny w celu zorganizowania spotkania, ale nic z tego nie wyszło. Wtedy wezwaliśmy jednego z waszych agentów terenowych, a on skierował nas do was.

Beryl weszła cicho do pomieszczenia, niosąc wielką księgę. Westervelt wyciągnął po nią rękę, ale zdawała się go nie widzieć, dopóki nie poderwał się, aby zaproponować jej stołek.

Kiedy z powrotem skierował swoją uwagę na ekran, Smith domagał się jakichś informacji, których przemawiający z oddali Johnson zdawał się nie chcieć mu udzielić.

— Ale skoro oni wszystkiemu zaprzeczają, to skąd wiecie, że Harris nie zginął, tylko jest przetrzymywany w jednym z ich miast? Jak pan myśli, dlaczego uczyniono z niego taki swego rodzaju eksponat?

Johnson wahał się i chrząkał, ale w końcu wyznał.

Oprócz skorupiaków, mniej więcej wielkości człowieka, które były „cywilizowane", na Tridencie istniała jeszcze jedna forma inteligentnego - lub przynajmniej pół-inteligentnego - życia. Niejednokrotnie kontaktowano się z pewnymi dużymi, podobnymi do ryb mieszkańcami mórz planety, aby dostarczyli wiadomości członkom placówki badawczej. Tego rodzaju przesyły zawsze były szybko realizowane, poprzez kontakt jednej z „ryb" z innym przedstawicielem tego samego gatunku, który znajdował się we właściwym miejscu.

— Co pan powiedział? — dopytywał się Smith. — Telepatia? Telepatyczna ryba? O nie! Proszę nie prosić nas, aby… No cóż, chodzi mi o to, że… skąd pan wie, że one są wiarygodne?

Nastąpiły kolejne wymiany zdań w tym samym duchu. Westervelt przestał słuchać, kiedy zdał sobie sprawę, że Smith dał się przekonać, chcąc czy nie chcąc. W bezmiarach znanej galaktyki napotykano jeszcze dziwniejsze rzeczy, ale Smith zawsze zakładał, że wszystkie one były tylko spiskiem przeciwko Departamentowi 99. Westervelt wyjął księgę z uścisku Beryl i przerzucił strony, do pozycji o planecie Trident.

Przejrzał wstęp, który dotyczył współrzędnych galaktycznych i typu gwiazdy centralnej układu, i zrobił to samo z ogólnym opisem powierzchni i tego, co wiadomo było o formach życia tam występujących. Zebrana historia planety, od czasu jej odkrycia, była lakonicznie krótka.

„O, jest tutaj", powiedział sobie w myśli. „Gatunek życia przypominający w ogólnym układzie terrańskie ryby, mający około dwudziestu stóp długości. Podejrzewany o posiadanie jakiegoś nieokreślonego zmysłu, dzięki któremu osobniki tego gatunku mogą nawzajem lokalizować się na duże odległości. No cóż, cokolwiek zanim ukaże się w druku, zawsze jest już nieaktualne."

Ktoś zapalił jaśniejsze oświetlenie i Westervelt zdał sobie sprawę, że międzygwiezdna rozmowa dobiegła końca. Smith rozejrzał się. Wyciągnął

rękę po książkę, zdając się przyjmować za pewnik, że ktoś powinien wcześniej odnaleźć mu właściwą stronę.

— Nie mam pojęcia, jak mielibyśmy do niego dotrzeć — burknął, rzucając z trzaskiem tom na stół, aby przejrzeć artykuł.

Colborn zajął się jakimś niewielkim aparatem, który najwyraźniej montował. Tylko Beryl była pod wrażeniem słów szefa; pozostali wiedzieli, że Smith mówił tak o każdej nowej sprawie.

— Powiedzcie panom Lydmanowi i Parrishowi, że zwołuję naradę — poprosił szef departamentu. — Skorzystamy z pokoju obok.

Beryl i Westervelt zostawili Colborna, który podejrzliwie sprawdzał swoje urządzenie i ruszyli korytarzem. Przy drzwiach do głównego biura blondynka opuściła go, prawdopodobnie by przejść do narożnego gabinetu zajmowanego przez Parrisha, którego była sekretarką. Westervelt zastanawiał się nad daniem jej na drogę lekkiego klepnięcia, ale zmusił się do kontynuowania podróży w górę drugiego skrzydła „U".

Minął dwoje drzwi po lewej: kolejną salę konferencyjną i zapasowe biuro używane głównie do przechowywania starych akt. Drzwi po prawej prowadziły do toalet. Ten koniec korytarza nie był pusty, jak po drugiej stronie; kończył się on drzwiami z napisem „Laboratorium - wstęp wzbroniony". Ostatnie drzwi po lewej, odpowiadające umiejscowieniu pomieszczenia łączności, prowadziły do biura Lydmana.

Westervelt zapukał, poczekał aż odpowie mu głos zza drzwi, i wszedł do środka. Przez chwilę nikogo nie wiedział, po czym obrócił się w prawo, gdyż przypomniał sobie, że Lydman miał biurko na wewnętrznej ścianie, w niewielkim narożniku za drzwiami. Wszyscy inni, którzy mieli narożne biura, siedzieli przy oknach.

Stanął twarzą w twarz z ciężkim człowiekiem, którego rozjaśnione przez słońce krótkie włosy i opalona twarz wskazywały na znaczne ilości czasu spędzonego na świeżym powietrzu. Piękne, ciemnoszaro-niebieskie oczy spoglądały na niego tak długo, że Westervelt poczuł aż paniczną chęć ucieczki.

Zamiast tego odchrząknął i przekazał wiadomość Smitha. Lydman, przez kilka pierwszych chwil, zawsze miał na niego taki sam wpływ, chociaż wydawał się lubić Westervelta bardziej niż kogokolwiek innego w biurze, nawet do tego stopnia, że zapraszał go do domu na weekendy pływackie.

„Zawsze mam wrażenie, że patrzy przeze mnie na wskroś i z powrotem", pomyślał Westervelt, „a ja nie potrafię zajrzeć w niego ani na centymetr!"

ROZDZIAŁ II

Castor P. Smith siedział u szczytu stalowo-plastikowego stołu w sali konferencyjnej i pogwizdywał w zamyśleniu, czekając na swoich asystentów. Obok, w pomieszczeniu łączności, wymęczona melodia emitowana przez jego wargi, zostałaby potraktowana jako celowe zagłuszanie. Po kilku chwilach do środka weszła Simonetta Diorio, niosąc dyktafon, a on ocknął się, z uśmiechem uznania na twarzy.

— Nie zapomni pan go włączyć, kiedy pan zacznie, panie Smith? — poprosiła błagalnie.

— Do tej chwili, przez cały czas będę trzymał palec na przełączniku — uśmiechnął się. — Dzięki, Si.

Kiedy pozostał sam, powiedział sobie, że będzie musiał coś zrobić z tą reputacją, jaką zyskał - całkiem bezpodstawnie, jak sądził - człowieka kompletnie roztargnionego. W końcu trudno byłoby mu zapomnieć o nagrywaniu narady, jako że był to jego własny pomysł. W czasie dobrego dnia pracy, padało tak wiele pomysłów, że niektóre z nich z pewnością by przepadły, gdyby nie zostały zapisane na taśmie. Nawet tak doskonała stenotypistka jak Simonetta nie była w stanie zagwarantować, że nadąży za wszystkim, kiedy dwie lub trzy osoby mówiły jednocześnie.

Generalnie, jak przyznawał sam przed sobą, zwykle szybko kasował taśmę, nie mając potrzeby szukania jakiegoś genialnego rozwiązania. Jednakże ten jeden raz na tysiąc, który się pojawiał, sprawiał, że warto było zachować ostrożność.

Wpatrywał się ponuro w tomiszcze Galatlasu, które przyniósł z pomieszczenia łączności. Czasami w tej pracy tracił poczucie galaktycznego wymiaru spraw. Połączenia mogły pochodzić z gwiazd, o których nigdy nawet wcześniej nie słyszał.

„Szkoda, że nie mogę uzyskać trochę więcej pomocy od D.S.M., pomyślał. Nie chodzi tylko o to, że jedna sekretarka jest obecnie na urlopie; zawsze brakuje nam rąk do pracy. Nigdy nas nie wzmocnili kadrowo, odkąd stary Murphy wysadził się w laboratorium z tą małą rudą. Może z Williego coś wyrośnie. To zajmie jednak lata. Powinniśmy mieć jakiś ośrodek szkoleniowy.”

W opinii Smitha, powinni dysponować większą liczbą pełnoetatowych agentów w terenie, ale zdawał sobie sprawę z trudności związanych z ogromem przestrzeni znajdującej się pod wpływami Terran. Nawet rekrutacja była zawsze procesem prób i błędów. Zawarł różne robocze umowy z przypadkowymi kontaktami niezależnie pracującymi w kosmosie - przypuszczał, że nieoficjalnie tego właśnie od niego oczekiwano - i większość z nich funkcjonowała dobrze. Około tuzina rutynowych spraw było w tej chwili, gdzieś tam w kosmosie, prowadzonych przez pstrokatą gromadę jego własnych ludzi i na wpół pirackich tymczasowych

pomocników. Ponadto mieli jeszcze ze trzy gorące sprawy, które wymagały nadzoru z centrali.

„Zastanawiam się, czy dzisiejszego wieczora nie powinniśmy zostać w pracy trochę dłużej?" spytał sam siebie. „Z niechęcią myślę o proszeniu ich o to znowu, ale kto wie, co się stanie z tym nowym orzechem do zgryzienia?"

Uniósł głowę, kiedy wszedł Pete Parrish. Jego elegancki asystent przeszedł na drugi koniec stołu i zajął miejsce od strony okna.

— Słyszałem, że masz dla nas kolejną sprawę — przywitał Smitha.

Parrish był szczupłym mężczyzną w wieku trzydziestu sześciu lub trzydziestu siedmiu lat, mniej więcej średniego wzrostu, ale na tyle smukłym, że wyglądał na wyższego. Smith zdawał sobie sprawę, że jego asystent bardzo się starał zachować szczupłą sylwetkę. Jak sam twierdził, dobrze jeździł konno i był szybki w grze w squasha.

Fale na jego ciemnych włosach zostały nieco zredukowane przez staranną pielęgnację. Często się uśmiechał, a przynajmniej pokazywał lśniące zęby; ale kiedy tego nie robił, jego schludna, regularna twarz, w zdyscyplinowany sposób ułożona była w idealną maskę.

„Dzięki Bogu, że nie nosi jeszcze wąsów!", pomyślał Smith. To byłoby już zbyt wiele."

Był przekonany, że Parrish starannie przemyślał ten pomysł i zatrzymał się tuż przed krawędzią przesady. Było to typowe dla tego człowieka. Kiedyś był publicystą, potem sprzedawcą na Terrze i w kosmosie. Właściwie powinien być człowiekiem, któremu się ufa. Dopiero kiedy Departament natknął się na niego, Parrish znalazł okazję do wykorzystania swoich prawdziwych talentów. Był ekspertem w ocenianiu psychologii obcych i konstruowaniu sposobów, za pomocą których można było się do nich przebić.

Smith zdał sobie sprawę, że wpatruje się w Parrisha. Jedną ręką przejechał po karku, przypominając sobie, że musi się ostrzyc. Nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego ciągle o tym zapominał; przychodziło mu to do głowy za każdym razem, kiedy stawał twarzą w twarz z Parrishem. Postanowił, że następnego dnia przynajmniej założy świeżo wyprasowany garnitur.

Do środka wszedł Lydman, rozejrzał się po pokoju i usiadł tak blisko drzwi, jak tylko mógł, bez pozostawiania widocznego odstępu między sobą a innymi. Popatrzył przelotnie na Parrisha i uniósł jedną rękę, by sprawdzić szalik na swej szyi. Lydman ubierał się dyskretnie i prawdopodobnie wolałby mieć na szyi staromodny krawat niż jaskrawy szalik, który preferowała obecna moda.

„Zastanawiam się, dlaczego dostaję samych szajbusów?" Smith zapytał sam siebie, unikając spojrzenia pięknych oczu Lydmana i patrząc prosto pomiędzy nie. „Nawet dziewczyny - ludzie z romantycznymi wyobrażeniami o pracy pod przykrywką lub ci, którzy są nam winni jakieś przysługi wciąż przysyłają nam ślicznotki. Potem one albo wychodzą za mąż albo zaczynają zachowywać się tak w tak tajemniczy sposób, że ściągają na nas powszechną uwagę."

Czasami, musiał przyznać, wolałby już, żeby niektóre z nich wyszły za mąż i odeszły z departamentu. Parrish często pomagał w takich sytuacjach, co było sprawiedliwe, ponieważ to on większość z nich tworzył. Dwukrotnie rozwiedziony asystent nie stracił ciągle zainteresowania kolejnymi kobietami. A był tak samo dobry jeśli chodzi o kobiecą psychologię, jak w przypadku obcych.

— No dobrze, przypuszczam, że słyszeliście już coś o tej nowej awanturze — powiedział Smith, aby przerywać milczenie. — Po prostu nie wiem, jak mamy go stamtąd wyciągnąć. Cholerny głupiec dał się porwać na dno oceanu.

Zaczął przedstawiać fakty, o których do tej pory otrzymali informacje. Parrish przyjął je beznamiętnie; Lydman zaczął się krzywić. Były marynarz kosmiczny żywił szczególną urazę do obcych, którzy próbowali ukryć zatrzymanie Terran.

— Najpierw zobaczmy, na czym stoimy, zanim się tym zajmiemy — zasugerował Smith. — Podałem wam wystarczająco wiele informacji na temat Harrisa, żebyście mogli je sobie przemyśleć, w czasie kiedy zajmiemy się innymi sprawami. Wygląda to na coś, w czym wszyscy będziemy wziąć udział.

Czasami powierzał sprawę tylko jednemu z nich, ale byli przyzwyczajeni do wymiany między sobą informacji i propozycji rozwiązań.

— Ta sprawa dwóch marynarzy, którzy zostali przygwożdżeni za nieautoryzowane wtargnięcie do systemu Syssokan, wydaje się dojrzewać — przypomniał im. — Taranto i Meyers, pamiętacie.

— O tak — odparł Lydman tonem wycofania. — Te prochy.

— Zgadza się. Nie było problemów ze zdobyciem informacji o naszych ludziach, tylko ze zrozumieniem idiotycznego sposobu rozumowania, pozwalającego na utrzymanie prawa, które czyni przestępstwem lądowanie awaryjne na tej planecie. Terra, tak jak każdy inny gwiezdny rząd, ma tam prawo do jednego oficjalnego rezydenta. Na szczęście D.S.M., zanim go tam wysłał, podsunął mu niewielką notatkę o nas, i oto rezultat. Być może nawet już w tej chwili są oni na wolności.

— Niech pomyślę — zastanowił się Parrish. — Bob dał ci formułę na prochy, które praktycznie zawieszają czynności życiowe, prawda?

— Tak — potwierdził Lydman. — Liczymy, że ci dranie wyniosą ich ciała i pozbędą się ich. Grupa kosmicznych włóczęgów czeka, aby je odebrać.

— Nie ma powodu, dla którego ten numer miałby się nie udać — stwierdził Smith. — Różne jego odmiany utrzymują nas w biznesie. Któregoś dnia przejedziemy się, polegając na nim za bardzo, ale tym razem wygląda to dobrze. Jak idzie twoja sprawa z Greenhaven, Pete?

Parrish zawahał się przed odpowiedzią. Zastanawiał się, gładząc krawędź stołu wypielęgnowanymi opuszkami palców.

— Maria Ringstad — powiedział z namysłem. — Ci reporterzy powinni być bardziej ostrożni, powinni mieć jakąś wiedzę o cywilizacjach, w które się zagłębiają. Greenhaven raczej nie jest kolonią, w której można sobie

odgrywać dramaty historyczno-przygodowe. Przypuszczam, iż nigdy nie myślała, że będą sobie zawracać głowę jakąś tam reporterką.

— Czy w ogóle dowiedziałeś się, czego ona szukała na Greenhaven?

— Niczego, tylko tam przelatywała! — Parrish pstryknął palcami z pogardą. — Leciała liniowcem kosmicznym na Altair VII, aby zebrać materiały do książki. Statek zatrzymał się na Greenhaven, by dostarczyć przesyłkę z instrumentami laboratoryjnymi.

— Ci Zieloniacy — wtrącił Lydman — są równie szaleni jak ufole. Co to za sposób na życie!

— Zostali opisani jako najbardziej purytańska kolonia, jaka w ogóle wywodzi się z Terry — zgodził się Smith. — Aż strach pomyśleć, jakie życie musiałby tam prowadzić Pete.

Parrish uśmiechnął się, ale dosyć blado.

— Błąd panny Ringstad był dosyć prosty — powiedział. — W sklepie, w którym kupowała pamiątki, wywieszone były oficjalne ceny. Kiedy zaczęli twierdzić, że nie mają artykułu, który jej się spodobał, wykazała się na tyle złym gustem, aby zaoferować wyższą kwotę. Na Greenhaven jest to uważane za przekupstwo, brak moralności i przestępstwo gospodarcze, żeby wymienić tylko najważniejsze kwestie.

Smith westchnął.

— Dlaczego te młode dziewczyny kręcą się gdzie się da i robią…

— Nie wydaje mi się, żeby można było ją określić dokładnie jako dziewczynę — wtrącił Parrish.

— No cóż, a więc ta dama…

— Tego też bym nie gwarantował.

Smith wzruszył ramionami i wydął usta.

— W tych sprawach jesteś lepszym sędzią niż ja — przyznał niewinnie. — Ustępuję wobec wyższych kwalifikacji.

Lydman wyszczerzył zęby w uśmiechu. Parrish zachował swoją maskę.

— Przypuszczam, że to może uczynić tę sprawę jeszcze bardziej dla niej niebezpieczną — kontynuował Smith. — Zapomniałem, jak brzmiał jej wyrok, ale przyjmijmy, że w więzieniu też zacznie się wymądrzać. Czy przejdzie tam jej zgryźliwy terrański humor?

— W żadnym wypadku — odparł z naciskiem Parrish. — Nie spodziewałbym się, że w dzisiejszych czasach mogliby ją spalić na stosie, ale pewnie by o tym wspomnieli, jako o jednym ze starych, dobrych rozwiązań. Na szczęście, to że oni tam mówią i piszą po terrańsku, ułatwia nam załatwienie tej sprawy. Wszyscy Terranie są dla nich czarnymi grzesznikami, lecz w ich portach kosmicznych potrzeba im wielu Terran. Mamy wśród nich paru agentów. Jeden z nich zamąci w papierach, aby ją uwolnić.

— Wolałbym podłożyć im bombę — powiedział Lydman, niemal do siebie.

Smith często dziwił się, że tak surowy mężczyzna mówi takim cichym głosem. Czasami Lydman wydawał z siebie wręcz monotonny, ledwie słyszalny pomruk.

— Mamy nadzieję, że uda nam się zatrzeć wszystkie ślady — dodał Parrish. — W przeciwnym razie doprowadzi to do zwykłych not

dyplomatycznych, a D.S.M. napomni nas, że nigdy nie zostaliśmy upoważnieni do robienia takich rzeczy.

— Tak — potwierdził Smith, kiwając ze znużeniem głową. — Prawdę mówiąc, to nasze konkretne obowiązki nigdzie nie zostały spisane; nie ma też niczego, czego by nam zabraniano robić - o ile się to powiedzie. No cóż, nikt z nas pewnie nie doczeka dnia, w którym D.S.M. publicznie przyzna się do nas do tego stopnia, żeby ścięli nam głowy i potoczyły się one do kosza. Ale na mnie już kwękali za to, że pojawiły się skargi w sprawie Gersona.

Lydman siedział ze wzrokiem wbitym w zaciśnięty w wielkiej dłoni ołówek. Teraz uniósł głowę, wyczuwając ingerencję w jeden ze swoich projektów.

— Ale jakim cudem Yoleenici mogliby się skarżyć? Twierdzą, że nawet nie mają Gersona!

— Spokojnie! — uspokoił go Smith. — Pamiętasz, że mamy tam ambasadę oraz port kosmiczny, na których się opierałeś. Kazałeś im się tam rozejrzeć, prawda?

— Musiałem jakoś potwierdzić raport. Mieliśmy tylko historię o porwaniu od kapitana tego frachtowca. To mogła nie być prawda.

— Zdaję sobie z tego sprawę — stwierdził Smith.

— To nie byłby pierwszy raz, kiedy marynarz zostałby porzucony, bo nie odliczył się przed startem - albo dlatego, że nie był mile widziany w pobliżu, w czasie wypłaty.

— Pewnie — zgodził się gładko Parrish. — Mógłbyś wiele nam o tym opowiedzieć.

Lydman odwrócił głowę, by zmierzyć go wzrokiem, tak nagle, że zapadła między nimi cisza. Parrish niepewnie odwrócił wzrok i sięgnął do kieszeni bordowej marynarki po pudełko papierosów. Zajął się przypaleniem jednego z nich, korzystając z chemicznej zapalniczki umieszczonej na dnie pudełka.

„Pewnego dnia będę musiał ich rozdzielać”, pomyślał Smith, „a nie jestem na to wystarczająco duży. Jak moja żona ma czelność powiedzieć, że sąsiedzi nie wiedzą, co sądzić o takim przeciętniaku jak ja, tylko dlatego, że nie mogę rozmawiać o swojej pracy?”

— W każdym bądź razie — oznajmił spokojnie — uznali, że nawet pytanie ich o ten incydent jest obraźliwe. Wydawało się, że wstrząsnęło to u nas najgrubszymi rybami.

— A co oni wiedzą o Yoleen? — warknął Lydman, rezygnując ze świdrowania wzrokiem Parrisha.

— Kompletnie nic, prawdopodobnie. Podejmują decyzje na podstawie tego, ile palców u rąk sobie ostatnio przytłukli. W tej chwili wygląda to na rutynową panikę. To mi przypomniało, że miałem skontaktować się w tej sprawie z Emilem Starke.

Odsunął krzesło i podszedł do pobliskiego stolika z telefonem. Włączył ekran i dźwięk i czekał, aż odezwie się urocza blondynka w centralce.

— Pauline, połącz mnie z Emilem Starke w D.S.M., proszę. Numer wewnętrzny 1563.

— Tak, panie Smith — powiedziała Pauline i zniknęła z ekranu.

W ciągu kilku chwil Smith przywitał się z mężczyzną około pięćdziesiątki, siwym na skroniach do tego stopnia, że wydawał się aż przesadnie dystyngowany.

— Posłuchaj, Emil — powiedział, przechodząc do rzeczy po tym, jak wymienili grzeczności dotyczące rodzin i dzieci. — Mam sprawę dotyczącą planety o nazwie Yoleen…

Mężczyzna na ekranie już kiwał głową.

— Tak, słyszałem, że dziś rano pytano cię o to — odparł z uśmiechem. — Ufam, że zachowałeś zimną krew?

— Co im tam wpadło do głowy? — spytał Smith.

— Wygląda na to, że Siły Kosmiczne niepokoją się Yoleenitami. Nie są w stanie ocenić tej cywilizacji, jako spokojnej. Zdaje się, że aby się zabezpieczyć, od czasu do czasu rozsyłają ostrzeżenia o możliwości wrogich stosunków z nimi.

— Coś w tym jest?

Starke skrzywił się lekko.

— Mało prawdopodobne. Paru chłopaków na górze za mocno się zdenerwowało.

Smith zachichotał. Ludzie „na górze” przychodzili i odchodzili, ale Starke i jemu podobni zarządzali wszystkim już od dawna i wiedzieli, co się dzieje.

— Więc mogę kontynuować, bez zbytniego zacierania śladów? — spytał. — Nie będę musiał otwarcie okłamywać szefa?

— Jeśli dasz mu parę dni, aby spojrzał na to z drugiej strony — zapewnił go Starke — to będzie chciał wiedzieć, dlaczego nie podjąłeś żadnych kroków. Podejmij je więc wcześniej!

Smith podziękował mu za radę, rozłączył się i wrócił na swoje miejsce przy stole. Pozostali skinęli głowami, potwierdzając, że usłyszeli.

— Mam przeczucia co do tych Yoleenitów — mruknął Lydman.

Smith czekał na dalsze wyjaśnienia, ale wielki mężczyzna pogrążył się w kontemplacji. Pozostała dwójka popatrzyła na niego, a potem po sobie nawzajem. Parrish lekko wzruszył ramionami. Smith przygryzł dolną wargę.

— W takim razie masz kontynuować to, co zaplanowałeś — przypomniał Lydmanowi.

— Och, jasne! — odpowiedział były pilot, wyrywając się ze stanu zamyślenia. — Nie mógłbym tego przerwać. Już wcześniej wysłałem mu coś przydatnego.

Pozostali uśmiechnęli się. „Coś przydatnego” było określeniem Lydmana na sprytnie zaprojektowane narzędzie do ucieczki. Smith miał nadzieję, że w tym przypadku nie będzie to bomba.

— Wykopaliśmy z akt plany małego mechanicznego szperacza — mówił dalej Lydman. — Yoleenici zdają się budować swoje miasta jako konglomeraty wielu pueblo, bardzo skomplikowane i prawie pozbawione zewnętrznych ulic. Prawdopodobnie, aby dotrzeć do Gersona trzeba by było pokonać sto różnych wewnętrznych dróżek, nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie on się dokładnie znajduje. Ten gadżet jest dostosowany do określonych temperatur ciała, które może wykryć z pewnej odległości.

— A Gerson jest tam jedyną żywą istotą o temperaturze ciała trzydzieści siedem stopni.

— Dokładnie. Oczywiście, urządzenie ma wpisany ogólny kierunek i wzorzec wyszukiwania. To najlepsze, co mogli zrobić, ponieważ chłopcy mają tylko przybliżone pojęcie o tym, gdzie może znajdować się jego cela.

— Wygląda to na coś zbyt łatwego do przechwycenia — sprzeciwił się Parrish.

— Trochę mnie to martwi — przyznał Lydman. — Jednak gorzej byłoby na coś się władować, a nie da się wysłać człowieka, bo tamci twierdzą, że w ogóle nie mają Gersona. Ten gadżet jest przynajmniej ustawiony na trzymanie się ciemnych zakamarków.

— A jak to coś go wydostanie? — kontynuował Parrish.

— Szperacz ma wbudowany mały kieszonkowy odtwarzacz muzyczny z mikro kasetami, które mogą być naprawdę odtwarzane przez kilka godzin. Oni nie będą mieli pewności, że Gerson od początku nie miał go przy sobie - o ile w ogóle go zauważą. Kiedy Gerson otworzy tylną klapkę, jak poinstruuje go mała wstawka w pierwszym utworze, będzie miał miniaturową spawarkę dostatecznie gorącą, aby wybebeszyć każdy zamek jaki znajdzie się między nim a światem zewnętrznym.

— Przypuszczam, że ktoś będzie na niego czekał? — spytał Smith.

— Jasne. A kiedy już opuści to miejsce, Yoleenici nie będą mogli żądać od nas zwrotu tego, czego jak twierdzą, nigdy nie mieli. Zostanie zabrany do ambasady i na pierwszy statek! I mam nadzieję, że po drodze zabije paru drani - nie będą mieli nawet podstaw do żadnej oficjalnej skargi!

Pozostała dwójka przez chwilę unikała jego spojrzenia. Parrish poruszył się niespokojnie.

— Mam nadzieję, że tak… Chodzi mi o to, że ci Yoleenici budzą we pewien mnie niepokój, podobnie jak w tobie, Bob. Doświadczenie podpowiada mi, że niektóre z tych mrówczych cywilizacji myślą w dziwny sposób. Nic dziwnego, że Siłom Kosmicznym trudno ich zrozumieć! Zalecam otwarcie generalnej kartoteki na ich temat.

— Może to i dobry pomysł — zgodził się Smith. — Niewykluczone, że w przyszłości będziemy mieli z nimi więcej do czynienia.

Odsunął krzesło i wstał.

— Zróbmy sobie teraz przerwę, a ja sprawdzę, czy nie przyszły jakieś nowe raporty. Potem może uda nam się coś ustalić w sprawie tego nowego bałaganu.

ROZDZIAŁ III

Louis Taranto siedział na piętach oparty o ścianę celi z wypalonej gliny, obserwując pot spływający po twarzy swojego towarzysza. Choć osobiście uważał Harveya Meyersa za człowieka słabego, do tej pory powstrzymywał się przed tego rodzaju sugestiami. Siedzieli w tej dziurze razem i mógł potrzebować jego pomocy, aby się z niej wydostać - o ile w ogóle było to możliwe.

Meyers rozsiadł się na pojedynczej ławce, którą zapewnili im strażnicy, wpatrując się żałośnie w ordynarny stół, na którym opierał łokcie. Był niezwykle spokojny, jakby gorąco pozbawiło go resztek energii.

„Niechlujny gnojek!" pomyślał Taranto. „Mógłby przynajmniej uczesać włosy!"

Od czasu do czasu pozwalano im korzystać z przyborów toaletowych, które Syssokanie otrzymali od jednego z oficjalnie przebywających na planecie Terran. Taranto golił się dzień wcześniej, ale jego towarzysz nie zawracał sobie tym głowy już od ponad tygodnia. Meyersowi brakowało może cala do pełnych sześciu stóp wzrostu i musiał ważyć ze dwieście terrańskich funtów. Miał wydatne usta, między pulchnymi policzkami. Jego małe, niebieskie oczka wydawały się zawsze wścibskie, z wyjątkiem okresów takich jak obecnie, kiedy siedział i użalał się nad sobą. Był medykiem na tym samym statku kosmicznym, na którym Taranto służył jako mechanik systemów wentylacyjnych.

— Dobrze, że nigdy nie byłem chory — mruknął pod nosem Taranto.

Meyers uniósł głowę.

— Hę?

— Powiedziałem, że cieszę się, że nigdy nie byłem chory — powtórzył swoją myśl Taranto, myśląc: „Niech to rozgryzie, jeśli mu się uda!".

— To gorąco wystarczy, żeby każdy się rozchorował — narzekał Meyers. — Dlaczego w ogóle muszą nas trzymać na najwyższym piętrze wieży?

— Spodziewałeś się luksusowego apartamentu w piwnicy? Czy byłeś w jakimś więzieniu, w którym więźniowie otrzymywali to, co najlepsze?

— A kto mówił, że w ogóle kiedykolwiek byłem w więzieniu? — dopytywał się defensywnie Meyers.

Taranto uśmiechnął się lekko, ale nic nie odpowiedział. Po chwili jego współwięzień wrócił do studiowania blatu stołu. Oddychał głośno, a ramiona mu falowały, jakby podczas biegu. Chcąc uniknąć tego widoku, Taranto po raz tysięczny powiódł wzrokiem po ścianach kwadratowej celi.

Wielkie bloki wypalonej gliny zmieniły kolor z ciemnego brązu na szary w półmroku sączącym się przez cztery małe otwory okienne. Nad ich głowami ściany zakrzywiały się, tworząc razem wysoki łuk, który stanowił wierzchołek wieży. Oprócz stołu i ławy, w pomieszczeniu znajdował się

wysoki na jard gliniany dzban na wodę, drewniane wiadro, poobijany miedziany garnek do gotowania i sterta grubej słomy, na której leżały dwie szare koszule, które terrańscy marynarze zrzucili z siebie w panującym upale. Pośrodku podłogi znajdowały się drewniane zapadniowe drzwiczki, którym Taranto przyglądał się z namysłem.

Przypomniał sobie, że musi zdusić w sobie chęć roztrzaskania głowy kolejnego Syssokanina, która pojawi się w otworze wejściowym.

— Zbliża się czas — zauważył po kilku minutach.

Meyers zerknął na skrawki nieba widoczne przez okna. Blask syssokańskiego światła dziennego już przygasał. Wcześniej pojawiła się jakaś chmurka lub dwie, lecz obecnie albo się rozwiały, albo zniknęły w pogłębiającej się szarości nieba.

— Nasłuchuj przy drzwiach! — rozkazał Taranto, zniecierpliwiony koniecznością przypominania o tym współwięźniowi.

Wstał, otarł pot z twarzy dłońmi obu rąk i potarł nimi o uda szarych spodni. Był o kilka centymetrów niższy od Meyersa i co najmniej dwadzieścia funtów lżejszy, lecz jego nagie ramiona miały potężnie wybrzuszenia. Niewielka ilość tłuszczu łagodziła mu linie brzucha, nie ukrywając faktu istnienia pod spodem solidnej warstwy mięśni. Poruszał się ciężkim, lecz miękkim chodem, jak duży drapieżnik, którego naturalna gracja ujawnia się dopiero przy jego maksymalnej prędkości.

Meyers przyglądał mu się z niechęcią.

„Dlaczego nie udało mi się dotrzeć do którejś z pozostałych rakiet ratunkowych?" spytał po raz setny sam siebie. „Wyobraźcie sobie bandę szalonych dzikusów, którzy twierdzą, że nawet lądowanie tutaj jest przestępstwem!"

Przypuszczał, że Taranto mógł wskazać na spore miasto, w którym byli przetrzymywani, gdyż gdzieś usłyszał, że Syssokanie nazywani są dzikusami. Meyers uważał, że kłopot z Taranto polegał na tym, że był zbyt fizyczny, zbyt głupi, i niweczył wszelkie wysiłki Meyersa, aby wyciągnąć ich z kłopotów.

„Znalazłbym lepszy sposób na wyjście z tej sytuacji", pomyślał.

Żałował, że nie znalazł się w rakiecie z jednym z oficerów statku, który mógłby znać sytuację na Syssoce. Weszliby na orbitę wokół gwiazdy tej planety i wysłali wezwanie o pomoc do najbliższej terrańskiej bazy lub statku. Zaś w obecnej sytuacji mogli zostać uznani za zaginionych, nawet jeśli inne rakiety zostały namierzone. Kurs, na którym znajdowali się przed eksplozją, został wyznaczony tak, aby ominąć ten system z dużym marginesem.

Taranto, jak sobie przypomniał, uznał, że mieli szczęście, iż udało im się na przyrządach małego statku ewakuacyjnego wykryć jakąś planetę. Taranto, stwierdził Meyers, uważał się za świetnego pilota, ponieważ spędził już kilka lat w kosmosie. Nie wyglądało to tak dobrze, kiedy prowadził rakietę przez ten skalisty grzbiet górski na pustyni. Powinni byli podjąć ryzyko lądowania w tym mieście.

Mieli ledwie czas na rozprostowanie kości po wylądowaniu, kiedy dostrzegli szybko zmierzającą ku nim grupę Syssokan. Dotarcie do wraku szlupy nie zajęło tubylcom dużo czasu. Potrafili nawet mówić po terrańsku,

i to wcale nie uproszczonym terrańskim. Potem okazało się, że nie lubią, kiedy przybysze z kosmosu, niezależni od rasy, lądują u nich bez pozwolenia. Kiedyś doszło do wojny z sąsiednim układem gwiezdnym i zgodnie z prawem, na Syssoce mógł przebywać co najwyżej jeden przybysz z dowolnej rasy, z wyjątkiem krótkich wizyt licencjonowanych statków kosmicznych.

— Co się dzieje z naszym rządem? — mruknął Meyers.

— Co? — spytał Taranto, odwracając się od jednego z okien.

— Pytałem, co się dzieje z terrańskim rządem? Dlaczego nie zrzucą tu paru bomb i nie pokażą tym skórzastym świrom, kto rządzi galaktyką? Kimże oni są, żeby wyzywać nas od kosmitów?

Taranto ponownie odwrócił się do osiemnastocalowego kwadratowego okna, umiejscowionego tak jak pozostałe trzy, na środku ściany na wysokości jego ramion.

— Rozstawiają na murach miasta posterunki na noc — powiedział do Meyersa. — To powinno się pojawić tutaj lada chwila.

— Jeśli się w ogóle pojawi — burknął zrzędliwie Meyers. — Z tym też coś pewnie pójdzie nie tak.

Jego towarzysz splunął przez okno wychodzące na główną część syssokańskiego miasta, po czym podszedł do okna znajdującego się na przeciwległej ścianie. Nad pustynią lśniły już na niebie tutejsze obce układy gwiazd. Powietrze owiewające teraz jego wilgotną twarz zrobiło się nieco chłodniejsze.

„Powinienem powiedzieć o tym temu gnojkowi?”, zastanawiał się. „Nie – przyleciałby tu aby zająć się tylko wdychaniem! Niech się poci, byle siedział i nasłuchiwał Syssokanów!”

Meyers opuścił swoją ławkę i kucnął nad drzwiami w podłodze. Nie było powodu, aby w najbliższym czasie spodziewać się strażników, ale Syssokanie mieli zwyczaj pojawiania się o najdziwniejszych porach. Wieczorny posiłek przynoszono im jednak zwykle długo po zmroku.

— Myślisz, że naprawdę da radę tu dotrzeć? — spytał Meyers. — A jeśli to zauważą?

Taranto chrząknął. Obserwował coś, co wydawało mu się jednym z latających owadów, od których gęsty był syssokański półmrok. Sekundy później odsunął się od okna, kiedy przez jego otwór wleciało coś wielkości ołówka, z dwoma parami machających skrzydeł.

Zaczęło latać wokół ciemnej celi. Meyers począł wymachiwać rękoma wokół głowy. Za trzecim kółkiem, owad przeleciał w zasięgu ramion Taranto, a ten uderzył go w powietrzu, kocim wymachem lewej ręki. Robal upadł u podstawy ściany i drgał przez kilka chwil.

Meyers popatrzył na swojego towarzysza, przyglądając się lekko spłaszczonemu nosowi i mięsistym policzkom, które nadawały Taranto zwodniczo pulchny wygląd.

— Jesteś szybki — przyznał. — Na statku mówiło się, że kiedyś byłeś bokserem. Co sprawiło, że zostałeś marynarzem kosmicznym?

— Jestem za niski — odparł lakonicznie Taranto. — Pięć stóp i osiem, a wyrosłem na lekko-ciężką.

— A co to miało z tym wspólnego?

— Przez jakiś czas szło mi dobrze. Kiedy dałem radę ich dopaść, padali na deski i już z nich nie wstawali. Potem nauczyli się trzymać mnie na dystans i uciekać. Musiałem albo wyhodować sobie dłuższe ręce, albo zrezygnować.

— Może powinieneś był zrezygnować od razu — zauważył Meyers bez żadnego powodu, z wyjątkiem tego, że żywił do Taranto urazę i winił go za ich trudną sytuację.

— A dlaczego miałbym to robić? — spytał Taranto, patrząc na niego zimnym wzrokiem. — To były niezłe pieniądze. Nawet po kuracji łuków brwiowych miałem na Terrze niezłe gniazdko. Tak naprawdę, to nic po mnie nie widać, z wyjątkiem nawyku noszenia krótkiej fryzury.

Meyers przeczesał palcami swoje rozczochrane włosy.

— A skąd ta krótka fryzura? — spytał.

— Och… włosy nie falują tak bardzo w powietrzu, kiedy dostaje się cios. Wygląda to lepiej dla sędziów.

Meyers chrząknął. „On naprawdę wierzy, że tego po nim nie widać!”, pomyślał.

Nagle pochylił się, aby przyłożyć ucho do zapadniowych drzwi. Grymas rozdrażnienia wykrzywił mu twarz.

— Są na drabinie — wyszeptał. — Kto by pomyślał?

Wyprostował się i miękkim krokiem wrócił na swoją ławkę. Taranto pozostał przy oknie. Uznał, że było to dla niego całkowicie naturalne miejsce.

Kilka chwil później drzwi w podłodze skrzypnęły, wpuszczając do celi żółte światło. Pochodziło ono z niezgrabnej latarni elektrycznej trzymanej przez pierwszego Syssokanina, który wszedł do pomieszczenia. Dwóch innych podążało za nim, sugestywnie wymachując pistoletami, które na Terrze już dwa wieki wcześniej uznano by za prymitywne.

Osobnik ze światłem był typowym przedstawicielem swojej rasy, wysokim humanoidem o bladej, zielonkawo-szarej skórze pokrytej drobnymi łuskami. Jego nos był bardziej płaski niż u terrańskiej małpy, a podbródek składał się głównie ze zwisającej fałdy łuskowatej skóry. Uszy miał osadzone bardzo nisko na wąskiej, spiczastej czaszce. Od czasu do czasu wykonywały one drobne ruchy, jakby chciały się złożyć.

Syssokanie ubrani byli w stroje, niezbyt odbiegające od luźnych pozbawionych rękawów piżam, na które zakładali skórzaną uprząż na broń. Ubiór przywódcy był czerwony, lecz pozostała dwójka nosiła na sobie matowy brąz.

— Wszszysstko w porządku? — spytał ten, który dowodził, wpatrując się w celę dużymi, czarnymi oczyma.

— W porządku — odparł twardo Taranto.

Pomyślał, że Syssokanin nigdy nie odpowiedziałby w taki sposób. Byli dumni ze swoich niezwykłych zdolności lingwistycznych i niemal wszyscy posługiwali się trzema lub czterema obcymi językami. Jedynie niefortunna niezdolność do kontrolowania nadmiernie długiej wymowy głosek syczących, szpeciła ich terrańską wymowę. Taranto miał ochotę przetrzeć sobie twarz, ale zdał sobie sprawę, że to tylko pot.

Syssokanin krążył po pomieszczeniu, badając szybkimi spojrzeniami każdy z prostych mebli. Zwrócił uwagę na jedzenie pozostawione w miedzianym garnku. Sprawdził poziom wody w dużym słoju. Znalazł martwego owada, którego powąchał i wsunął do sakiewki przy pasie. Gdy mijał Taranto, ten popatrzył na niego z wyrzutem.

Syssokanin trzymał się poza jego zasięgiem.

— Zosstaliśście osstrzeni, że macie przesstrzegać tutaj wszszysstkich rozzkazzów — oznajmił, spoglądając na dwóch Terran.

— O co tym razem chodzi? — spytał Meyers, kiedy stało się jasne, że Taranto z pokerową twarzą nie zamierza się odzywać.

— Było pytanie od Terranina, którego wpuśściliśśmy na naszszą planetę. Sskąd mógł wiedzieć o waszszych sskargach? Powiedziano mu tylko o waszszym sskazzaniu.

— Mówiliśmy, że będą protesty ze strony naszego rządu — odparł Meyers. — Jedyne, co zrobiliśmy, to wylądowaliśmy na waszej planecie w sytuacji awaryjnej. Z największą chęcią ją opuścimy. Nie macie prawa trzymać nas w zamknięciu, w takich warunkach.

— To było pogwałcenie naszszego prawa — oznajmił beznamiętnie Syssokanin. — Automatycznie trafiliśście do więzienia. Pozzwalamy u nass mieszkać tylko jednej ossobie zz nieba. Kto mógłby powiedzieć waszszym, że narzekacie na to miejssce?

— Posłuchaj no, lepiej uważaj na nas, Terran! — warknął Meyers. — Mamy sposoby…

— Zamknij się! — przerwał mu Taranto, nie podnosząc głosu.

Zrobił mały kroczek do przodu, ale zatrzymał się, gdy dwóch strażników przy zapadniowych drzwiach zwróciło na niego uwagę.

Syssokanin z latarnią również odwrócił się do niego. Taranto popatrzył na niego przez ramię. Okno było czarne; zmierzch na Syssoce trwał krótko.

Meyers zarumienił się i spoglądał na niego groźnie, z wyciągniętą dolną wargą, ale lodowaty rozkaz Taranto pozbawił go wiatru w żagle.

— Może mieliśście za dużo wody — zasugerował Syssokanin, przyglądając się Taranto z zainteresowaniem. — Jeśśli cośś zrobiliśście, lepiej mi od razu powiedzcie.

Taranto odwzajemnił jego spojrzenie. Zastanawiał się, dlaczego wszyscy Syssokanie, których widział, choć raczej wątłej budowy, byli stosunkowo grubi. Wyglądali, jakby kilka solidnych haków w korpus mogło znaleźć miękki cel.

Było mało prawdopodobne, by Syssokanin potrafił odczytać wyraz twarzy obcego Terrana. Prawdopodobnie to napięcie w postawie Taranto sprawiło, że tubylec się cofnął.

Terranin wytężył słuch, aby wychwycić wszelkie nietypowe odgłosy za oknem, podczas chwili ciszy jaka w tej chwili nastąpiła. Nie usłyszał jednak niczego poza warkotem nocnych owadów.

Strażnik ponownie obszedł dokoła celę, a Taranto sklął siebie w duchu za wzbudzenie podejrzeń. Być może, miał nadzieję, to tylko irytacja.

„Ale co ja mogłem zrobić?” spytał sam siebie. „Pozwolić, żeby Meyers się wygadał?”

W końcu, ponieważ Taranto odpowiadał monosylabami, a Meyers był zastraszony nienaturalną powściągliwością swojego towarzysza, Syssokanie odeszli. Ciemność ogarnęła Terran, którzy wsłuchiwali się w skrzypienie drabiny pod zapadniowymi drzwiami.

— Daj im chwilę czasu — poradził Taranto, słysząc, jak Meyers kieruje się w stronę wyjścia.

Czekali w milczącej ciemności, aż Meyers nie mógł dłużej tego wytrzymać.

— Nie wrócą — wyszeptał.

— Upewnij się — polecił krótko Taranto. — Przyłóż ucho do drewna!

Podszedł do okna wychodzącego na miasto. Po upalnym dniu powietrze wpadające do środka było teraz niemal zimne; rozważał założenie koszuli. Świadomość, że będzie musiał grzebać w stercie słomy, dała mu jednak do myślenia. Następna myśl, wspomniała mu ponadto, że może znaleźć niewłaściwą koszulę, co już całkowicie go zniechęciło.

Jego oczy przyzwyczaiły się już do nocnych ciemności na tyle, że był w stanie dostrzec niskie wzgórza pustyni w miejscach, gdzie wyrastały one ponad linię horyzontu. Światło gwiazd połyskiwało delikatnie tam, gdzie znajdowały się połacie piasku. Usiadł i czekał z rękoma złożonymi na gzymsie okna.

Prawie pół godziny później, kiedy podejrzewał już, że Meyers drzemie na drzwiach w podłodze, Taranto usłyszał coś więcej niż tylko przemykającego za oknem owada. Cofnął się i syknął, aby zwrócić na siebie uwagę Meyersa.

— Czy to przyleciało? — wyszeptał jego towarzysz.

— Myślę, że tak — odpowiedział Taranto.

Cichy szum przeniknął przez okno. W jego otworze nieśmiało pojawił się mały, unoszący się w powietrzu kształt.

— Dobrze — powiedział Taranto przyciszonym głosem, choć wiedział, że pomieszczenie jest skanowane przez detektor podczerwieni.

Kształt rozbłysnął malutkim lecz dosyć jasnym światełkiem. Od ścian z cegieł adobe odbiło się wystarczająco dużo blasku, by zobaczyli, że na parapecie wylądował miniaturowy latający mechanizm wielkości męskiej dłoni. Po chwili jego wirniki przestały warczeć. Taranto dźgnął do tyłu łokciem, gdy usłyszał, że Meyers skrada się za nim.

— Nasłuchuj przy drzwiach, do cholery! — warknął. — Wystarczy, że nas na tym przyłapią, a będziemy tu kiblować, dopóki nie zgasną wszystkie gwiazdy!

— Taranto! — odezwał się maleńki głosik z maszyny. — Jesteś gotowy, Taranto?

— Dalej!

— Dwie pigułki wychodzą z pojemnika transportowego. — Głos był wystarczająco wyraźny w ciszy i bezruchu syssokańskiej nocy.

Klapa w brzuchu małego latacza odsunęła się. Dwie kapsułki wytoczyły się na parapet. Taranto podniósł je.

— Każdy z was ma wziąć jedną, popijając wodą — poinstruował głos. — Lepiej poczekać do świtu. Mówiliście mi, że jedzenie przyniosą godzinę później.

— Zgadza się — szepnął Taranto.

— To da wam czas, żeby środek zadziałał. Zgodnie z ich najlepszą wiedzą, obaj będziecie martwi jak wypalony meteoryt.

— Co wtedy?

— Więc postąpią zgodnie ze swoimi normalnymi zwyczajami, co do martwych - zabiorą was na pustynię, żeby was zmumifikować. To urządzenie będzie unosić się w górze, aby wykryć waszą lokalizację.

— Czy oni tak po prostu… nas zostawią?

— Tak, o ile ktokolwiek był w stanie to ustalić. Rozmawiałem z Capellaninem, moim sąsiadem w dzielnicy zagranicznej, i powiedział mi, że mogą was nie zostawić na jednym ze swoich własnych cmentarzysk. W przeciwnym razie nie ryzykowałbym, że ten gadżet zostanie zauważony w świetle dnia.

— No dobrze, a więc jesteśmy tam na pustyni — zauważył Taranto. — Jak odbierze nas ten statek, który dla nas zorganizowałeś? Wciąż będziemy poza zasięgiem kogokolwiek spoza planety.

— Zgodnie z planem mam im powiedzieć, gdzie mają wylądować. Rozumiesz, przez radio będę mógł mówić głośniej niż teraz do was. Zabiorą wasze „ciała" i natychmiast uciekną w kosmos. Na tle zachodzącego słońca mogą być niewidoczni z miasta. A jeśli nawet zostaną zauważeni, to ja nigdy o nich nie słyszałem.

— Kim oni są? — spytał Taranto.

— Jakaś banda wynajęta do tej roboty przez Departament 99 D.S.M. Równie dobrze można nie pytać, skąd pochodzą i czym się zajmują.

— Nie mam żadnych pytań do nich, jeśli tylko nas stąd wydostaną — stwierdził Taranto.

Patrzył, jak niewielki właz się zamyka, a maleńkie światełko gaśnie. Wirniki zaczęły się obracać i dwie minuty później byli już sami.

— Chodź i weź swoją — powiedział marynarz.

Wyciągnął pustą rękę, by podprowadzić Meyersa do siebie, a następnie bardzo ostrożnie podał mu w drugiej jedną z kapsułek.

— Mamy połknąć tę wielką pigułę? — wyszeptał Meyers.

— Tylko jej nie zgub — upomniał go Taranto.

Przekazał otrzymane instrukcje, najdokładniej jak potrafił.

— Jeszcze jedno — zakończył. — Nie śpij, aby upewnić się, że ja też nie zasnę, dopóki nie nadejdzie czas na łyknięcie tego środka.

— Moglibyśmy trzymać wachty — zasugerował Meyers.

— Ja mógłbym — oznajmił prosto z mostu Taranto, — ale co do ciebie, nie jestem pewien. Po drugie, nie zamierzam pozwolić ci spać, podczas gdy ja nie będę spał. Rozegramy to tak bezpiecznie, jak to tylko możliwe.

Meyers mruknął coś niesłyszalnie. W ciemności sardoniczny uśmiech wykrzywił usta Taranto.

— Jeśli potrafisz — poradził współwięźniowi — módl się! Rano idziemy na nasz pogrzeb.

ROZDZIAŁ IV

Westervelt siedział przy swoim małym biurku w kącie, wymyślając możliwe sposoby wydostania się z celi znajdującej się około trzydziestu sążni pod wodą. Od czasu do czasu Beryl lub Simonetta również podsuwały mu jakieś sugestie. Wiedział, że najprawdopodobniej wszyscy w biurze zaangażowani są w tę samą łamigłówkę. Smith wierzył w generalną burzę mózgów na początku projektu, ponieważ nikt nie był w stanie powiedzieć, skąd mógłby pojawić się dobry pomysł.

— Jeśli w ogóle kiedykolwiek polecę w kosmos — mruknął Willie, — to z pewnością nie na taką mokrą planetę jak Trident. Co, u licha, temu Harrisowi strzeliło do głowy? Co on, myślał sobie, iż jest jakimś poszukiwaczem pereł?

— A to właśnie ich szukał? — spytała Beryl.

— Nie, po prostu tak mi się powiedziało.

Zerknął na Simonettę, która puściła do niego oko i kontynuowała przepisywanie listu, nad którym właśnie siedziała. W słuchawce odtwarzała z taśmy, podyktowany przez Smitha tekst. W miarę jak słuchała, edytowała go w myślach i mówiła do mikrofonu maszyny do pisania, która zapisywała jej słowa na papierze. Westervelt zdał sobie sprawę, że wykonanie tej pracy w tak sprawny sposób, było znacznie trudniejsze, niż to się mogło wydawać. Zauważył, że Beryl przepisywała listy dwa lub trzy razy, a przecież Parrish był bardziej skłonny niż szef, do rejestrowania swoich myśli w logicznym porządku.

— Słyszałam w tym biurze już tyle szalonych pomysłów — stwierdziła Beryl, — że po prostu nie wiem od czego zacząć. Jak oni wybierają dobre rozwiązania sytuacji?

— Zgadują, tak samo jak i my. Tyle tylko, że z doświadczenia robią to lepiej niż my.

— Przypuszczam, że to tylko kwestia dobrego osądu — przyznała Beryl.

— Popełniają sporo błędów — wtrąciła Simonetta.

— Tak, czytałem stary raport, naprawdę o czymś świetnym — powiedział Westervelt. — Słyszałyście kiedyś, jak wysyłali butle z tlenem do trzech kosmonautów uwięzionych na planecie koło Mizara?

Simonetta przestała zapisywać swój list i obie dziewczyny skupiły uwagę na Williem.

— Wygląda na to — kontynuował — że statek badawczy wylądował na jednej z planet tej gwiazdy i odkrył tam cywilizację, której istnienia się nie spodziewano. Tubylcy oddychali powietrzem o wysokiej zawartości chloru; więc kiedy wzięli trzech członków załogi jako zakładników, statek musiał stale dostarczać im świeże butle z tlenem.

— Jak długo daliby radę to robić? — spytała Beryl.

— W każdym razie, nie w nieskończoność. Nie odzyskiwali do recyklingu wydychanego przez tych ludzi dwutlenku węgla, tak jak to się działo na statku. Kapitan uznał, że lepiej będzie, jeśli wzbije się w górę i zacznie orbitować, próbując jednocześnie negocjacji. W międzyczasie wezwał na pomoc Departament, a myśmy wyskoczyli z raczej kiepskim pomysłem.

— Jakim?

— Kazali kapitanowi zamaskować rakiety ze skafandrów kosmicznych jako zbiorniki z tlenem i wysłać je na dół rakietą pomocniczą, której używali do dostaw oraz do utrzymywania kontaktu. Pomysł polegał na tym, że więźniowie mieli przelecieć nad murami niczym anioły, rakieta miała ich przechwycić i wszystkim razem zielono-białe światło Mizara miało na zawsze zniknąć w oddali z oczu.

— I dlaczego to się nie udało?

— Och, udało się — stwierdził Westervelt. — Udało się wspaniale. Jedyny problem polegał na tym, że kiedy zabrali tych trzech gości na pokład i zaczęli nabierać prędkości międzygwiezdnej, odkryli, że Mizarczycy zastosowali niewielką sztuczkę. Wsadzili do ziemskich skafandrów kosmicznych - dosyć ciasnych, ale z możliwością poruszania się w środku - trzech swoich i wysłali ich na przeszpiegi na statek. No cóż, kapitan tylko rzucił na nich okiem i od razu zdał sobie sprawę, że to koniec. Nie był w stanie dostarczyć Mizarczykom wystarczającej ilości chloru, żeby utrzymać ich przy życiu, dopóki nie będzie można ich odesłać. Po prostu poleciał dalej.

— Ale co z ludźmi, których zostawiono! — wykrzyknęła Beryl. — Co się z nimi stało?

Westervelt wzruszył ramionami.

— Nigdy nie udało się dokładnie tego dowiedzieć.

Beryl, przerażona, odwróciła się do Simonetty, która zamyślona wpatrywała się w ścianę.

— Z togo co nam wiadomo — dodała po chwili ciemnowłosa dziewczyna — oni już nie żyli.

— Wynik był mniej więcej po równo — odparł Westervelt. — Mizarianie też nigdy się dokładnie nie dowiedzieli, co się stało z ich rodakami.

Zapadła chwila ciszy, podczas której wszyscy obecni zastanawiali się nad tą kwestią. Simonetta w końcu przerwała milczenie:

— Czemu jej nie opowiesz o tym, jak dla kamuflażu poddali pewnego marynarza kuracji hormonalnej?

– Och… ty jej to opowiedz — stwierdził złapany w pułapkę Westervelt. — Znasz tę sprawę lepiej niż ja.

— Ta „sprawa” — zaczęła Simonetta — wydarzyła się na planecie, na której istnieje pewna kolonia Terry, o której niewiele się mówi. To była cywilizacja w stylu kultury amazonek, w której nie ma miejsca dla mężczyzn. Miały zabić jednego gościa, który przemycił się tam dla żartu, a więc Departament zaczął mu podsyłać prochy zmieniające jego wygląd.

Westervelt podziwiał skupienie Beryl, która spoglądała na nich z szeroko otwartymi oczyma.

— W końcu — opowiadała dalej Simonetta — jego wygląd zmienił się tak bardzo, że mógł się przebrać i uchodzić wszędzie za kobietę. Po prostu, kiedy wylądował kolejny planowy statek kosmiczny, wsiadł na niego i był już w połowie drogi powrotnej na Terrę, zanim skończyli szukać go po lasach. Ale to nie był koniec kłopotów.

— Co się stało? — wyszeptała z napięciem Beryl.

— Nie udało im się odmienić go z powrotem. Jego żona rozwiodła się z nim z powodu niewierności, kiedy urodził bliźnięta.

Beryl gwałtownie się wyprostowała.

— Och…! Wy… no wiecie!

Westervelt zdawał sobie sprawę, że jej rumieniec musiał wynikać nie tyle z żartu, co z tego, że dała się nabrać. Wciąż się śmiali, kiedy z telefonu na biurku Beryl rozległ się dźwięk dzwonka. Podniosła słuchawkę, przez chwilę słuchała, po czym wstała i skinęła blond głową w stronę Westervelta.

— Pan Parrish prosi, żebym pomogła mu poszukać w starych aktach — oznajmiła. — Założę się, że on nie będzie próbował zrobić mi takiego głupiego żartu!

— Nie — mruknął Westervelt, gdy wyszła — on ma przygotowane swoje własne.

Uniósł wzrok i zobaczył Simonettę, która spoglądała na niego z uśmiechem. Pokręciła głową ze smutkiem, kiedy Westervelt zarumienił się tak samo jak Beryl.

— Willie, Willie! — oznajmiła ze smutkiem. — Chyba nie dasz się zwieść tej farbowanej blondynce? Nie sądziłam, że jesteś tego rodzaju chłopakiem!

Westervelt odwzajemnił uśmiech, ale z pewnym wysiłkiem.

— A czy jest jakiś inny rodzaj? — spytał. — W końcu, Si, ona jest u nas dopiero od kilku tygodni. To nowość. Przyzwyczaję się do niej.

— Jasne, z pewnością — odparła Simonetta.

Wróciła do swoich listów, a Westervelt nachylił się nad biurkiem, aby odrobinę podumać. Rozmyślał, co Parrish i Beryl robią w archiwum. Nie przychodził mu do głowy żaden niewinny powód, żeby wpaść tam w jakiejś sprawie. Może, zreflektował się, tak naprawdę nie chciał tego robić; mógłby podsłuchać coś, czego potem będzie żałował.

Spędził pewien czas, nie myśląc ani przez chwilę o problemach Departamentu. Wtedy drzwi za Simonettą otworzyły się i wyszedł z nich Smith. Niósł ze sobą notes, jakby coś w nim zapisał.

— No dobrze, Willie — oznajmił radośnie, — co tam zrobimy z tym Harrisem?

— Wszystko, co mi przychodzi do głowy, panie Smith, to zaproponować im w zamian kilka osób, bez których moglibyśmy się obejść — odparł Westervelt.

Smith uśmiechnął się szeroko. Wyglądało na to, że z ogromną radością sporządziłby krótką listę kandydatów.

— Ktoś, za kim nikt by specjalnie nie tęsknił, co? A na początku listy mogliby być ludzie, którzy odbierają wiadomości od myślących ryb!

Kręcił się przez chwilę po biurze, zanim w końcu usiadł na rogu pustego biurka brakującej sekretarki.

— Tak właściwie, to myślałem o płetwonurkach — zwierzył się. — Potem zdałem sobie sprawę, że skoro potrzeba sześciometrowego potwora, aby bez obawy wędrować po podwodnych ostępach Tridentu, to te wody mogą nie być zbyt bezpieczne dla terrańskich pływaków.

— Chyba że udałoby się znaleźć im jednego z tych potworów za przewodnika — zasugerował Westervelt.

W trójkę rozważyli tę możliwość.

— Teraz to rozumiem — stwierdziła Simonetta. — Ja nazywać się Rybek. Moja dobry przewodnik. Chcecie znaleźć sobie perła? Tutaj nie wolno; my nie kraść ich innym rybom!

Wybuchli śmiechem, a Smith zażądał informacji, jak można myśleć w języku pidgin. Omówili prawdopodobieństwo oszustwa w raportach, które otrzymał Smith, i niechętnie doszli do wniosku, że niezależnie od tego, czy w grę wchodziła jakaś sztuczka, to w tej historii musiało jednak tkwić ziarno prawdy.

— Myślę, że będziemy musieli wykorzystać tę rybią sieć, do tego, żeby go zlokalizować — westchnął w końcu Smith. — Wysłanie części małego okrętu podwodnego, do złożenia go na Tridencie, zajęłoby zbyt wiele czasu. Cała ta sprawa sprawia, że zastanawiam się, czy kiedykolwiek zjem jeszcze na kolację owoce morza!

— Może ktoś inny coś wymyśli — rzucił Westervelt, częściowo po to, by ukryć fakt, że sam nie zdołał wymyślić niczego.

— Powiem ci coś — rzekł Smith, kiwając głową. — Powiedzmy, że pójdziesz zobaczyć, jak się ma Bob Lydman, a ja w tym czasie podpiszę przygotowane przez Simonettę listy. Mógłbyś też zajrzeć do pomieszczenia łączności, na wypadek gdyby pojawiło się coś jeszcze w naszej sprawie.

Westervelt zgodził się, upewnił się, że ma w kieszeni coś do zanotowania, gdyby zaszła taka potrzeba, i wyszedł.

Kilka minut później dotarł do końca korytarza, nadstawiając ucha przy drzwiach archiwum starych spraw i słysząc, jak Beryl chichocze z jakiejś uwagi Parrisha. Po rozwarciu zaciśniętych zębów, zapukał do drzwi Lydmana.

Odczekał chwilę i spróbował ponownie, ale nadal nie było odpowiedzi.

Zawahał się, zastanawiając się, co by się stało, gdyby wszedł i zobaczył, że Lydman jest w pokoju, ale nie ma ochoty z nikim się widzieć. Powoli wrócił do toalety po drugiej stronie korytarza.

Myjąc ręce, celowo przedłużając tę czynność, Westervelt zdecydował, że najlepiej będzie zadzwonić do Lydmana. Nie mógł w istocie zrozumieć, dlaczego rozmowy telefoniczne w obrębie biura, nie cieszyły się większą popularnością. Przypuszczał, że wśród personelu narodził się zwyczaj bezpośredniego kontaktu, prawdopodobnie odzwierciedlający upodobanie Smitha do osobistego angażowania wszystkich we wszystko. Mogła istnieć nawet głębsza przyczyna tego stanu rzeczy - tak często kontaktowali się z odległymi miejscami za pomocą słabiutkich sygnałów międzygwiezdnych, że bezpośredni kontakt z osobą, z którą się rozmawia, musiał dawać poczucie bezpieczeństwa i pewności.

— Będę musiał na to uważać, jeśli zostanę tutaj wystarczająco długo — powiedział sobie Westervelt. — W końcu nie trzeba być bokserem, żeby komuś przywalić.

Przyjrzał się krytycznie swojej osobie w lustrze nad umywalką, myśląc, że przydałby mu się nieco bardziej schludny wygląd. Moneta wrzucona do automatu na ścianie kupiła mu jednorazowy papierowy grzebień, którym przyczesał swe ciemne włosy.

„Potrzebuję fryzjera prawie tak samo mocno jak Castor P.", pomyślał. „Ciekawe, czy to „P.", to naprawdę skrót od Pollux? Cóż za pomysł rodziców! Z drugiej strony, po ludziach, którzy wychowali kogoś takiego jak on, można się spodziewać nieomal wszystkiego!"

Kiedy był w łazience, nikt nie inny do niej nie wszedł, choć chętnie skorzystałby z okazji do rozmowy. Wyszedł przez drzwi na korytarz, z niechęcią odrzucając pomysł o narzucaniu swojej obecności Beryl i Parrishowi. Oznaczało to, że aby znaleźć telefon będzie musiał wrócić aż do sali konferencyjnej.

— Oczywiście, jest jeszcze laboratorium — mruknął.

To było zaledwie kilka kroków stąd, a między drzwiami a telefonem nie mógł przecież narobić większych szkód.

Dotarłszy ponownie do końca korytarza, postanowił po raz ostatni spróbować zapukać do drzwi Lydmana. Ponownie nikt nie odpowiedział na jego pukanie, więc skierował się do drzwi laboratorium i wszedł do środka.

Przed nim rozciągała się panorama stołów, ław warsztatowych z elektronarzędziami i rozmaitych zestawów aparatury badawczej, z których większość była zakurzona i przypominała złote góry, zmontowane do jakiegoś chwilowego użytku, a następnie odsunięte na bok, dopóki ktoś nie będzie potrzebował części z którejś z nich. Znacznie większą przestrzeń zajmowały jednak półki, skrzynki i stosy małych kartonowych pudeł lub luźno zapakowanych paczek, w których zdawały się być przechowywane najrozmaitsze gadżety po tym, jak ich plany zostały przesłane w teren. Pół tuzina wielkich teczek z rysunkami i planami, sięgało niemal sufitu. Tu i ówdzie między stołami i ławami z narzędziami stały regały z urządzeniami, stosunkowo niedawno używanymi lub rozważanymi do użycia.

Po prawej stronie, przy dalszej ścianie, za którą znajdowało się pomieszczenie łączności, Westervelt dostrzegł jakąś pochyloną postać. Rozpoznał szerokie ramiona Lydmana i zawahał się.

Były marynarz kosmiczny pochylał się, badając gadżet leżący na jednym ze stołów. Z miejsca, w którym stał Westervelt, przedmiot ten wyglądał na zegarek naręczny lub coś podobnego. Lydman wziął go i odwrócił się w stronę fragmentu ściany, gdzie do zaizolowanej ceglanej ściany działowej przymocowano grubą stalową płytę. Uniósł „zegarek" na wysokość oczu, jakby celował.

Z urządzenia wystrzelił cienki, biały płomień, rozpryskując iskry na już porysowanej i poplamionej stali. Wciągnięty przez wentylację mały kłębuszek dymu, zniknął tak szybko, że Westervelt zdał sobie sprawę, iż swąd spalenizny był wyłącznie wytworem jego wyobraźni.

Lydman niedbale odłożył urządzenie, po czym podszedł do innego stołu. Z ponurym uśmiechem obejrzał otwartą paczkę papierosów, ale zostawił je na widoku. Westervelt przypomniał sobie, żeby nigdy ich nie palić, ot, tak dla zasady. Lydman podszedł do małego cylindra, nieco większego niż staromodna latarka na baterie. Coś kliknęło pod jego palcem i z jednego końca cylindra wyłoniły się składane łopatki przenośnego wentylatora. Były marynarz nacisnął przełącznik po raz drugi, aby wprawić je w ruch. Obrócił wentylator tak, aby dmuchał mu w twarz, jakby sprawdzał siłę jego chłodzenia, po czym przytrzymał go na wyciągnięcie ręki i przestawił przełącznik w trzecią pozycję.

Do Westervelta dotarł niski, brzęczący dźwięk. Wysokość jego tonu szybko wzrastała, aż przekroczyła zakres ludzkiego słuchu. Młody człowiek lekko pokręcił głową. Z jakiegoś powodu miał trudności z koncentracją. Być może to obecność Lydmana, choć nieoczekiwana, tak go zbiła z tropu, pomyślał sobie. Doszedł do wniosku, że chyba musi mieć jakieś zawroty głowy. Potem zaczął się martwić, aby nie zemdleć.

W ostatniej fazie, zaledwie chwilę po tym, jak Lydman po raz ostatni przestawił przełącznik, Westervelt poderwał się, kiedy ogarnęła go fala czystej paniki.

Cofnął się w stronę drzwi, zauważając pomimo zawrotów głowy, że Lydman również ma dziwny wyraz twarzy. Jakiś fragment umysłu młodzieńca zastanawiał się, czy część ultradźwięków nie została odbita od ścian w stronę byłego marynarza kosmicznego; inny fragment nalegał, aby jak najszybciej opuścić miejsce zdarzenia. Wyszedł więc z powrotem na korytarz, ciężko dysząc, kiedy drzwi zamknęły się za nim. Ruszył przed siebie, czując, że ma nieco luźniejsze kolana. Mijając toaletę, zawahał się, ale uznał, że da radę dotrzeć do sali konferencyjnej. Kiedy jednak dotarł do niej, wślizgnął się do środka i usiadł na krześle, żeby odpocząć.

— Kim trzeba być, żeby mieć taki umysł? — wyszeptał sam do siebie. — Dla niego to jak jakieś hobby. Myślę, że kiedyś powinienem poszukać pracy z w miarę normalnymi ludźmi!

Kilka chwil ciszy i spokoju dodało mu otuchy. Wrócił do głównego biura, akurat w chwili gdy Smith oddawał plik podpisanych listów Simonetcie Diorio. Obejrzeli się, kiedy wszedł.

— No i co, Willie, pan Lydman miał coś do roboty? — spytał Smith.

— Ja… eee… był trochę zajęty — powiedział Westervelt.

— Nad czym tak rozmyślał? — Smith sięgnął do przełącznika telefonu Simonetty.

— On… to znaczy… nie pytałem go. Był… zajęty, w laboratorium.

— Och — stwierdził Smith.

Popatrzył na wyraz twarzy Westervelta i dodał:

— W takim razie… może lepiej mu nie przeszkadzać. To mogłoby zniweczyć wszelkie pomysły, które chce zebrać razem.

Westervelt zdołał mruknąć z aprobatą, odwracając się, by wrócić do biurka.

„Cokolwiek tam montuje”, pomyślał, „wolałbym mu nie przeszkadzać.”

Nachylił się nad biurkiem, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w notatki, które wcześniej nabazgrał. Był mgliście świadom ucichnięcia

rozmów w tle, ale nie zauważył nadchodzącej Simonetty, dopóki dziewczyna nie stanęła obok niego.

— Co się stało, Willie? — spytała. — Wyglądasz, jakby Lydman wyrzucił cię za drzwi.

— Nie. W każdym razie nie celowo — odparł Westervelt. — A przynajmniej nie sądzę, żeby zorientował się, że tam byłem - chociaż skąd mam wiedzieć, skoro nie zdołałem wejść do środka?

Opowiedział jej, co się wydarzyło w laboratorium. Skinęła głową z namysłem.

— Pewnie to ma jakieś swoje zastosowanie — stwierdził Westervelt. — Z niechęcią myślę o tym, jak on się tam bawi. Czy w tym laboratorium ktoś kiedyś nie popełnił samobójstwa?

— To było całe lata temu — powiedziała Simonetta.

Otoczyła się ramionami, jakby poczuła nagły chłód, a jej wielkie, łagodne oczy spoglądały poważnie. Westervelt zdał sobie sprawę, że tak naprawdę była bardzo ładną dziewczyną, o wiele piękniejszą niż Beryl, i zastanawiał się, dlaczego tak inaczej do nich obu podchodzi. Simonetta wydawała się zbyt miła, aby pasować do jego wyobrażeń o Beryl. Coś mu mówiło, że ma w tej chwili solidny mętlik w głowie.

„Chyba po prostu wyrastasz z takich rzeczy” - pomyślał w duchu. „Być może w wnętrzu one są takie same.”

ROZDZIAŁ V

Kiedy Beryl weszła do biura, Westervelt stał z Simonettą przy jednym z wysokich okien, ustawiając odpowiednie kombinacje filtrów, aby jak najwięcej zachować z zachodzącego słońca. Po ich działaniach, jego tarcza utworzyła głęboką, karmazynową kulę, widoczną tuż obok jednego ze stojących w pobliżu budynków.

— Czym wy tam się bawicie? — spytała blondynka. — Jakiś trik ze znikaniem?

Simonetta roześmiała się, podczas gdy Westervelt przestawił pokrętło w normalne popołudniowe ustawienie.

— To jest jakiś pomysł — zauważył, marszcząc brwi w stronę Beryl.

— Pod wodą? — spytała kpiąco.

— Słyszałaś kiedyś o kałamarnicach? — odparł Westervelt. — Potrafią się ukrywać pod wodą. Może chmura jakiegoś barwnika byłaby równie dobra jak filtr.

— Willie, to jest pomysł! — powiedziała Simonetta. — Powinieneś powiedzieć o nim panu Smithowi.

Westervelt popatrzył na nią kwaśno. Beryl wiedziała teraz, że naprawdę marnowali czas, i mogła zdobyć punkt przeciwko niemu, przy kolejnej wymianie zdań.

„No cóż. Nie mogę mieć o to pretensji do Si, pomyślał. Przychodzi mi do głowy paru ludzi, którzy już byliby w drodze do Smitty'ego i powiedzieliby mu, że to ich pomysł.”

Beryl z pełną kobiecości gracją opadła na krzesło i założyła nogę na nogę. Sięgnęła do torebki po papierosy i poprosiła o ogień.

— Dlaczego nie kupisz papierosów z zapalniczką w pudełku? — spytał Westervelt.

Poszedł jednak do kabiny centralki telefonicznej, żeby z biurka wziąć zapalniczkę, przywłaszczoną sobie wcześniej przez Pauline. Po chwili wrócił z nią, przypalił Beryl papierosa i zapytał:

— No, a co tam wymyśliliście ty i Parrish?

— Nie wiem — westchnęła, odchylając się na oparcie — ale, kurczę, myśleliśmy!

— Taaa, zdawało mi się, że raz tam słyszałam jak terkocą wam mózgi — stwierdził Westervelt, myśląc o śmiechu, który usłyszał przez drzwi archiwum zamkniętych spraw.

Beryl, zajęta własnymi żalami, zignorowała go.

— Musieliśmy przejrzeć chyba ze trzydzieści lub czterdzieści przypadków — ciągnęła. — Nigdy nie słyszałam o większości tych miejsc, nawet w wiadomościach!

— Czy znalazł coś, co by mu podsunęło jakiś pomysł? — spytała Simonetta.

— Ani słowa! W dokumentach pojawiały się jakieś naprawdę szalone sprawy, ale nikt jeszcze nigdy nie trafił do więzienia na dnie oceanu.

— Można by pomyśleć, że kiedyś musiało się już coś podobnego wydarzyć — stwierdziła zamyślona Simonetta.

— Przypuszczam — zasugerował Westervelt — że na każdej planecie, na której Terranie zabierani byli pod wodę, nie żyli wystarczająco długo, aby stać się jedną z naszych spraw. W miejscu takim jak Trident zwykle nie mieliby żadnych problemów. Zostaliby na lądzie, a wszelkie miejscowe formy życia, mieszkają w morzu. Trzeba było takiego wariata jak Harris, żeby wścibiać nos tam, gdzie go nie chciano.

— Właśnie to przeczuwał pan Parrish — powiedziała Beryl. — Wiem tylko, że ta sprawa wygląda jak historia z programu komediowego. Nie powinni im pozwalać latać w takie miejsca.

— Wtedy wszyscy szukalibyśmy nowej pracy — zauważył Westervelt. — Nie narzekaj, Beryl - może kiedyś i tobie przydarzy się coś takiego.

Blondynka wzdrygnęła się i odwróciła się do biurka.

— Mnie, z pewnością nie — oznajmiła. — Zostaję na Ziemi, nawet jeśli ktoś zaoferuje mi darmowy wyjazd w ramach wakacji.

„Ach, już zaczął zmierzać w tę stronę", pomyślał Westervelt. „Ciekawe, czy w aktach jest coś o tym, jak wyciągnąć sekretarkę z penthouse'u?"

Weszli Lydman i Parrish, ten drugi zatrzymał się, żeby wymienić uwagi z Pauline, telefonistką. Chwilę później Smith otworzył drzwi, jakby się kogoś spodziewał. Tym razem musiał do nich zadzwonić, dla odmiany, uświadomił sobie Westervelt.

— O, tu jesteś, Willie — powiedział szef. — Chyba równie dobrze ty też możesz nad tym usiąść. Możesz nam się do czegoś przydać, a i ty w międzyczasie możesz złapać parę nowych doświadczeń.

Westervelt wstał i poszedł za resztą do gabinetu Smitha, gdzie usiadł na krześle przy oknie. Pozostali skupili się wokół biurka szefa, ogromnego, srebrzystego arkusza plastiku, zasłanego stertami papierów i taśm.

Już samo biuro Smitha przypominało małe muzeum. Ściany obwieszone były fotografiami, przeważnie kiepskiej jakości, ale przedstawiającymi „ciekawe" urządzenia wykorzystywane w różnych sprawach departamentu. Te, na których kolor był lepszy, zazwyczaj przedstawiały Smitha w towarzystwie dwóch lub trzech ludzi w mundurach marynarzy kosmicznych, z bardzo zadowolonymi z siebie minami. Czasami pojawiała się na nich również jakaś jeszcze bardziej pewna siebie osoba, wręczająca Smithowi upominek lub list z podziękowaniami. Na kilku zdjęciach pojawiali się także Lydman i Parrish.

Rejestr naszych najlepszych spraw, pomyślał Westervelt. Te złe są zagrzebane głęboko w aktach.

Pod ścianami, albo na małych stolikach albo na osobnych podstawkach, stały liczne modele statków kosmicznych, układów planetarnych i niehumanoidalnych istot. Kilka z tych ostatnich figurek wystarczyło, aby Beryl oświadczyła, że z przyjemnością zrezygnuje z pracy w biurze Smitha i zostanie sekretarką kogoś innego. Jeden z modeli, który Westervelt potajemnie pragnął obejrzeć w wolnym czasie, przedstawiał całe miasto z otaczającym je terenem na odległej planecie.

Westervelt oderwał wzrok od pamiątek szefa i zwrócił się w stronę grupy, podczas gdy Smith usadowił się za biurkiem.

— To już przestaje być nawet odrobinę zabawne — oznajmił kierownik departamentu. — Udało mi się wykonać kilka telefonów. Czy zdajecie sobie sprawę, z jaką małą ilością informacji będziemy musieli pracować?

— Domyślam się, że jest tego niewiele — odparł spokojnie Parrish.

— Na całej planecie jest mniej niż pięćdziesięciu Terran! — oświadczył Smith, wichrząc palcami swoje i tak już rozczochrane włosy. — Najbliższa kolonia lub przyjazny port kosmiczny, z którego moglibyśmy wysłać sprzęt, znajduje się jakieś dwadzieścia lat świetlnych stamtąd.

— No cóż, da się to zrobić — zauważył łagodnie Lydman.

— Oczywiście, że się da — przyznał Smith. — Ale jak długo będziemy musieli się tam kręcić? Nie wiemy, w jakich warunkach przetrzymywany jest Harris.

Parrish pochylił się, opierając łokcie na biurku Smitha.

— Możemy całkiem nieźle wydedukować przynajmniej część z nich — zasugerował. — Po pierwsze, jeśli wysłał kilka wiadomości - a musimy założyć, że tak się stało - musieli znaleźć jakiś sposób, aby zapewnić mu powietrze.

— Mógł trochę przeżyć dzięki powietrzu w tej zaimprowizowanej przez siebie łodzi podwodnej — zauważył Lydman.

— Tak, ale w takim przypadku użyłby do nawiązania łączności radia. Musimy założyć, że jakoś go z niej wyciągnęli, prawda?

Pozostali skinęli głowami.

— Nie przetrwałby długo w skafandrze, nawet gdyby pompowali mu powietrze pod ciśnieniem — ocenił rozsądnie Lydman.

— A więc, musieli zbudować jakąś konstrukcję, żeby go w niej trzymać, choćby jakiś duży zbiornik — stwierdził Parrish.

Westervelt poruszył się, a potem zamknął usta, żeby nie przerywać. Smith jednak zauważył jego ruch i uniósł wzrok.

— No dalej, powiedz to, Willie — zachęcił go. — To pewnie wcale nie zabrzmi bardziej głupio, niż wszystko inne, co zostało powiedziane w tym pokoju.

— Ja… zastanawiałem się nad tymi Tridentianami — oznajmił Westervelt. — Czy ktoś wie, jak oni żyją? Czy mają miasta zbudowane na dnie morza?

— Jeśli mają pojazdy z napędem strumieniowym, to z pewnością mają techniczne…

Smith przerwał, widząc, jak Parrish odchyla się do tyłu i wznosi wzrok ku sufitowi.

— Co, tym razem, Pete? — spytał z niepokojem.

— Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi to do głowy wcześniej — jęknął Parrish. — Sto do jednego, że oni prowadzą koczowniczy tryb życia. To byłoby typowe w takim środowisku. Jest gorzej, niż myśleliśmy.

— Chcesz powiedzieć — mruknął Smith po chwili milczenia, — w jaki sposób moglibyśmy namierzyć kierunek na domysł?

— Coś w tym rodzaju — powiedział Parrish. — Przypuszczam, że mają jakieś bazy, gdzie utrzymują stałe zakłady produkcyjne. Prawdopodobnie

zlokalizowane są one w miejscach, w których jest dostęp do minerałów - chyba że wiedzą, jak wydobyć wszystko, czego potrzebują, z samej wody.

— Nic w tym trudnego — zgodził się Smith. — Będę musiał wysłać jeszcze kilka pytań. Oczywiście, wszyscy uznają, że powinienem coś robić, zamiast pytać o nieistotne kwestie…

— Jesteśmy do tego przyzwyczajeni — uśmiechnął się Parrish, odsłaniając piękne zęby.

Westervelt zastanawiał się, jak szeroko by się tamten uśmiechał, gdyby to on był za wszystko odpowiedzialny. Miał wrażenie, że Parrish mógłby być mniej niż w połowie taki czarujący jak obecnie, gdyby kierował całą operacją i nie otrzymywał zbyt wiele pomocy od innych, w rozwiązywaniu postawionego przed nim problemu. Musiał jednak przyznać, że ten człowiek miał prawdziwy talent do dostrzegania wzorców obcej cywilizacji. Kiedy zadał swoje pytanie o miasta, zrobił to tylko dlatego, że wcześniej wyobrażał sobie istnienie pod wodą jakichś kopuł w terrańskim stylu i zdawał sobie sprawę z tego, że ten obraz jest mało prawdopodobny.

— W każdym bądź razie — ciągnął Parrish — powinniśmy chyba myśleć o nich jak o ptakach, które mogą swobodnie latać, gdzie chcą. Jeszcze zanim wynaleźli maszyny, prawdopodobnie migrowali po całej planecie, pływając. Rozumiem, że te inne… ryby, chyba będziemy musieli je jakoś nazwać…

— Myślące ryby! — mruknął Smith ze smutkiem. Ponownie rozwichrzył włosy dłonią.

— Przypuszczam, że te stworzenia także istnieją, obok szeregu innych, o których jeszcze nawet nie słyszeliśmy, a które mogłyby zastępować u nich terrańskie zwierzęta. W takim razie… będziemy musieli rozejrzeć się za tymczasowymi lokalizacjami i myśleć raczej o szybkim ataku niż o ostrożnej penetracji.

— Gdybyśmy zdołali ich odnaleźć, musi być jakiś sposób, żeby wyposażyć kilka skafandrów w ochronę przed ciśnieniem i spaść im prosto na głowy — powiedział Lydman. — Myślę, że zdołam wymyślić jeden lub dwa systemy uzbrojenia, które będą działać pod wodą w sposób, o jakim te małże nigdy by nie pomyślały.

— Może lepiej by było, gdyby Rybek, ta myśląca ryba, zahipnotyzował ich i sprowadził Harrisa z powrotem — powiedział Westervelt.

Popatrzyli na niego zamyśleni, a on z przerażeniem stwierdził, że jego żart został potraktowany jak najbardziej poważnie. Wiercił się w krześle przy oknie, żałując, że nie zamknął w porę ust.

— Zastanawiam się… — zamyślił się Smith. — Jeśli rzeczywiście oni potrafią wymieniać myśli…

— Mogą mieć jakieś naturalne mechanizmy obronne — zauważył niepewnie Parrish.

— Czym można by przekupić rybę? — spytał Lydman, lecz z nadzieją, a nie szyderczo.

Smith zapisał sobie kolejną notatkę, po czym zaczął bębnić palcami po biurku. Cała czwórka siedziała w milczeniu. Westervelt miał nadzieję, że pozostali zajęci są bardziej produktywnymi myślami niż on sam. Miło było

zdobyć ich uwagę oraz reputację bystrego młodego człowieka, który podsuwa niezłe pomysły; ale kiedy zdecydują się na jakiś rozsądny sposób działania, mogą go sobie zapamiętać z powodu głupiej uwagi.

— Willie — powiedział Smith, podejmując decyzję — przejdź i spytaj innych, czy mogliby zostać w pracy wieczorem jeszcze przez kilka godzin. Może będzie czas, żeby wyciągnąć z Tridentu jakieś przydatne informacje i przynajmniej coś rozpocząć, zanim pójdziemy do domu. Jeśli będę wiedział, że jakiś facet w kosmosie nad tym pracuje, przynajmniej będę mógł spokojnie spać.

Westervelt opuścił swoje miejsce przy oknie i wyszedł do sekretariatu. Przekazał prośbę szefa Simonetcie i Beryl. Ta ostatnia nie wyglądała na zachwyconą. Westervelt z zazdrością zastanawiał się, jaką randkę miała zaplanowaną na wieczór. Przystanął następnie przy okienku w kąciku centralki telefonicznej.

— Och, to ty, Willie! — wykrzyknęła Pauline.

— Tak, możesz znowu włączyć rzutnik — uśmiechnął się szeroko. — Co to jest, jakiś dramat miłosny?

Pauline wyciągnęła zza tablicy połączeniowej mały projektor.

— To praca moja domowa, skoro już musisz wiedzieć — wyjaśniła mu.

— Zgadza się, nadal studiujesz — przypomniał sobie Westervelt. — Czemu nie przerzucisz się na psychologię obcych? Wtedy mogłabyś się kwalifikować na jakiegoś menedżera, u nas.

— A kiedy my mamy tutaj gości z kosmosu? Raz na księżyc z pierścieniami!

— A kto tam wie, którzy z nich to kosmici? — spytał Westervelt. — Są dni, kiedy myślę, że mógłbym lepiej zrozumieć kogoś z dwunastoma mackami i zbiornikiem chloru na plecach, niż wiele umysłów, które wymykają się spod kontroli w tym biurze. Nawiasem mówiąc, wieczorem mamy dziś program awaryjny i Smitty chce, żeby personel jeszcze trochę pozostał w pracy.

Na młodzieńczej twarzy Pauline pojawił się wyraz konsternacji.

— Wiem; masz dziś zajęcia — wywnioskował Westervelt. — Rzuć to wszystko w diabły. Zostań w archiwum z panem Parrishem, a nauczysz się dwa razy więcej.

Pauline zaproponowała w odpowiedzi, że rzuci w niego projektorem, lecz po chwili się roześmiała. Westervelt zapewnił ją, że nikt nie będzie za nią tęsknił, jeśli podłączy kilka głównych telefonów biurowych do linii zewnętrznych i połączy pomieszczenie łączności z biurkiem Smitha.

Pozostawił ją, kiedy zastanawiała się, czy powinna zostać, i skierował się do holu. W połowie drogi do pomieszczenia łączności usłyszał odgłos otwierających się i zamykających drzwi windy. Zatrzymał się i obejrzał się za siebie.

Zza rogu korytarza wyszedł jeden z ludzi od łączności telewizyjnej, Joe Rosenkrantz. Westervelt popatrzył na zegarek i zdał sobie sprawę, że to godzina zmiany dyżuru dla personelu łączności, który utrzymywał kontakt z wszechświatem dwadzieścia cztery godziny na dobę.

„Na wypadek, gdyby ktoś popełnił gdzieś taki głupi błąd jak Harris.”, pomyślał Westervelt. „Chyba trochę przesadzają. Przypuszczam, że to

typowa duma i radość terrańskiej kultury technicznej, żeby wysyłać sygnały przez pół galaktyki, aby naprawić coś, co mogło zostać naprawione wcześniej, kiedy Harris był małym chłopcem. Ciekawe, co psychologowie powinni byli zrobić, żebym trzymał się z dala od takiego miejsca?”

— Cześć, Willie — powiedział Rosenkrantz, doganiając go. — Idziesz do pomieszczenia łączności?

Westervelt przyznał się do tego i przedstawił operatorowi krótki zarys popołudniowych wydarzeń. Rosenkrantz pozostał niewzruszony.

— Mam nadzieję, że nie upoją się swoją pomysłowością i nie będą z uporem godnym lepszej sprawy rozsyłać wiadomości po całym kosmosie — mruknął. — Cieszyłem się na spokojną nocną zmianę.

Poszli przekazać wieści Colbornowi, który przyjął je dobrze, jako że jego one nie dotyczyły. Oznajmił Westerveltowi, że w żadnym wypadku nie miałby ochoty na pracę w nadgodzinach. Kiedy koniec zmiany nadchodzi, jest koniec zmiany - i kropka.

— Zapominam o tym szalonym miejscu, w chwili gdy zamykają się za mną drzwi windy — powiedział z uśmiechem, przekazując Rosenkrantzowi swój dziennik i kilka nieoficjalnych komentarzy na temat ruchu sygnałów, które usłyszał w ostatnich godzinach. — Są tacy, którzy czekają z tym, aż wyjdą na ulicę, ale ja wierzę w ostre cięcie. Wchodzę do windy, naciskam „Parter”, i wszystko to tutaj, znika mi z głowy.

Colborn wyszedł za drzwi, nie chcąc zaszczycać ich szyderstw żadną odpowiedzią, i skierował się w stronę wind. Zanim dotarł do rogu korytarza, założył na siebie płaszcz. Nacisnął przycisk, żeby przywołać windę.

Kiedy przyjechała, Colborn wszedł do środka i zjechał na dziewięćdziesiąte piąte piętro. Przesiadł się do publicznej windy ekspresowej, która zabrała kilka osób, zanim na siedemdziesiątym piątym piętrze stała się naprawdę windą ekspresową.

— Znów przeżyłem kolejny dzień — mruknął do człowieka obok, kiedy dotarli na parter.

Dołączył do rosnącego strumienia pracowników biurowych przepływających przez hol budynku, nie zwracając uwagi na kalejdoskopową grę dekoracyjnych świateł na półprzezroczystym suficie. Zauważył je dopiero wtedy, gdy nagle zgasły.

Najpierw zapadła cisza, potem gwar głosów, aż w końcu zapaliły się małe lampki awaryjne. Ktoś wspomniał o przepalonym bezpieczniku. Colborn wyjrzał na zewnątrz i nie zobaczył żadnej palącej się latarni ani podświetlanych szyldów. Jego pierwsza myśl związana była z zasilaniem odbiornika na górze.

— Nie, żeby było to coś wyjątkowego — powiedział sobie, — ale lepiej zadzwonię i sprawdzę, czy windy działają.

ROZDZIAŁ VI

Jak na celę więzienną, pomieszczenie było nawet dosyć przestronne. Ściany zbudowane były z surowego kamienia, podobnie jak w przypadku większości budynków na Greenhaven, które Maria Ringstad odwiedziła podczas swego krótkiego pobytu. Pomyślała, że zbudowanie tak dużych pomieszczeń w kamiennym budynku musiało wymagać mnóstwa dodatkowej pracy, zwłaszcza że materiały trzeba było wydobywać stosunkowo prymitywnymi metodami.

Na Greenhaven wszystko najwyraźniej robiono opierając się na własnych błędach. Słyszała o tym aspekcie charakteru Zieloniaków przed opuszczeniem statku i teraz żałowała, że nie słuchała uważniej. Trudno jej było nawet przedstawić sobie w głowie, jak daleko stąd znalazł się do tego czasu ten statek kosmiczny.

To było najgorsze - uczucie porzucenia.

W międzyczasie, kręcąc nosem na przydzielone jej prace krawieckie, ale nie mając nic innego do roboty, usiadła na skraju surowej drewnianej półki, która służyła jednocześnie jako łóżko oraz ława. Strażnik Zieloniaków stojący w drzwiach wyglądał, jakby spodziewał się, że szycie będzie już skończone.

— Nie rozumiesz, słonko? — powiedziała Maria lekko. — Możesz sobie wynieść ten kosz szmat. Nie mam zamiaru wbijać sobie w palce tych prymitywnych igieł, których wy używacie.

Zieloniak był niskim, krzepkim, młodym mężczyzną, odzianym w najbardziej niewygodne z możliwych, szare ubranie. Koszula z wysokim, ciasnym kołnierzykiem, wykrochmalonym do twardości sztywnej tektury, utrzymywała jego podbródek w dostojnej pozycji. „Zdawała się też usztywniać mu oczy, w pozycji szeroko otwarte”, pomyślała Maria, „chyba że to był jego naturalnie naiwny wyraz twarzy.”

— Czy ktoś ci kiedyś mówił, że z tych waszych czapek byłyby dobre spluwaczki? — spytała.

— Zabroniona jest próżna rozmowa z jakimkolwiek funkcjonariuszem korekcyjnym — oznajmił sztywno młody mężczyzna.

— Funkcjonariusz korekcyjny! — powtórzyła Maria. — Posłuchaj, słonko, nie żartuj sobie ze mnie! Założę się, że jesteś tu tylko woźnym. Gdybym myślała, że jesteś prawdziwym funkcjonariuszem, którego można by przytulić, aby wypuścił mnie z tej klatki, byłabym dla ciebie o wiele milsza.

Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. Nie odwzajemnił uśmiechu.

Zieloniak stał, ściskając dłonią grubą krawędź prostych, drewnianych drzwi, aż zbielały mu kostki. Wyglądał jak człowiek, który właśnie odkrył robaka w jedzonym jabłku. A tak właściwie, nawet połówkę robaka.

— Może i zbliżam się do trzydziestki piątki — stwierdziła Maria — wiem jednak, że wcale aż tak źle nie wyglądam. Właściwie, w porównaniu z waszymi zieloniakowymi dziewczynami, trzymam się całkiem nieźle, nie sądzisz? Po pierwsze, jestem niższa od ciebie. Po drugie, nieźle wypełniam swoje ubranie i nie wyglądam jak jakaś chuda, stara szkapa.

— Ty… ty… nie jesteś… ubrana jak uczciwa kobieta — wykrztusił w końcu z siebie strażnik.

Siedząc na skraju drewnianej pryczy, Maria skrzyżowała kolana - i pomyślała, że tamten jeszcze się udławi. Lekko obciągnęła swoją krótką spódniczkę, która przyciągała tyle posępnych spojrzeń, kiedy spacerowała główną ulicą First Haven. Była przyzwyczajona do towarzystwa mężczyzn, ale ten biedak znajdował się daleko poza zakresem jej doświadczeń.

Maria Ringstad zdawała sobie sprawę zarówno ze swoich wizualnych wad, jak i zalet. Po miesiącu pobytu tutaj, włosy zaczęły jej ciemnieć i tracić kasztanowy kolor. Jak na swoje sto sześćdziesiąt parę centymetrów wzrostu była nieco rozłożysta, ale to była zasługa solidnej budowy ciała. Twarz miała odrobinę kwadratową, z zadartym nosem, a jej piwne oczy przy pewnych rodzajach oświetlenia, wydawały się zielone. Z drugiej strony, miała ładny uśmiech i spędziła sporo czasu w miejscach, do których rzadko zaglądały kobiety. Przyzwyczaiła się do popularności wśród płci przeciwnej, nawet w obliczu konkurencji ze strony innych pań. Wśród kobiet Zieloniaków, z ich workowatymi, zgrzebnymi sukienkami i skruszonymi obliczami, pozbawionymi choćby śladu makijażu, nie dostrzegała żadnej poważniejszej konkurencji.

— Naprawdę — stwierdziła — nigdzie indziej nie uznano by mnie za przestępczynię. Po prostu próbowałam kupić widokówkę, w tym małym sklepiku. A potem wszystko zawaliło mi się na głowę.

— Na Greenhaven nic nikomu się nie zawala na głowę — oświadczył stanowczo strażnik.

— No cóż, w każdym bądź razie, kilku bardzo zgorzkniałych typów sfabrykowało przeciwko mnie mnóstwo najróżniejszych zarzutów i znalazłam się tutaj. Ale nic nie zrobiłam!

— Usiłowanie jest równe czynowi!

Maria pokręciła głową z niedowierzaniem i westchnęła. Wstała i zrobiła kilka kroków w jego stronę.

— Masz pozostać na swoim miejscu — rozkazał młody mężczyzna z nutą paniki w głosie. — Nie przyszedłem tutaj, żeby debatować z tobą o sprawiedliwości. Zgrzeszyłaś i zostałaś skazana.

„Założę się, że zemdlałby, gdybym go wzięła w ramiona”, pomyślała Maria.

— Ale na czym polegał ten mój grzech, słonko? — spytała. — Można by pomyśleć, że napisałam jakiś kiepski artykuł o Greenhaven dla mojego syndykatu prasowego. Szczerze mówiąc, nie miałam nawet czasu, żeby dobrze obejrzeć to miejsce.

Młody mężczyzna puścił krawędź drzwi, ale wciąż wyglądał na zaniepokojonego.

— Greenhaven zostało założone przez kolonistów, którzy szukali wolności i byli gotowi w pocie czoła tworzyć dla niej schronienie —

poinformował ją. — Warunki na tej planecie były niegościnne. Kolejne plagi wystawiały na próbę ich wiarę, a dziwaczne bestie wystawiały na próbę ich odwagę. To, co tu stworzono tutaj, zostało zbudowane w wyniku ogromnej, wspólnej walki i nie można tego narażać na ryzyko z powodu grzesznych postaw ze starej Ziemi - i… powinnaś zapłacić oznaczoną cenę.

— Ale on nie chciał mi sprzedać towaru po takiej cenie, kiedy mu ją proponowałam!

— Więc go nie miał. Próbowałaś go przekupić.

— E tam, to była tylko przyjacielska oferta — oświadczyła Maria, rozprostowując spódnicę. — To zupełnie nic nie znaczyło.

— Wręcz przeciwnie, to było przekupstwo, niemoralność i ekonomiczna malwersacja. Procedury takie jak zakup i handel muszą być ściśle regulowane, dla dobra społeczności. Nie możemy pozwolić, by chaos zakłócił spokój Greenhaven.

— Wiesz, słonko — zauważyła, przyglądając mu się z przechyloną głową — gadasz jak postać z książki. Bardzo starej książki.

Strażnik przewrócił oczyma w kierunku holu. Po raz pierwszy rozluźnił swoją sztywno wyprostowaną postawę, żeby móc się odchylić do tyłu i posłuchać czegoś na korytarzu.

— Muszę cię uprzedzić, żebyś przestała zwracać się do mnie „słonko” — powiedział ciszej. — Słyszę kroki mojego przełożonego.

Maria roześmiała się srebrzystym śmiechem, który sprawił, że młody mężczyzna zacisnął zęby.

— Może jest zazdrosny — zasugerowała. — Albo się nudzi. A wy, chłopcy, co wy w ogóle macie do roboty, poza roznoszeniem pracy do cel i odbieraniem jej?

— Na Greenhaven nie ma miejsca dla próżniaków — powiedział młody mężczyzna, z dezaprobatą spoglądając na nietknięte szycie.

— Czy nigdy nie dzieją się tu żadne ekscytujące rzeczy? Jak często ktoś próbuje stąd uciec?

— Ucieczka jest zabroniona — odparł poważnie strażnik. Wyglądał, jakby sam pragnął uciec.

Ciężkie kroki zatrzymały się przed drzwiami celi, sygnalizując przybycie naczelnika. Ten obrzucił młodego mężczyznę surowym, pytającym spojrzeniem, po którym strażnik pośpiesznie odsunął się, aby wpuścić naczelnika do celi.

— Rozmawiałeś z więźniem? — spytał starszy mężczyzna.

Miał na sobie podobny mundur, być może z nieco wyższym kołnierzem. Jego twarz o ciemnych brwiach świadczyła o starszym wieku i pewnej skłonności do ascezy. Poza tym, pomyślała Maria ze smutkiem, niewiele było między nimi różnic. Wydawał się wywierać na strażnika mrożący wpływ.

— Tylko w sprawach służbowych, panie naczelniku — odparł młody mężczyzna.

Naczelnik zauważył kosz z niewykonaną robotą. Zmarszczył brwi.

— Tym należało się zająć już dawno temu — oświadczył. — Jakie może być tu usprawiedliwienie?

Maria oparła obie ręce na biodrach.

— Całe mnóstwo! — oznajmiła. — Po pierwsze, nie macie prawa trzymać obywatelki Terry w takiej norze. Po drugie, ten absurdalny wyrok, pięciu lat więzienia, zostanie odwołany i uchylony, gdy tylko terrański konsul ruszy sprawy z miejsca.

— To jest, co najmniej wątpliwe — odparł naczelnik, obdarowując ją chłodnym uśmiechem, który uniósł kąciki jego ust o jedną ósmą cala. — Tymczasem istnieją metody, których możemy użyć, aby wymusić posłuszeństwo. Wolałabyś, żebym wezwał parę kobiet z personelu?

— Wolałabym, żebyś mi wyjaśnił, co było takiego okropnego w próbie kupienia widokówki z miasta, w tym małym sklepiku? Skoro nie były przeznaczone dla turystów, to dlaczego je tam mieli?

— Takie niedorzeczne przedmioty są przeznaczone dla turystów i innych osób, które od czasu do czasu muszą zostać wpuszczone na Greenhaven. To nie usprawiedliwia łamania naszych praw i szukania powodów do wywoływania niezadowolenia, poprzez próbę przekupstwa. Miasto First Haven zostało wyrwane z dziczy, ale nie wolno nam utrudniać ani podważać naszej walki o dokończenie budowy kolonii. Konieczne jest…

— O, do diabła! Ty też gadasz jak z książki! — wykrzyknęła Maria.

Dwaj mężczyźni patrzyli na nią w milczeniu, z szeroko wybałuszonymi oczyma, kompletnie zszokowani tym jawnym dowodem jakiejś demencji.

— Cennik jest dla was świętością — warknęła, — ale już w porządku jest, że wystawiacie ten szajs na sprzedaż, żeby oszukiwać turystów, co? Czemu to nie wydaje się wam niemoralne? Turyści są do niczego, ale ich pieniądze już nie, co?

Odwróciła się i podeszła z powrotem do łóżka-stołu, gdzie usiadła i celowo skrzyżowała nogi.

— Nie będziesz już więcej potrzebny — powiedział naczelnik młodemu mężczyźnie. — Uważaj, żebyś nie rozsiewał zarazy, powtarzając bluźnierstwa tej Jezebel!

Strażnik pośpiesznie wyszedł. Maria zauważyła, że naczelnik gapi się z rozdziawionymi ustami na jej kolana, i wyzywająco odrzuciła głowę.

— Nigdy wcześniej nie widziałeś nogi? — zaczęła się dopytywać. — A może wszystkie dziewczyny Zieloniaków mają zamiast nich krzywe patyki? I dlatego noszą na sobie te okropne worki, do samej ziemi?

Złośliwie wstrząsnęła spódnicą, odsłaniając kilka centymetrów jędrnego uda. Naczelnik zaczął się czerwienić. Wymamrotał coś, co w istocie brzmiało raczej jak modlitwa niż przekleństwo, i odwrócił wzrok w inną stronę.

— Mam nadzieję, że ci są u władzy ustąpią przed natarczywością tego waszego zwyrodnialca, który nazywa siebie konsulem Terran i kala czyste powietrze Greenhaven samą swoją… Mam nadzieję, że cię deportują!

— Och, słonko! Czy mógłbyś to załatwić? — krzyknęła Maria, zrywając się i podchodząc do niego.

Złapała go za ręce tuż nad łokciami, a on wyrwał się z jej uścisku, szarpiąc obiema rękoma do góry i odrzucając je na zewnątrz. Dało to Marii okazję, by chwycić go za pas. Kiedy opuścił ramiona, aby się uwolnić, zarzuciła mu ręce na szyję.

— Wiedziałam, że ktoś może to wszystko naprawić! — wykrzyknęła. — Wypuścisz mnie stąd, dopóki nie zdecydują, na który statek mnie wsadzić, prawda?

Naczelnik miał przerażony wyraz twarzy. Z najwyższym wysiłkiem chwycił ją obiema rękoma i odepchnął. Maria zatoczyła się z powrotem aż na pryczę. Naczelnik, najwyraźniej nie do końca pewien, co się stało, popatrzył na swoje ręce. Obrócił je wnętrzem do góry, a potem, kiedy jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Marii, wykonał gest, jakby chciał je schować za plecami.

— Spokojnie, słonko — powiedziała. — Trochę się uniosłeś. Nie sądzę, żeby tu obowiązywały jakieś prawa zabraniające popychania kobiety na pupę – o ile tylko będziesz uważał, gdzie się wpychasz.

— Oby Ojcowie Założyciele chronili mnie przed tą bluźnierczą kobietą! — wyszeptał naczelnik. — Czy będziesz cicho i wysłuchasz mnie, Jezebel? Czy nadal chcesz być nieświadoma wieści, które przyniosłem?

— Jakich wieści?

— Mam polecenie poinformować cię, że masz oficjalnego gościa. Czy chcesz się z nim zobaczyć?

Maria odsunęła się od krawędzi pryczy i przybrała dostojną postawę. Poprawiła ubranie.

— Będę niezmiernie zaszczycona, mogąc przyjąć tego gościa — oznajmiła, starając się jak najlepiej naśladować formalny sposób zachowania Zieloniaków. — Bardzo doceniam, że w końcu powiedziałeś mi o jego obecności!

Naczelnik spiorunował ją wzrokiem. Nie znajdując słów, które mogłyby opisać stan ciśnienia jego krwi, cofnął się i zatrzasnął ciężkie drzwi za sobą. Trochę stłumiły one jego oddalające się kroki.

— Wychodzę! — pisnęła radośnie Maria.

Odtańczyła krótki taniec, podbiegła do drzwi, żeby przyłożyć do nich ucho, potem odwróciła się, aby rozejrzeć się po celi, palcami jednej ręki wykonując delikatny werbel na ustach.

Podeszła do pryczy. Spod niej wyciągnęła małą torbę podróżną, którą udało jej się wyciągnąć ze statku, zanim odleciał na następną planetę. Zaczęła chodzić po pomieszczeniu, zbierając nieliczne drobiazgi, które posiadała, i pakując je do środka.

Trzepnęła palcami po włosiu szczoteczki do zębów, żeby pozbyć się wilgoci, gdy usłyszała powrotne kroki.

Do diabła z suchą szczoteczką, pomyślała. Niech będzie taka, jak jest.

Wrzuciła szczoteczkę do torby, narzuciła na nią szczotkę do włosów i zatrzasnęła zapięcie torby. Uznała się za gotową.

Drzwi się otworzyły i strażnik wprowadził do celi kolejnego mężczyznę. Maria poczuła nagły chłód.

Nowoprzybyły był Zieloniakiem.

Zerknęła za jego ramię, mając nadzieję, że dostrzeże z tyłu terrańskiego konsula, ale naprzeciwko niej stali tylko dwaj Zieloniacy. Nieznajomy był bliższy wiekiem młodemu strażnikowi niż naczelnikowi. Z drugiej strony, jego surowa mina stanowiłaby wyzwanie nawet dla

starszego z mężczyzn. Mundur był mniej więcej taki sam jak w obu pozostałych przypadkach.

— Nazywam się John Willard — oznajmił beznamiętnie przybysz.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął plik papierów. Na skraju jednego z nich Maria dostrzegła coś, co uznała za oficjalną pieczęć. Willard otworzył dokumenty i zwrócił się do naczelnika.

— Czy identyfikuje pan stojącego przed nami więźnia jako Marię Ringstad, pochodzącą z Terry?

— Tak! — odparł naczelnik oficjalnym tonem.

— Proszę podpisać oświadczenie, które to potwierdza!

W celi zapadła cisza, gdy naczelnik przyłożył dokument do drzwi, żeby nabazgrać swój podpis. Maria spoglądała na to z narastającą troską. Willard złożył oświadczenie, schował je do kieszeni i stanął z nią twarzą w twarz.

— Mario Ringstad — powiedział — mam cię poinformować, że twoja apelacja została odrzucona. Udasz się ze mną do Zakładu Korekcyjnego Numer Pięć, gdzie doprowadzę cię do władz, które będą nadzorować odbywanie kary.

Maria upuściła torbę.

— Co?! Kłamiesz! Pokaż mi te fałszywe dokumenty! To jakiś…

Willard uderzył ją wierzchem lewej dłoni w twarz. Maria nie zauważyła tego, dopóki nie zaczęła upadać. Usiadła z hukiem na podłodze, wyciągając przed siebie nogi.

Z niedowierzaniem patrzyła, jak Willard podpisuje kopię rozkazu dla naczelnika. Ten z satysfakcją obejrzał go, po czym schował do kieszeni. Odwrócili się, by na nią popatrzeć, a Willard oznajmił, że jest gotów do wyjścia.

Wydawało mu się, że najlepszym sposobem na uniknięcie dalszych dyskusji jest jak najszybsze zmuszenie jej do wyjścia razem z nim. Szarpnął ją za jeden łokieć, naczelnik za drugi, i Maria szybkim krokiem ruszyła do drzwi, zastanawiając się, jak udało jej się wstać na nogi.

— Moja torba! — zaprotestowała.

— Mam ją — powiedział Willard.

— Skręć w lewo, aby dojść do schodów — powiedział naczelnik.

— Nie pójdę! — krzyknęła.

— Ależ, pójdziesz — oznajmił Willard.

— Ależ, pójdziesz! — powtórzył naczelnik.

Dotarli do szczytu schodów, gdzie naczelnik zwolnił uchwyt. Willard pchnął ją do przodu i oboje ruszyli szybko w dół, aby utrzymać równowagę. Na dole zatrzymali się, żeby naczelnik mógł ich dogonić.

Maria wykorzystała okazję, aby kopnąć Willarda w goleń. Zbladł, ale ponaglał ją, kiedy naczelnik wyprowadził ich przez zakratowane drzwi na otwarty dziedziniec. Przechodzili przez dziedziniec zrywami, a Maria co chwila wyrażała swoje zdanie słowami, których nigdy wcześniej w życiu nie wypowiedziała. Znaczenie niektórych z nich w znacznej części jej umykało, ale Willard zdawał się rozumieć ich ogólny sens.

Naczelnik zwrócił się do strażnika, nakazując mu otworzyć główną bramę. Willard popędził ją pchnięciem kolanem w siedzenie. Potężne

wrota zatrzasnęły się z hukiem za nimi, pozostawiając ich na zewnątrz murów, na ulicy.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli pójdę do jakiegokolwiek więzienia! — krzyknęła Maria do ucha Willarda. — Żądam widzenia z terrańskim konsulem! To skandal!

Willard spiorunował wzrokiem jakiegoś przechodzącego Zieloniaka, który najwyraźniej chciał się temu wszystkiemu przyjrzeć. Zacisnął mocniej dłoń na ramieniu Marii, żeby móc ją odciągnąć jakieś sześć metrów dalej od bramy. Tam brutalnie przyparł ją do granitowego muru.

— Jeśli nie zamkniesz gęby — warknął przez zaciśnięte zęby, — naprawdę cię zdzielę!

Maria sapnęła i popatrzyła na niego. Było to łatwe, bo przysunął twarz na odległość kilku centymetrów od jej oczu. Na czole pojawiły się mu kropelki potu.

Wyglądał na wystraszonego.

ROZDZIAŁ VII

Westehvelt wciąż jeszcze siedział z Joem Rosenkrantzem w pokoju łączności, kiedy zadzwonił Colborn. Spoglądał przez ramię Joego, gdy operator odwrócił się do twarzy widocznej na ekranie telefonicznym.

— A jakim cudem pamiętasz numer? — powitał Colborna. — Drzwi windy nie zamknęły się za tobą?

— Bardzo śmieszne, ha-ha! — odparł Colborn. — Słuchaj, Joe - macie energię?

Westehvelt przyjrzał się bliżej Colbornowi, myśląc, że rudzielec wygląda na wyjątkowo zaniepokojonego. Rosenkrantz zdawał się tego nie zauważać.

— Energię? — spytał. — Czy ja mam energię! Potrafię sięgnąć stacji, o których nawet nie słyszałeś, samą siłą woli! Ty - biedny palancie - nawet nie potrafisz zapamiętać, czy wracasz do domu, czy idziesz do pracy! Co tam się stało?

— Powiem ci, co — krzyknął Colborn. — Awaria zasilania! Na całej ulicy nie ma ani jednego światła. O mało nie zostałem na śmierć stratowany, wracając do holu, żeby do ciebie zadzwonić.

Westervelt i Rosenkrantz popatrzyli na siebie.

— Jeśli już o tym pomyśleć, Charlie — odparł operator — światła rzeczywiście zamrugały z minutę temu. Ciekawe, czy to nasza własna siłownia nie przejęła kontroli nad całym piętrem?

Zobaczyli, jak Colborn odwraca głowę i słyszeli, że się wykłóca z kimś, kto najwyraźniej niecierpliwił się, żeby dostać się do kabiny telefonicznej.

— Pójdę sprawdzić mierniki — powiedział Rosenkrantz. — Przypilnuj za mnie kosmosu, Willie!

— Co… co… co? — wyjąkał Westervelt, usiłując go zatrzymać ręką. — Charlie! On sobie poszedł! Co mam zrobić, jeśli ktoś będzie chciał się połączyć?

Colborn skończył rozwiązywać swój problem na dole i zwrócił uwagę na Westervelta. Poprosił o powtórzenie, co się stało.

— Powiedziałem, że Joe poszedł za róg, sprawdzić zasilanie — wybełkotał młodzieniec. — Co mam zrobić, jeśli połączy się ktoś z kosmosu? Powiedział, żebym pilnował aparatu.

— Och — powiedział Colborn. — Widzisz tę małą czerwoną, lampkę, w kształcie gwiazdki, po lewej stronie pulpitu pod ekranem?

— Tak, tak! Nie świeci, Charlie!

— No i nie powinna. To automatyczny wskaźnik wywołania, ustawiony dla naszego kodu. Jeśli się świeci, oznacza to, że ktoś chce się połączyć, nawet jeśli ekran jest zbyt ciemny lub dźwięk jest zbyt cichy, żeby to zauważyć. Więc poszukaj takiej samej, zielonej, po drugiej stronie…

— Tak. Widzę ją.

— Naciskasz znajdujący się obok przycisk, a nasz kod automatycznie się wysyła, dla potwierdzenia. Następnie naciskasz następny przycisk poniżej tamtego, który wysyła powtarzający się sygnał oczekiwania. Rozumiesz?

— Rozumiem — stwierdził Westervelt. — A potem co?

— Potem krzyczysz na cały głos, na Joego. To załatwi sprawę. Jesteś teraz operatorem dalekiego kosmosu. Tylko nie dotykaj żadnego z tych przycisków, dopóki nie dostaniesz licencji!

— Ale, Charlie…

Uratował go powrót Rosenkrantza, dla którego z wdzięcznością zwolnił miejsce przed ekranem telefonu. Colborn znów był zajęty robieniem groźnej miny do jakiegoś zdesperowanego miłośnika rozmów telefonicznych.

— Miałeś rację, Charlie — powiedział Rosenkrantz. — Jesteśmy zasilani wyłącznie z naszego własnego, prywatnego źródła energii. Całe piętro, o ile dobrze widziałem. Myślałem, że trochę przesadzali, kiedy to instalowali, ale może się opłaci. Jak to wygląda, tam na dole?

— To istny młyn — odparł Colborn. — Nie uwierzylibyście, że w naszym budynku może pracować tylu ludzi.

— Nie, nie! — przerwał mu Rosenkrantz. — Chodziło mi o to, jaka jest generalnie sytuacja? Czy tylko ten budynek jest pozbawiony energii, czy może całe miasto, albo jeszcze gorzej?

— Nie uwierzyłbyś, co oni tu wygadują — powiedział im Colborn, — ale ktoś tu bez przerwy nawija przez publiczny system rozgłoszeniowy. Wygląda na to, że cały fragment miasta, jakieś pięćdziesiąt przecznic, został odcięty od energii. Mówią o przeciążeniu głównego kabla.

— Wyobrażam sobie, co mówią — parsknął Rosenkrantz. — To znaczy, że pewnie jacyś biedacy utknęli tutaj, próbując go znaleźć i wymienić.

Colborn zaśmiał się pusto.

— Myślisz, że tylko oni utknęli? Ani jeden pas metra nie jedzie do podmiejskich lądowisk dla helikopterów. Wszystkie lokalne naziemne koleje jednoszynowe, stoją. Powinieneś zobaczyć, jak ludzie tłoczą się w taksówkach naziemnych, a policja nie pozwala, żeby zeszło tutaj na dół więcej taksówek helikopterowych.

— Powinny odbierać tylko z dachów — zauważył Rosenkrantz.

— To nie tam są teraz ludzie. Wszyscy są tutaj ze mną, a połowa z nich próbuje w tej chwili dostać się do tej budki, żeby powiedzieć żonom, że nie wrócą do domu. Cóż, wielu z nas nie wróci dziś wieczorem do domu, jeśli chłopaki szybko nie znajdą tej awarii.

Westervelt i Rosenkrantz wymienili spojrzenia. Młody człowiek wzruszył ramionami; i tak planował zostać dłużej.

— Powiedz mu, żeby wrócił na górę, Joe — zasugerował. — Mamy jedzenie w szafce dla gości, i może opróżnić tu sobie jakiś stół, żeby się na nim przespać.

Colborn go usłyszał i pokręcił głową.

— Niczego bardziej bym nie chciał, Willie — stwierdził — ale równie dobrze mogę pójść na piechotę. Lepiej iść w poziomie niż po schodach.

— Co masz na myśli mówiąc o schodach?

— Nie wiem, jak w innych budynkach w okolicy, ale u nas z żalem ogłosili, że windy nie będą kursować powyżej siedemdziesiątego piątego piętra. Prawdę mówiąc, nawet do tej wysokości mają tylko częściowe zasilanie, na awaryjnym generatorze energii.

Rosenkrantz wyglądał na zaniepokojonego. Z zamyśleniem wygrzebał z kieszeni paczkę papierosów.

— Co o tym myślisz, Charlie? — spytał. — Chodzi mi… o Lydmana.

— Właśnie dlatego zadzwoniłem — roześmiał się Colborn. — Myślę, że lepiej sprawdź schody i powiedz Smithowi. Jeśli pośle naszego chłopaka nimi na dół, dziewięćdziesiąt dziewięć pięter da mu może trochę do myślenia.

Napór z zewnątrz budki w końcu zmusił go do rozłączenia się. Ostatni raz widzieli go na ciemniejącym ekranie telefonu, kiedy rozpaczliwie usiłował wydostać się z budki, w obliczu wrzaskliwego naporu tłumu chętnych dostania się do telefonu. Joe westchnął, próbując zapalić papierosa niewłaściwym końcem pudełka.

— Idę sprawdzić naszą windę, Joe — powiedział Westervelt.

Wyszedł z pomieszczenia łączności i pobiegł korytarzem, za róg. Przez drzwi głównego biura dostrzegł głowę Pauline wystającą z jej centralki. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

Pośpieszył do niej i przysunął głowę blisko otworu w szklanej ściance działowej.

— Przez cały czas byłaś na tej linii, co Spryciaro? — spytał.

— Na jakiej linii? — spytała z oburzeniem Pauline. — Och, Willie, czy to znaczy, że musimy dziś wieczorem zejść dwadzieścia pięć pięter na pieszo?

— Ty mała… Posłuchaj mnie! Ani słowa, dopóki nie dowiemy się więcej!

— Dlaczego nie, Willie?

— Chcesz wszystkich zdenerwować? Jak mają myśleć nad genialnymi rozwiązaniami, martwiąc się o zamówienie kanapek? Obiecaj mi!

Pauline niechętnie obiecała, że nic nie powie bez jego pozwolenia. Westervelt wrócił na korytarz i nacisnął przycisk windy.

Czekał jakieś trzy razy dłużej niż zwykle, na przyjazd windy, po czym spróbował ponownie, lecz bez rezultatu. Uniósł wzrok i odkrył, że nawet czerwone światło nad wejściem na schody zgasło. Najwyraźniej nie było ono częścią systemu z dziewięćdziesiątego dziewiątego piętra, zasilanego teraz własnym generatorem.

Westervelt zrobił kilka kroków do drzwi, za którymi kryły się schody. Wisiała na nich pięknie wykonana tabliczka informująca wszystkich, że to wyjście ewakuacyjne i że drzwi otworzą się automatycznie w razie pożaru lub innej sytuacji awaryjnej. Zawierała również szczegółowe instrukcje, jak wyjść z budynku, co w prostym języku oznaczało „schodź na dół”.

— Drzwi są zamknięte — mruknął Westervelt — co dowodzi, że nie ma żadnego zagrożenia.

Spróbował nacisnąć klamkę. Nie drgnęła, z wyjątkiem lekkiego kliknięcia.

Czując się odrobinę nieswojo, pochylił się, by zmrużyć oczy i przyjrzeć się szczelinie w drzwiach. Zauważył zasuwkę, solidny skobel, i zdał sobie

sprawę, że nią porusza. Była jednak jeszcze jedna zasuwka, która się nie poruszała, i w związku z tym drzwi nie chciały się otworzyć.

— Oczywiście — mruknął pod nosem. — Są zrobione tak, żeby otwierały się automatycznie. Jak to jest uruchamiane? Elektrycznie. Której nam tu cholernie brakuje? Te cholerne drzwi są zablokowane! Ktoś zaprojektował piękne rozwiązanie!

Rozejrzał się po pustym korytarzu, wahając się niezdecydowanie.

— Mógłbym zadzwonić na dół, zanim powiem Smitty'emu — przyszło mu do głowy.

Aby mieć pod ręką ramię, na którym mógłby się wypłakać, żeby skorzystać z telefonu wrócił aż do pomieszczenia łączności. Uniósł do góry ręce, gdy Joe rozglądał się dookoła, po czym połączył się z Pauline.

— Sprawdź, czy dasz radę połączyć mnie z biurem zarządcy budynku — poprosił. — Nie zdziw się, jeśli będzie zajęte przez kilka minut.

Minęło prawie piętnaście minut, zanim udało mu się dodzwonić. W tym czasie dowiedział się, że Rosenkrantz traktuje powstałe niedogodności bardzo poważnie.

— Chyba słyszałeś co nieco o Bobie Lydmanie — oznajmił operator. — No cóż, część z tego to pewnie tylko plotki, ale jest i sporo prawdy. Spędził wiele czasu w jakiejś piekielnej dziurze wśród gwiazd; i jeśli cokolwiek może go wprawić w konsternację, to myśl, że nie może się skądś wydostać. Niezależnie od tego, gdzie jest, musi wiedzieć, że może stamtąd wyjść, kiedy tylko będzie chciał!

— A co jeśli nie będzie o tym wiedział? — spytał Westervelt.

— Jak długo uda ci się to utrzymać przed nim w tajemnicy? Założę się, że z okna widać zaciemnienie w mieście. Pilnuj odbiornika - ja pójdę i zerknę.

— Ale zaraz, poczekaj chwilę, Joe!

Konsternacja Westervelta została rozproszona przez telefon, który zadzwonił w tej samej chwili. Na ekranie telefonu pojawiła się spocona twarz z potarganymi siwymi włosami - Westervelt pamiętał, że widywał ją od czasu do czasu w holu na dole, wyglądała wtedy na niezwykle zadbaną i elegancką.

— Jeśli jest pan powyżej siedemdziesiątego piątego piętra, proszę na nie zejść. Jeśli jest pan niżej, proszę zejść najniżej, jak pan zdoła — powiedział mężczyzna ochrypłym głosem. — Jeśli może pan zostać na miejscu, to byłoby najlepsze.

— Proszę mi powiedzieć, jak…?

— Administracja budynku nie odpowiada za awarię zasilania — przerwał mu spocony dżentelmen. — Proszę o współpracę!

— Ale, jak…?

— Robimy, co w naszej mocy, a ten telefon jest bardzo obciążony, młody człowieku! Czy mógłbyś…?

— Schody są zamknięte! — krzyknął Westervelt.

Przez chwilę wątpił, czy zdołał przebić się przez panikę urzędnika. Potem dostrzegł w oczach mężczyzny nową falę wzburzenia.

— Co pan powiedział?

Westervelt opowiedział o drzwiach prowadzących na schody. Dżentelmen na dole przycisnął obie dłonie do wilgotnych policzków. Zaczął wyglądać na odrętwiałego.

Po długiej przerwie pozbierał się na tyle, by obiecać, że zajmie się tą sprawą. Kiedy się wyłączył, Westervelt usłyszał, jak mamrocze, że tego już za wiele.

— Słyszałeś, Joe? — spytał.

— Tak, i nie podoba mi się to — odpowiedział operator. — Co nam wobec tego zostaje… nie ma wind, nie ma schodów… a co z lądowiskiem helikoptera na dachu?

— Trzeba wejść klatką schodową, żeby się tam dostać — zauważył Westervelt, myśląc o trzech helikopterach departamentu, garażowanych na dachu ich prywatnej części wieżowca. — To te same drzwi. Przypuszczam, że te na górze też są zablokowane.

— No cóż, w każdym razie mogłoby być gorzej — stwierdził Joe. — To daje dwoje drzwi do otwarcia, a założę się, że nasi chłopcy znajdą jakiś mały gadżecik, który to załatwi.

Westervelt poczuł się lepiej. Zawsze znajdzie się jakieś wyjście, powiedział sobie. Mimo to pomyślał, że lepiej będzie, jeśli powiadomi Smitha o całej sytuacji.

Powiedział Joemu, dokąd idzie i wrócił korytarzem. Kiedy dotarł do rogu, spróbował ponownie otworzyć drzwi, licząc trochę na los szczęścia. Szczęście jednak było takie samo jak przedtem. Przez chwilę zastanawiał się, czy pójść do laboratorium po jakiś palnik lub podobne narzędzie. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że jeśli w budynku miałyby zostać dokonane zniszczenia, to nie jest to jego zakres odpowiedzialności. Odwrócił się, by wejść do głównego biura, mrugając do Pauline, co, jak miał nadzieję, będzie wyglądać uspokajająco.

Simonetta zajęta była jakąś teczką, ale Beryl skorzystała z okazji, by poprawić na paznokciach swój mieniący się złotem lakier. Przyglądała się Westerveltowi z ciekawością, kiedy nachylił się, by szepnąć brunetce kilka słów do ucha.

— Czy oni tam jeszcze się naradzają, Si? — spytał.

Odsunęła się, udając niezadowolenie, i spytała:

— Co to za sekrety? Szpiegujesz dla Yoleenów?

Westervelt zmarszczył brwi, spoglądając nad nią przez okno. Na zewnątrz zapadał zmierzch i zauważył, że w pobliskich wysokich budynkach paliło się jedynie kilka słabych światełek.

— Chciałem się tylko zobaczyć z panem Smithem — zmusił się do odpowiedzi.

— Nie mów mi, że chcesz pójść do domu, skoro przekonałeś nas wszystkich, że mamy zostać?

Zmiękła, widząc, że nie chodzi tutaj o żaden dowcip.

— Wiesz, że tak naprawdę, nie miałam tego na myśli, Willie — powiedziała. — Coś się stało?

Spośród wszystkich osób w dziale, Simonetta była tą, której najłatwiej było się zwierzyć. Musiał walczyć ze sobą, zwłaszcza, że nie widział powodu, dla którego nie miałaby wiedzieć.

— Ja… eee… chciałem się z nim tylko na chwilę zobaczyć — wyjąkał niepewnie. — Wrócę później.

Wyszedł z biura, czując pieczenie na karku od spojrzeń obu dziewczyn.

Na korytarzu zatrzymał się, żeby rozejrzeć się po zamkniętych drzwiach. Zarówno winda, jak i klatka schodowa wyglądałyby całkiem normalnie, gdyby nie fakt, że czerwone światło nad wyjściem na schody, było zgaszone. Westervelt zastanawiał się, czy nie byłoby rozsądnie obejść wszystkie pokoje i wyregulować filtry okienne, żeby nikt nie zobaczył braku miejskich świateł, gdyby przypadkiem wyjrzał na zewnątrz.

Podszedł do feralnych drzwi, żeby jeszcze raz rzucić na nie okiem, żałując, że nie są przesuwne, tylko na zawiasach. Kiedy schylał się, żeby zajrzeć do zamka, usłyszał za sobą jakiś odgłos i poderwał się, z poczuciem winy.

Dwa metry dalej, przed osobnymi drzwiami wejściowymi do swojego biura, stał Smith. Jedną pięść miał opartą na biodrze, a drugą mierzwił i tak już potargane włosy, gapiąc się na Westervelta.

— W tych drzwiach nie ma dziurki od klucza, Willie — powiedział w końcu.

Westervelt czuł, że powinien przedstawić mu proste wyjaśnienie, z którym żył już przez, jak mu się zdawało, wiele godzin. Nie mógł jednak znaleźć odpowiednich słów.

— Czy to ma coś wspólnego z wiadomością, którą właśnie przyniosła mi Si? — spytał Smith.

— Jaką wiadomością? — odpowiedział pytaniem Westervelt, po odchrząknięciu.

— Zadzwoniła policja i twierdziła, że ktoś zgłosił, iż widział z powietrza jak ktoś kradnie trzy helikoptery z naszego dachu.

— Czy ona to powiedziała przy wszystkich? — spytał Westervelt.

— Miała na tyle rozumu, żeby to zapisać i pokazać mi, kiedy inni rozmawiali o okrętach podwodnych. Coś w tym, jak to zrobiła, sprawiło, iż pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli wyjdę na chwilę z biura, więc powiedziałem chłopakom, że idę na korytarz.

Westervelt westchnął ciężko. Nie będzie musiał zachowywać czujności, aby uniknąć pędzącego korytarzem podnieconego Lydmana.

— A więc, panie Smith — zasugerował — przejdźmy się tamtędy, na wypadek gdyby ktoś wyszedł i nas zobaczył, a ja panu wszystko opowiem.

— Nikt nie powinien przez jakiś czas się stamtąd ruszyć — skomentował Smith, patrząc na młodzieńca z powątpiewaniem. — Wszczął niewielką kłótnię, zanim wyszedłem.

Mimo to poszedł za Westerveltem za róg, do skrzydła prowadzącego do laboratorium i toalet. Pokonali może ze trzy metry za róg, kiedy Westervelt skończył swój raport o windach i doszedł do zablokowanych zamków w drzwiach klatki schodowej.

Smith zatrzymał się w pół kroku, jakby chciał zawrócić i sprawdzić samemu; ale powstrzymał się.

— Jesteś absolutnie pewien, Willie? — spytał.

— Może pan to sprawdzić u Joego Rosenkrantza, panie Smith. Albo może pan zadzwonić do biura zarządcy budynku, na dole.

Smith potarł swój wysoki nos, zastanawiając się. Jego usta poruszyły się, a Westerveltowi zdawało się, że wyczytał z nich nazwisko „Lydman”. Potem Smith, mamrocząc, odhaczył na palcach schody, windy i helikoptery.

— Nic dziwnego, że je skradziono — stwierdził. — Ktoś dostrzegł szansę na łatwy zarobek, skoro zabrano wszystkie helikoptery taksówki. Policja znajdzie je jutro.

— Tymczasem, chyba mamy z tym kłopoty — zauważył Westervelt.

— Tak, to możliwe — przyznał Smith i tym razem powiedział to na głos: — Lydman! Nie wspominajmy mu jeszcze o tym, co, Willie?

ROZDZIAŁ VIII

Pomieszczenie miałoby niemal kształt sześcianu, gdyby nie fakt, że w samym jego projekcie prawie nie było linii równoległych. Narożniki były zaokrąglone, a sufit lekko wygięty w łuk. Podłoga, choć w znacznej mierze zasłonięta licznie porozkładanymi poduszkami, była wyraźnie o kilka cali wyższa pośrodku niż tam, gdzie zakrzywiała się do góry, ku ścianom. Wszystkie powierzchnie miały kolor starej kości słoniowej, ale zdawały się być wykonane z bardziej porowatego materiału. Poduszki mogły być wycięte z kawałków jakiejś piankowej, sprężystej substancji, wyprodukowanej w kilku raczej matowych kolorach.

Na dwóch większych poduszkach, ułożonych jedna za drugą, leżał blondyn, wysoki i szczupły. Miał na sobie luźny, ciemnoszary kombinezon, wiszący na nim luźno, jakby ostatnio stracił sporo na wadze. Cera jego twarzy miała niezbyt dobry kolor, złocistą opaleniznę zmieszaną z wyglądającą spod niej niezdrową bladością. Był jednak czysty i świeżo ogolony, włosy miał krótko obcięte, choć nieco nierówno. Poruszył się, a potem zamrugał oczami, wpatrując się w łagodne światło eliptycznej płyty oświetleniowej, wpuszczonej w sufit.

Rozbudził się do końca, z przytłumionym jękiem. Bardzo ostrożnie, jakby z długoletnim nawykiem unikania bolesnych ruchów, przetoczył się na lewy bok i oparł jedną rękę o podłogę. Wysiłek niezbędny do tego aby usiąść, zmusił go do odsłonięcia zaciśniętych zębów.

Grymas ten widoczny był tylko przez chwilę. Wydawało się, że ma jakiś cel, który popchnął go do całkowitego stoczenia się z prowizorycznego łóżka, aż wreszcie uklęknął, opierając obie nogi i lewą rękę na gładkiej podłodze. Kiedy zatrzymał się, aby odpocząć, przytrzymywał prawą rękę blisko ciała.

Po chwili ustawił prawą stopę koło lewego kolana. Potrzebował kolejnego odpoczynku dla dłoni, kolan i stóp, zanim odepchnął się od podłogi i powoli się wyprostował. Sufit nagle zaczął wydać się zbyt niski.

Mężczyzna był wysoki, miał może dwa cale powyżej sześciu stóp. Rysy jego twarzy były regularne, choć może nie jakoś szczególnie przystojne. Ktoś mierzący go na oko mógłby się spodziewać, że waży około stu dziewięćdziesięciu funtów, ale lekkie zapadnięcia policzków sugerowały, że w tej chwili nie było to prawdą. Oczy miał niebieskie, lecz powieki mu opadały, a on zdawał się skupiać na otoczeniu, jedynie mgliście.

W końcu mężczyzna odwrócił się i powoli podszedł do boku pokoju, gdzie pozbawiony drzwi otwór, prowadził do czegoś, co wyglądało na korytarz. Otwór miał kształt elipsy, o wysokości około pięciu stóp i szerokości trzech, rozpoczynającej się kilka cali nad podłogą. Pochylił się, by wysunąć głowę do holu, rozglądając się w obie strony, ale nie zwracając uwagi na dochodzące z zewnątrz ciche, szurające odgłosy.

Zadowolony wrócił do łóżka, obrócił poduszkę palcem u nogi i wykopnął spod niej małą torbę z szarego plastiku.

Mężczyzna wpatrywał się w torbę przez kilka minut, zanim podjął ewidentnie jakąś niechętną decyzję. Następnie mozolnie przyklęknął, aż zdołał wsunąć jeden koniec torby pod kolano i lewą ręką rozsunąć zamek błyskawiczny. Wygrzebał z niej kilka przedmiotów - golarkę akumulatorową, ręcznik, talię kart, szczoteczkę do zębów - które porzucił na podłodze, kiedy tylko zlokalizował obiekt swoich poszukiwań. Był to wieloprzegubowy, metalowy mechanizm przypominający opancerzoną stonogę. Był długi jak jego dłoń i niemal tak samo szeroki. Trzymał go przez chwilę w dłoni, jakby zastanawiał się, co z nim zrobić.

Po zakończeniu jakiegoś powolnego procesu myślowego przebiegającego w jego głowie, obrócił przedmiot w dłoniach, aby nacisnąć mały guzik. Płytki „brzucha" rozstąpiły się. Ze znajdującego się tam wgłębienia wyciągnął miniaturowe urządzenie, które z łatwością mieściło się w jego dłoni. Było w kształcie dysku, miało około cala grubości i mogło być wykonane z czarnego plastiku. Usta mężczyzny wykrzywiły się w zmęczonym uśmiechu, gdy w zamyśleniu uniósł je w górę.

Nie wstając się z klęczek, nacisnął kciukiem niemal niewidoczny przełącznik na krawędzi dysku. Po kilku sekundach urządzenie zaczęło emitować muzykę, odtwarzając w przyciszony sposób grę całej orkiestry. Mężczyzna stopniowo unosił rękę, aż przyłożył mały odtwarzacz do ucha. Wyraz jego twarzy nadal wyglądał na niezbyt rozumny. Opuścił rękę, lekko wzruszając ramionami i wyłączył muzykę.

Ponownie zmusił się z trudem do wstania. Zostawiając resztę swoich rzeczy na podłodze, nie oglądając się za siebie, ruszył do drzwi krokiem człowieka, który dopiero co pokonał przynajmniej pięć lub dziesięć mil. Jego długie nogi pokonały tę odległość w zaledwie paru krokach, ale w ich ruchu widoczna była jakaś powolność, ociężałość, która zdradzała głębokie zmęczenie. Uniósł jedną stopę na tyle wysoko, by móc przejść przez otwór na korytarz.

Na zewnątrz skręcił w lewo i szedł tym samym powolnym krokiem, mijając po drodze kilka innych drzwi rozmieszczonych w nieregularnych odstępach. To, że mogły one prowadzić do kolejnych pomieszczeń, w których przebywali jacyś inni mieszkańcy, zdawało się w ogóle go nie interesować. Nie spojrzał nawet w bok ani nie zatrzymał się, dopóki nie natknął się na barierę, blokującą mu drogę ścianę.

To było pierwsze przejście, w którym znajdowały się drzwi, i te ostatnie były zamknięte. Wyglądały na wykonane z tworzywa sztucznego, ciemniejszego niż ściany w kolorze kości słoniowej, wśród których poruszał się do tej pory, ale gładszego niż one. Mniej więcej pośrodku drzwi znajdował się zakratowany otwór, poza tym pozbawione były jakichkolwiek oznaczeń.

Mimo to blondyn zdawał się wiedzieć, w którym miejscu będzie znajdowało się ich mocowanie. Przesunął opuszkami palców po jednym z zakrzywionych boków, jakby oceniał odległość. Żonglując w dłoni czarnym dyskiem, aż znalazł bardziej mu odpowiadający chwyt, nacisnął drugi przełącznik, ukryty pośrodku obiektu.

Wąski strumień ognia, tak biały, że zdecydowanie przyćmiewał oświetlenie korytarza, rozbłysnął przy krawędzi drzwi. Przesunął strumieniem ognia wzdłuż krawędzi, przez odcinek o długości około pół metra. Potem wyłączył urządzenie i czekał, mrużąc oczy z bólu. Oświetlenie korytarza wydawało się w tej chwili żółte i przyćmione.

Odpocząwszy, mężczyzna wziął głęboki oddech i naparł lewym barkiem na eliptyczne drzwi. Zsunęły się ono z czegoś, co utrzymywało je na przeciwległej krawędzi, i opadły z jednej strony za grodzią. Gładko przeciął również dwa zawiasy po drugiej stronie.

Nie oglądając się za siebie, przeszedł przez zniszczone drzwi i ruszył dalej. W końcu natknął się na kolejną podobną przeszkodę i uporał się z nią w ten sam sposób. Za trzecim razem, kiedy się zatrzymał, znalazł się przy pionowej kolumnie, która przechodziła przez owalny otwór w suficie, a na dole znikała w kolejnym otworze, w podłodze korytarza.

Mężczyzna zawahał się. Niewyraźny smutek przemknął przez jego twarz. Potem, jakby prowadzony jakimś nieodpartym zamiarem, podszedł do kolumny.

Miała około piętnastu centymetrów średnicy i była przedmiotem o najbardziej regularnym kształcie, jaki tutaj spotkał. Jej powierzchnia była otoczona poziomymi rowkami o głębokości prawie cala i wyglądała, jakby łatwo było się po niej wspinać. Z otworu na dole unosiło się nieco cieplejsze powietrze, niosące mieszaninę ostrych i stęchłych odorów. Nozdrza mężczyzny zmarszczyły się.

Podszedł do krawędzi otworu, a następnie przesunął się wokół niego, aż uzyskał jak najwięcej miejsca po swojej stronie kolumny. W końcu, gdy wyciągnął rękę, aby dotknąć żłobionej powierzchni, zwrócił uwagę na trzymane w dłoni urządzenie. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Najwyraźniej w końcu wpadł na błyskotliwy pomysł, który skłonił go do wsunięcia gadżetu do kieszeni spodni. Ponownie zwrócił się twarzą do kolumny i znów się zawahał. Jego prawa ręka uniosła się o cal, niezdecydowanie, po czym wargi wykrzywił grymas bólu.

Przesunął się wokół otworu raz jeszcze, aż zauważył, że zatoczył pełny krąg, pozwolił palcom lewej ręki zbadać wyżłobienia. Nie przyszło mu do głowy, aby spojrzeć w dół ani w górę, choć prąd cuchnącego powietrza niósł do niego jakieś słabe, odległe dźwięki.

W końcu pochylił się do przodu, aż jego lewe ramię dotknęło smukłej kolumny. Objął ją lewą ręką. Po krótkim szarpnięciu, chwycił ją między nogi. Następnie lekkie rozluźnienie uchwytu pozwoliło mu stopniowo zsuwać się w dół, aż minął linię podłogi. Między jego ramionami a krawędzią otworu pozostało tylko kilka cali, jakby ten ostatni nie był zaprojektowany dla kogoś takiego jak on.

Następny poziom, na którym się znalazł, był ciemny. Kontynuował więc swój ostrożny zjazd.

Na drugim poziomie poniżej punktu startowego, było jasno. Korytarz przypominał ten, w którym rozpoczął podróż. Wystawił jedną stopę, aby złapać się krawędzi otworu i odpocząć.

W jedną stronę, korytarz skręcał niedaleko niego, podczas gdy w drugim kierunku ciągnął się prosto przez jakieś sześć metrów, a potem

kończył się zamkniętymi drzwiami podobnymi do tych, które niedawno pokonał. Zza zakrętu dolatywały jakieś ciche dźwięki sugerujące piskliwą rozmowę, choć dobiegały ze zbyt dużej odległości, aby można było rozpoznać ich naturę. Wysoki mężczyzna nie spuszczał tej strony korytarza z oka, co chwila czujnie zerkając w tamtym kierunku.

Po kilku chwilach niektóre z tych dźwięków zdawały się zbliżać. Hałaśliwa „rozmowa" ucichła, ale coraz wyraźniej słyszał przytłumiony szelest, który mógł być spowodowany krótkimi, pospiesznymi krokami wielu stóp.

Mężczyzna wykręcił więc stopę i płynnie zsunął się poniżej poziomu podłogi, akurat w chwili kiedy na zakręcie korytarza pojawiły się poruszające cienie. Zjechał kolumną przez cztery kolejne nieoświetlone poziomy, docierając do miejsca, w którym unosiła się atmosfera oleju maszynowego i mieszaniny innych zapachów.

Światło przesączało się z dołu wraz z prądem powietrza. Gdzieś poniżej znajdował się bardzo jasny poziom, z którego dobiegał rytmiczny łoskot ciężkich maszyn. Nie przypominał on odgłosów statku kosmicznego ani terrańskiej fabryki, ale trwała tam jakaś poważna praca. Pomacał w ciemnościach jedną stopą, szukając oparcia, przeniósł drugą stopę i znużonym ruchem odepchnął się od kolumny.

Znajdował się na poziomie tak ciemnym, że dotknął palcem u nogi krawędzi otworu w podłodze, aby upewnić się co do jego położenia, zanim ruszył korytarzem.

W ciemności szedł wolniej niż poprzednio, ale posuwał się szybciej, niż wydawałoby się to możliwe. W tych okolicznościach upewniał się, wyciągając co kilka sekund lewą rękę, aby dotknąć gładkiej ściany. Szedł normalnie, choć starał się robić jak najmniej hałasu, a jego wyczucie kierunku było niezwykle dobre.

Po przejściu około stu jardów korytarzem, który zdawał się nie mieć ani jednego zakrętu czy też narożnika, z powątpiewaniem zwolnił kroku. Kilka kroków dalej dotarł do kolejnych zamkniętych drzwi. Te jednak ustąpiły pod jego pchnięciem, odsłaniając fragment tunelu z minimalnym oświetleniem sączącym się z szeroko porozstawianych lamp sufitowych. Tutaj mógł zobaczyć boczne drzwi, których jego palce wcześniej nie wyczuwały na ciemniejszym odcinku.

Pokonał kolejne sto jardów i w końcu minął dwa poprzeczne korytarze, zanim ponownie musiał się zatrzymać i odpocząć. Oparł się o boczną ścianę, opierając się bardziej prawą ręką i ponuro wpatrując się przed siebie.

Kilka kroków dalej, w ścianie znajdowały się jedne z typowych eliptycznych drzwi. Wypływające przez nie światło, odbijało się na przeciwległej ścianie korytarza. Mężczyzna wpatrywał się w nie tak samo, jak każdy, kto w ciemności zwraca wzrok ku światłu. Po kilku chwilach ruszył w jego stronę, jakby wiedziony bezmyślną ciekawością.

Dotarłszy do drzwi, zawahał się. Na jego twarzy pojawiła się dziwna mina. Decyzja, czy zajrzeć za nie, czy nie, napawała go wielkim niepokojem. W końcu zrobił krok naprzód i wszedł do małej komory.

Została ona najwyraźniej zbudowana tutaj, by mieścić kolejną smukłą kolumnę, która znikała w górę i w dół, na nieznanych poziomach. Kilka małych, owalnych okien znajdowało się tuż pod sufitem, na wysokości, która nie stanowiła dla mężczyzny większego problemu, gdy podszedł, aby przez nie wyjrzeć.

Oczom jego ukazał się szeroki korytarz, tak szeroki, że można by go nazwać holem, albo nawet placem publicznym. Istoty znajdujące się tutaj, na które spoglądał, były bardzo, bardzo odległe od ludzi.

Dwie z nich przemykały właśnie przed jego oknem, wyraźnie oświetlone światłami, znajdującymi się wysoko w kopulastym suficie. Były kudłate, miały około pięciu stóp wzrostu, gibkie i kocie ruchy. W porównaniu z człowiekiem były szczupłe i miały krótkie ciała. Posiadały trzy ramiona i trzy nogi, a każdy zestaw kończyn był równo rozstawiony wokół całego ciała. Od czasu do czasu, kiedy szły krótkimi, szybkimi krokami, we wszystkich członkach widoczne były liczne stawy, wyraźnie pokazując, że nie są to tylko złożone z mięśni macki. Począwszy od otworów na szczytach głów, które musiały służyć im jako usta, istoty te miały opływowe kształty, co sprawiało, że bardziej naturalne było sobie wyobrażać je jako stworzenia pływające, podobne do ziemskich mątw, a dopiero potem jako wspinające się ,w górę i w dół, po grubych słupkach. Troje oczu umieszczonych dookoła każdej głowy było położonych wystarczająco nisko, aby uwydatnić mięśnie ich szczęk.

Mężczyzna obserwował, jak ta para zsuwa się po kolumnie, stojącej obok ściany, która go skrywała. Inne istoty rozproszone były po całym szerokim holu. Prawie bez wyjątku miały na sobie jedynie sakiewkę przymocowaną paskiem tuż nad tym, co u człowieka byłoby biodrami. Ubrania były zbędne dzięki eleganckim pokryciom z krótkiego, miodowego futra, które podkreślało ich koci wygląd. Czasami, kiedy któreś z nich się wyginało lub wykręcało, spod futra przeświytywała fioletowa skóra.

Po drugiej stronie holu mężczyzna dostrzegł otwarte stragany, przypominające sklepy. Większość z nich była ciemna, z siatkami rozciągniętymi na frontach. Panował tu klimat przypominający aurę małego, terrańskiego punktu handlowego, albo nawet terminalu portu kosmicznego, późnym wieczorem, z zamierającym ruchem oraz jedynie paru nocnymi pracownikami.

Nagle ci, którzy byli po drugiej stronie okna, ruszyli szybkim krokiem do ścian. Chwilę później pojawił się doskonały powód do tego exodusu, kiedy z wysoko sklepionego tunelu wypadła kolumna niskich, długich pojazdów i przemknęła przez otwartą przestrzeń. Każdy z wehikułów miał trzy koła i transportował pół tuzina osób ubranych w coś, co przypominało grubą plastikową zbroję. Metalowe klatki chroniły ich głowy, a uzbrojeni byli w broń przypominającą terrańskie wyrzutnie rakiet. Konwój zniknął z pola widzenia, zanim mężczyzna zdążył dostrzec cokolwiek więcej.

Zamyślony wycofał się spod okna. Przy wejściu na korytarz zatrzymał się niezdecydowanie. Pokręcił głową, jakby próbując wyrzucić z głowy to, czego przed chwilą był świadkiem.

Mogłoby się wydawać, że każdy na jego miejscu powinien rozsądnie rozejrzeć się po korytarzu przed wyjściem na niego, ale jemu najwyraźniej

nie przyszło to do głowy. Po kilku sekundach, zmierzał już w poprzednim kierunku - o ile w ogóle cokolwiek zmieniając, to jedynie nieco zwiększając tempo swoich kroków.

W miarę jak odchodził, stłumione odgłosy scenerii, której się przyglądał, cichły w oddali. Znów był sam, towarzyszył mu tylko odgłos jego własnych dyskretnych kroków. Kilkakrotnie mijał skrzyżowania korytarzy, a raz musiał wypalić drzwi; ale nigdzie nie spotkał mieszkańca przypominającego ul miasta. Albo jego droga została wybrana z rozmysłem, albo rzadko z niej korzystano o tej porze dnia. Nawet zakładając i jedno i drugie, musiał mieć niesamowite szczęście.

Korytarz zaczął nabierać już niemalże hipnotycznej monotonii, kiedy skończył się, na wprost kolumny prowadzącej tylko w górę. Mężczyzna siłą rzeczy stanął przed wyzwaniem wspinaczki, perspektywą, która najwyraźniej nie spodobała mu się.

Westchnąwszy, przypomniał sobie poprzednią procedury, zjeżdżania po kolejnych słupach. Mając tylko jedną sprawną rękę, podciąganie się do góry, było żmudną pracą. Być może wyłącznie fakt, że poziomy zostały skonstruowane tak, aby odpowiadać istotom o wzroście pięciu stóp, umożliwił mu dotarcie na kolejny poziom. Siedział przez dłuższy czas, z nogami zwisającymi przez otwór, dysząc, a pot spływał mu po czole.

Tym razem potrzebował prawie pół godziny, by dojść do siebie i zebrać w sobie determinację potrzebną do wyruszenia w dalszą drogę. Korytarz, w którym się znalazł, biegł prostopadle do tego poniżej. Był szerszy i wyższy, jakby bardziej uczęszczany, ale wszystkie takie otwarte przestrzenie jak ta, na którą wyjrzał, położone były daleko z tyłu. Nieopodal napotkał jednak drzwi znacznie większe niż te, z którymi do tej pory miał do czynienia. Podszedł do nich.

Kiedy próbne pchnięcie nie przyniosło rezultatu, wsunął lewą rękę do kieszeni, po czarny dysk.

Wydawało się, że ma niezłe pojęcie, gdzie również i w tych drzwiach mogą mieścić się zawiasy. Kiedy przepalił drzwi, trudniej było je odepchnąć, ponieważ okazały się mieć podwójną grubość. Zawiasy były ukryte zarówno od wewnątrz, jak i od zewnątrz. Wysoki mężczyzna znalazł się obecnie zaledwie kilka kroków od kolejnych podobnych wrót, w czymś, co wyglądało na jakiś przedsionek.

Metodycznie kontynuował użycie swojej metody wypalania sobie drogi, mrużąc oczy w jasnym blasku ognia, ale poza tym nie zdradzając żadnych emocji.

Ostatnie drzwi stanęły otworem. Wokół niego buchnęło świeże powietrze, a na nocnym niebie można było dostrzec gwiazdy.

Bez pośpiechu wyszedł na zewnątrz.

Brązowa, tynkowana ściana wznosiła się nad nim na mniej więcej dziesięć pięter. Po lewej stronie, cienie na ziemi układały się w długi poszarpany kształt, więc prawdopodobnie jakaś kolejna część budynku, wznosiła się dalej w górę, tylko nieco cofnięta względem dolnej kondygnacji. Teren wokół wyjścia był idealnie równy i pozbawiony roślinności. Najbliższym żywą rzeczą była ściana krzewiastych drzew,

rosnących jakieś trzydzieści metrów dalej, i to ku nim mężczyzna zaczął maszerować tym samym, zmęczonym krokiem.

Jak gdyby instynktownie, znalazł szeroką, zadbaną ścieżkę między drzewami. Lekki wietrzyk poruszał długimi, zwisającymi liśćmi. Nie oglądając się za siebie, mężczyzna podążył ścieżką w górę łagodnego zbocza i dalej po łuku wzgórza. U podnóża przeciwległego zbocza nagle dwie postacie skryły się z powrotem w cieniu. Szedł dalej.

— To ty, Gerson? — dobiegł głośny szept, gdy dwaj Terranie ponownie zrobili krok do przodu. — Chodź, mamy tu samochód powietrzny! Czy ktoś cię śledził?

Wysoki mężczyzna odwrócił się, aby ruszyć z nimi przez kępę drzew. Wydawało się, że to nieodpowiedni moment na rozmowy, skoro za nimi czaił się pościg. Obaj w milczeniu wepchnęli go do czarnego kadłuba samochodu powietrznego i ostrożnie przemieścili pojazd między drzewami, lecąc tuż nad ziemią. Wzbili się wyżej w powietrze dopiero wtedy, gdy oddalili się o pół mili, od górującego nad wszystkim miasta-roju.

ROZDZIAŁ IX

Westervelt siedział bibliotece, pomiędzy narożnym gabinetem Smitha a salą konferencyjną przylegającą do centrum łączności, i obserwował, jak Lydman ślęczy nad raportem technicznym w niebieskiej oprawie Departamentu Stosunków Międzygwiezdnych. Na stole między nimi leżało z pół tuzina innych tomów, starych oraz nowych, zarówno o charakterze technicznym i dyplomatycznym.

Młodzieniec przyłapał się na tym, że mierzwi dłonią włosy w typowy dla Smitha sposób i przerwał z przerażeniem. Po namyśle uznał, że mogłoby być gorzej: mógłby przecież przejąć jakieś dziwactwa Lydmana.

Pewnie, powiedział sobie, powinien wykazać więcej rozsądku i wziąć sobie jako wzór uprzejmość Parrisha, skoro już musiał naśladować sposób zachowania kogoś w departamencie. Niestety, nie przepadał za Parrishem, nawet kiedy nie czuł do tego człowieka bezpośredniej zazdrości.

Pewnego dnia, rozmyślał Willie, ty też się na coś wkurzysz. Kiedy to się stanie, twój sposób zachowania będzie podobny do tej góry mięcha, która siedzi przed tobą.

Od razu zawstydził się tej myśli. Lydman był dla niego, na swój sposób, bardziej uprzejmy niż ktokolwiek inny w biurze. Co więcej, wcale nie był górą mięcha. Westervelt przypomniał sobie widok Lydmana na otwartej plaży, gdzie wydawał się czuć bardziej swobodnie, niż w jakimkolwiek innym miejscu. Mężczyzna utrzymywał umięśnioną i porządną sylwetkę. Pomimo udręczonego wyglądu, który czasami malował się na jego twarzy, prawdopodobnie nie miał jeszcze trzydziestki.

„Więc nadal jest szybki i silny", pomyślał Westervelt. „Jeśli rzeczywiście rzuci się biegiem do drzwi, tak jak przewiduje to Joe, Willie, mój chłopcze, upewnij się, że nie stoisz mu na drodze!"

Teoretycznie miał pomagać Lydmanowi w badaniu jakichś problemów, które naprędce wymyślił Smith. Do tej pory przeczytał jeden krótki artykulik, który nudził byłego marynarza kosmicznego, i dwukrotnie zajrzał do teczek z aktami spraw. Doskonale zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę, chodziło o to, aby ktoś nieustannie był z Lydmanem. Z tego powodu gotów był w każdej chwili do przejęcia obowiązku odebrania każdego nieoczekiwanego telefonu. Z determinacją miał ogłaszać każde połączenie nieocenzurowane przez Pauline, jako zły numer, nawet jeżeli zadzwoniłby osobiście sam szef D.S.M.

Lydman uniósł wzrok znad lektury.

— Robię się głodny; ty nie, Willie?

— Chyba tak. Nawet tego nie zauważyłem — odparł Westervelt.

— A może zadzwonisz po coś? Weź, co chcesz.

To typowe dla Lydmana, uświadomił sobie Westervelt. Ten człowiek nie zwracał uwagi na to, co je. Smith byłby bardziej precyzyjny, choć

pozbawiony wyobraźni. Parrish dałby mu dokładne instrukcje dotyczące nawet przypraw. Dziewczyny wybrałyby coś ohydnego według standardów Westervelta. Odsunął krzesło i wstał.

— Lepiej zobaczę, co tam u innych, na tym froncie — oznajmił. — Zdaje się, że pan Smith mówił coś o tym, że najszybciej będzie chyba splądrować naszą własną szafkę z jedzeniem. Wrócę za chwilę.

Lydman uniósł swe szaroniebieskie oczy i spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— Nie ma pośpiechu — stwierdził łagodnie.

Westervelt pomyślał, że Lydman wciąż go obserwuje, kiedy przechodził przez drzwi, ale nie lubił się oglądać. Możliwe, że tak właśnie było.

Kiedy dotarł do głównego biura, zastał obie dziewczyny wkładające teczki do pojemnika z bieżącymi sprawami, stojącego naprzeciwko biurka Simonetty.

— A co byście powiedziały na małe co nieco? — spytał. — Coraz mocniej zaczynają mnie prześladować myśli o jedzeniu.

— Willie — stwierdziła Simonetta — daleko tu zajdziesz. Żaden z tych innych mózgów nie wpadł na taki dobry pomysł. Zadzwonię po coś, jeśli dowiesz się, czego chcą ludzie.

— Myślę, że pan Smith będzie chciał skorzystać z rzeczy, które mamy w szafce — powiedział Westervelt, blokując jej drogę do biurka. — Poczekaj chwilę, sprawdzę.

Zapukał do drzwi Smitha, otwierając je. Zastał szefa z większością papierów na biurku odsuniętą na jeden bok, tak aby wbudowany czytnik taśm, który zwykle był nimi przywalony, można było wydobyć z jego miejsca ukrycia. Smith marszczył brwi, jakby z tego co przeglądał, zdołał wyciągnąć niewiele użytecznych informacji.

— Ludzie robią się głodni — powiedział szeptem Westervelt. — Czy można splądrować naszą szafkę dla gości?

Smith wyłączył urządzenie i przetarł dłonią długą twarz.

— Dobrze, Willie — zgodził się. — Im szybciej, tym lepiej. Weź, co uznasz za stosowne i rozdaj innym. Tymczasem lepiej sprawdzę sytuację na dole - skoro już o tym mowa, kiedy dzwoniłeś, czy miałeś połączenie zewnętrzne i sam wybrałeś numer?

— Nie, ale dogadałem się z Pauline — powiedział Westervelt.

Pomyślał sobie, że to iż Smith powierzył sprawę jedzenia jemu, było może odrobinę lepsze niż wysyłanie go, aby przyjmował zamówienia od wszystkich, jak chciały to dziewczyny, ale i tak znacznie poniżej statusu uczestnika narad, który zdawał się mieć jeszcze godzinę wcześniej.

— Dobry chłopak! — pochwalił go Smith. — A więc, będzie wiedziała, z kim chcę rozmawiać i że nie powinna podsłuchiwać.

Westervelt nie był zbyt optymistycznie nastawiony do tego ostatniego warunku, ale wyszedł bez słowa, nie próbując sprawiać szefowi przykrości.

„No cóż, tak to bywa”, pomyślał. „W jednej chwili pracownik projektu, w drugiej goniec biurowy! Jeśli wybiorę do jedzenia to, co wszyscy lubią, może znowu będę pracownikiem projektu. Lecz jeśli spodoba im się to za bardzo, to zostanę oficjalnym szefem kuchni, ilekroć ktoś ważny zostanie u nas na lunch.”

Wizja tego, jak siedzi na naradzie z jakimś wpływowym urzędnikiem z D.S.M. i przedstawia swoje genialne rozwiązanie problemu, a potem zostaje poproszony o szybkie przygotowanie posiłku, sprawiła, że zatrzymał się przed drzwiami i zmarszczył brwi.

— Co więc teraz, Willie? — spytała Simonetta.

Otrząsnął się.

— Zostaw to mnie, Si — odpowiedział, siląc się na uśmiech. — Mam wszystko pod kontrolą.

— Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz — skomentowała Beryl. — Nie zniosę talerza puree ziemniaczanego z sosem, ani nic podobnie tuczącego.

— Będziesz miała to co chcesz — obiecał Westervelt. — Nie chciałbym, żeby cokolwiek zepsuło ci figurę. Pozwól mi tylko przejść do szafki.

Objął ją w talii, żeby odsunąć na bok. Pod jego palcami skóra na jej boku była miękka i jędrna, i z trudem powstrzymał się od impulsu, aby ją uściskać.

Beryl odsunęła się, ani na tyle szybko, żeby wyglądało to nieśmiałość, ani na tyle wolno, by sugerować pobłażliwość. Westervelt wzruszył ramionami. Podszedł do pustego kawałka ściany, na końcu rzędu szafek z dokumentami, i odsunął panel, odsłaniając białą emaliowaną szafkę z jedzeniem.

Podzielona była na część górną i dolną, z przezroczystymi drzwiczkami, które odsuwały się na boki, w ściany. Dolna część była chłodzona. Westervelt otworzył górną, aby móc się wygodniej rozejrzeć.

Większość zafoliowanych opakowań zawierała kanapki, wiele z nich samonagrzewających się. Nieco większe pojemniki mieściły bardziej treściwe smakołyki: walijskiego królika, indyka z pieczonymi ziemniakami, polędwicę wołową, krokiety z grzechotnika i sałatkę z łososiem. Były tam też szczelnie zamknięte kubki z kawą, herbatą lub bulionem, które same się nagrzewały po otwarciu, a w zamrażarce lody i owoce.

— Si, daj mi parę koszyków na wynos — poprosił Westervelt, wyciągając rękę.

— Pustych?

— No dobrze - dla ciebie i dla Beryl mogą być tacki na wynos. Czego się spodziewasz, że będę roznosił kolację dla wszystkich w kieszeniach?

— Szczerze mówiąc, tak — przycięła Beryl. — Ale nie moją. Niech zobaczę, co oni tam mają!

Przyglądała się dostępnemu zestawowi, podczas gdy Westervelt eksperymentował z balansowaniem z dwiema pustymi tacami ułożonymi na przedramieniu. Zanim opanował tę umiejętność, dziewczyny go zablokowały i musiał poczekać, aż dokładnie zastanowią się nad możliwościami posiłku. Ostatecznie Simonnetta wybrała cielęce scallopini; Beryl wzięła kanapkę z krabem dla siebie i polędwicę wołową dla Parrisha. Westervelt uśmiechnął się, widząc, że dziewczyna wybrała również cztery zapieczętowane martini.

Jego decyzje były proste. Odsuwając na bok rodzącą się ciekawość odnośnie mięsa grzechotnika, wziął paczkę smażonych jajek z szynką - żeby sprawdzić, czy będzie nadawało się to do zjedzenia - oraz

samonagrzewającą się paczkę paszteciков z mielonym mięsem. Dla Smitha, Lydmana i Rosenkrantza nałożył tacę z pół tuzinem kanapek z pieczenią wołową lub z indykiem, zestawem paszteciков i lodów oraz wszystkimi pojemnikami z kawą, jakie się zmieściły.

— Si, wybierz coś dobrego dla Pauline — poprosił, zauważając, że Beryl już idzie przez biuro do drzwi Parrisha.

Simonetta wykrzyknęła z niezadowolenia, odsunęła pojemnik, który podgrzewała już na biurku, zgodnie z instrukcją, i kazała mu pójść z jedzeniem do pozostałych.

— Wezmę jej sałatkę i trochę bulionu — powiedziała. — Dzieciak myśli, że musi już uważać na wagę.

Po zastanowieniu się, Westervelt dodał do swojego ładunku martini dla Smitha, zakładając, że szef będzie go potrzebował.

Wszedł do szefa jako do pierwszego, dając Smithowi znać, że dla Lydmana będzie tylko kawa, i wyszedł prosto na korytarz. Następnym przystankiem było pomieszczenie łączności, a resztę zabrał do biblioteki, żeby podzielić się z Lydmanem.

Jego towarzysz wziął sobie kanapkę z pieczenią wołową, pociągnął za zawleczkę i jednym ruchem potężnych palców otworzył ją po wymaganych trzydziestu sekundach. Westervelt miał trochę więcej problemów z paczką jajek z szynką, ale kubki z kawą były prostsze. Siedzieli w milczeniu, z wyjątkiem paru sporadycznych słów i krótkiej krzątaniny, kiedy Westervelt wylał kawę na listę spraw, które Lydman wymyślił do dalszego sprawdzenia. Były marynarz metodycznie przeżuł trzy kanapki i wypił dwa kubki kawy, przez cały czas przeglądając egzemplarz „Galatlasu".

Westervelt uznał smażone jajka z szynką za rozczarowanie.

„Powinienem był spróbować steku", pomyślał. „Jajek się nie da się przetwarzać. Nie tak, żeby dobrze smakowały."

Została jedna kanapka, z zimnym indykiem, a Lydman właśnie zaczął trzecią, więc młodzieniec się poczęstował. Następnie gorący pasztecik z mielonym mięsem, który miał prawdziwy smak indyka, i poczuł się całkiem najedzony, zanim Lydman skończył lody.

— Mam jeszcze przynieść kawy? — zaproponował Westervelt.

— Nie dla mnie — odparł jego towarzysz. — Ale jeśli idziesz, możesz zabrać te teczki.

Westervelt skorzystał z pretekstu, żeby wyjść na parę minut. Wpadł, żeby sprawdzić, czy Joe czegoś nie chce, obiecał poszukać dla niego bourbona, i wrócił do głównego biura. Zastał Simonettę samotnie popijającą kawę.

— Zostawili cię samą? — spytał.

— O nie — odparła. — Szef wyszedł i wypił kawę z Pauline i ze mną, ale potem ona dostała połączenie do niego i stwierdził, że wolałby odebrać je w swoim biurze.

Westervelt podszedł do drzwi Smitha i nasłuchiwał. Teoretycznie powinny być dźwiękoszczelne, więc uchylił je na szparę. Słysząc głos Smitha, spróbował szczęścia i wsunął głowę do środka. Szef był na tyle zajęty telefonem, że nie zauważył najścia.

— Tak, rozumiem pańskie starania — powiedział właśnie Smith, najwyraźniej powtarzając to już po raz kolejny. — Mimo to, jeśli nie ma sposobu, żeby podesłać nam windę, wolałbym aby nie wysyłał pan ekipy wspinającej się po schodach dwadzieścia pięć pięter w górę, żeby wyważyć drzwi. Jeśli i tak trzeba je wyważyć, damy radę to zrobić sami.

Westervelt rozpoznał głos, który odezwał się w odpowiedzi, choć teraz był on znacznie bardziej ochrypły, jako głos srebrnowłosego kierownika z dołu. Zastanawiał się, czy widok obu panów nawzajem, nie sprawił by zarówno kierownik jak i Smith, mieli ochotę przyczesać sobie włosy.

— Oczywiście, naprawimy później wszelkie szkody — powiedział Smith. — Poza tym, na pewno macie sporo innych osób na niższych piętrach wieżowca, którymi musicie się zająć.

— Większość z nich wykazuje się rozsądkiem, pozostając w swoich biurach do czasu rozwiązania obecnej sytuacji kryzysowej.

Westervelt wślizgnął się do środka i zaczął obchodzić biuro wzdłuż ściany, aż zobaczył nadąsaną twarz na ekranie telefonu Smitha. Mężczyzna miał teraz ciężkie cienie pod oczami, chociaż otarł już pot, który go oblał, kiedy rozmawiał z nim Westervelt.

— No cóż, może mamy nieco inne problemy — wyjaśnił Smith kierownikowi.

— Problemy! — wykrzyknął ten ostatni. Jego wysiłek, w próbie stłumienia emocji, był wyraźnie widoczny. — No cóż… oczywiście… jeśli to naprawdę poważne, może moglibyśmy poprosić policję o przysłanie ekipy ratunkowej…

— Nie! — przerwał mu gwałtownie Smith. — Żadnej ekipy ratunkowej! W żaden sposób nie potrzebujemy pomocy. Absolutnie!

Kierownik popatrzył na niego z ponurą podejrzliwością.

— Czy ktoś jest chory? — spytał. — Nie możemy ponosić odpowiedzialności za jakiekolwiek pozwy sądowe z powodu odmowy wezwania właściwych organów.

— Czy pan nie jest właściwym organem? — dopytywał się Smith. — Po prostu proszę uruchomić windę, dobrze? Poczekamy do tego czasu.

— Nie ma sposobu, aby przewidzieć, kiedy przywrócą zasilanie — powiedział kierownik. — Musicie mieć gdzieś w biurze telewizor, żebyście mogli odbierać nowe biuletyny z wiadomościami o sytuacji, jak tylko będą one podawane. — Przerwał, żeby włożyć pastylkę do ust, westchnął i dodał: — Pewnie dosyć szybko.

Smith odchylił się na krześle z wyrazem zmartwienia na twarzy. Zobaczył Westervelta i zaczął gorączkowo machać w stronę holu.

— Kompletnie o tym nie pomyślałem — wykrzyknął młodzieniec.

Wypadł do holu prywatnym wejściem Smitha, zdał sobie sprawę, że będzie musiał minąć bibliotekę, żeby dotrzeć do Joe Rosenkrantza z nakazem cenzury wiadomości, i zawrócił do głównego wejścia do biura.

Wszedł do biura, zobaczył Simonettę siedzącą wciąż przy swoim biurku i otworzył drzwi do boksu Pauline. Kiedy wszedł do środka, razem z małą blondynką, jej obrotowym fotelem i centralką, było tam akurat tyle miejsca, żeby ledwie mogli oddychać.

— Pauline! — wysapał. — Wybierz numer pomieszczenia łączności i pożycz mi swój zestaw słuchawkowy!

— Przytulnie się tu zrobiło! — zachichotała, ale zrobiła, o co prosił.

Joe odpowiedział natychmiast.

— Joe, tu Willie. Tak się składa, że Charlie Colborn wymienia tranzystory we wszystkich odbiornikach osobistych jakie tam macie, więc nie możesz teraz odbierać żadnych wiadomości - prawda?

Zapadła głęboka cisza, zanim otrzymał odpowiedź.

— Dobrze. Niech tak będzie. Możesz rozmawiać? Nie widzę obrazu.

— Jestem z Pauline. Wszystko w porządku. To znaczy, to była tylko myśl, tak na wszelki wypadek…

— Jasne — powiedział Rosenkrantz. — Powinienem sam na to wpaść. Wszystko inne w porządku?

Westervelt potwierdził mu że tak, dodając, że ma nadzieję, iż tak będzie dalej. Następnie oddał zestaw słuchawkowy Pauline, która połaskotała go po żebrach, kiedy przeciskał się, żeby wyjść z kabiny.

— Nie waż się! — Zachichotała, gdy odwrócił się do niej. — Będę mówić!

— Proszę, nie, Pauline — westchnął. — Wszystko, tylko nie to!

Przeszedł spokojnie obok Simonetty, która spoglądała na niego z niedowierzaniem, i ponownie stanął w drzwiach gabinetu Smitha. Za sobą usłyszał dźwięk zamykanych drzwi i ciche stukanie wysokich obcasów na sprężystej podłodze. Głos Beryl coś powiedział, kiedy zaczął oglądać się za siebie. Zatrzymał się.

— Co ona powiedziała? — spytał Simonettę.

Beryl zniknęła już w holu.

— Powiedziała, że pan Parrish zaprosił ją na koktajl na dole. Uważa, że powinni mieć jakieś dwadzieścia minut na odpoczynek, przed powrotem do pracy.

— Żartujesz! — sapnął Westervelt.

— Nie, nie żartuję! Willie, zachowujesz się strasznie dziwnie. Gdzie się chowasz za każdym razem…

Westervelt już biegł do holu.

Poślizgnął się i o mało nie upadł, wypadając z wejścia do biura. Beryl stała w pobliżu windy.

— Wezwałaś ją już? — spytał Westervelt.

— Nie, czekam na pana Parrisha — oznajmiła Beryl tonem podkreślającym niezręczny charakter trzyosobowego zgromadzenia.

— Masz rozmazaną szminkę — poinformował ją Westervelt.

Beryl popatrzyła na niego z jeszcze mniejszym przekonaniem niż Simonetta, ale pośpiesznie zerkając na zegarek, zaczęła szukać w torebce puderniczki.

— Chodź tu do środka, światło jest lepsze — powiedział Westervelt.

Złapał ją za łokieć i wciągnął do biura, zanim zdążyła się oprzeć.

— Proszę, Willie! Robisz ze mnie pośmiewisko! — zaprotestowała chłodno.

Westervelt był już prawie za drzwiami, z determinacją próbując skorzystać z drugiego wejścia do gabinetu Smitha, kiedy zobaczył otwarte

drzwi do gabinetu Parrisha, od strony korytarza. Zawrócił akurat w samą porę, by spotkać Parrisha, kiedy ten wychodził na korytarz.

— Beryl kazała panu powiedzieć, że zaraz wróci — powiedział, machając kciukiem mniej więcej w kierunku toalet.

— Och. Dzięki, Willie — odpowiedział Parrish. — Zaczekam w środku.

Westervelt dotarł do gabinetu Smitha, zanim Parrish zdążył zamknąć drzwi do swojego gabinetu. Kątem oka dostrzegł błękit sukienki Beryl.

— Panie Smith! — zawołał, wsuwając głowę do środka. — Chyba potrzebuję pomocy!

ROZDZIAŁ X

Pierwszym doznaniem, które boleśnie przebiło się do świadomości Taranto, było uczucie gorąca. Gorąca, a potem wilgotnego swędzenia zalewającego go potu.

Następnym odczuciem, które pojawiło się, kiedy na wpół przytomnie próbował rozluźnić swą zaciśniętą szczękę, było pragnienie. Ta szaleńcza potrzeba rozbudziła go całkowicie. Zanim zdążył się powstrzymać, wyrwało mu się jęknięcie.

Natychmiast spadł z czegoś, co go podtrzymywało w kołyszący, miękki sposób. Z hukiem upadł na twardą ziemię.

Nad nim rozległ się gwar syssokańskich głosów. Odpowiedziały mu inne syssokańskie krzyki dochodzące z nieco większej odległości. Taranto zamknął oczy i leżał bezwładnie w miejscu, w którym upadł, próbując zrozumieć, co mogło pójść nie tak.

Krótko przed świtem on i Meyers połknęli dostarczone im kapsułki, zgodnie z instrukcją. Pamiętał, że potem nastąpił okres mglistej senności, a następnie już nic, aż do chwili, kiedy się obudził. Z wciąż oszołomionego umysłu próbował wydobyć zarys wydarzeń, których należało oczekiwać obecnie.

Mieli nadzieję, że zostaną wywiezieni na pustynię, prawdopodobnie na syssokański cmentarz, zgodnie z miejscowymi zwyczajami, i pozostawieni aby odparować w wysuszającym blasku słońca. Planowano, że późnym popołudniem wyląduje po nich statek kosmiczny. Spodziewano się, że Syssokanom niewątpliwie zajmie parę godzin zgłoszenie ich „zgonów" oraz uzyskanie oficjalnego pozwolenia na usunięcie ciał, mimo że tubylcy byli mniej uzależnieni od biurokracji niż Terranie. Mimo to powinni byli porzucić ich „ciała" na długo przed tym, zanim Taranto spodziewał się obudzić.

Zaryzykował, otwierając jedno oko. Nogi Syssokan tłoczące się dookoła, zasłaniały mu widok, ale dostrzegł, że zapada zmrok. Gorąco, które czuł, zapewne było bardziej ciepłem emitowanym przez piasek i kamienie, prażące się przez cały dzień w słońcu.

Dotarcie tak daleko musiało zająć Syssokanom sporo czasu. Zastanawiał się, czy może wywieźli ich na pustynię, na tak nietypową odległość, po to aby uniknąć skażenia własnych cmentarzysk, czy też po prostu było to wynikiem jakiejś długiej debaty na temat właściwego postępowania w przypadku zmarłych kosmitów.

„O mój Boże!" – pomyślał. „A co, gdyby postanowili poddać nas sekcji? Nigdy mi to nie przyszło do głowy! Ciekawe, czy ten żartowniś, który przysłał te pigułki, na to wpadł?"

Cokolwiek poszło nie tak, plan wydarzeń mocno się opóźniał. Wyobrażał sobie złość człowieka z D.S.M., obserwującego wszystko przez

swoje małe, latające szpiegowskie oko. Taranto miał nadzieję, że piloci wynajęci do ich zabrania, wciąż byli w gotowości - w najgorszym razie przynajmniej powinni mieć ze sobą wodę. Ostrożnie spróbował poruszyć językiem w ustach. Ten jednak przykleił mu się do zębów. Podejrzewał, że będzie miał okropny smak, o ile w ogóle będzie czuł jakikolwiek.

„Gorąco!", pomyślał. „Przez cały dzień wchłaniałem ciepło i się nie pociłem. Teraz bucha ono ze wszystkich porów mojego ciała."

Cokolwiek ten lek spowodował lub nie, musiał niemal całkowicie zakłócić większość normalnych funkcji organizmu. Nic dziwnego, że teraz, kiedy zaczął dochodzić do siebie, pocił się tak mocno! Mimo to czuł się, jakby miał wysoką gorączkę. Miał nadzieję, że nie nieśli go zbyt długo. O ile nie leżał w celi - albo, lepiej, w jakimś pomieszczeniu do badań, na parterze - przez większość czasu, jaki zajęły im spory wstrzymujące pozbycie się jego ciała, instynkt podpowiadał mu, że najprawdopodobniej umrze.

Ktoś szorstko przetarł mu twarz dłonią, prześlizgując się po warstwie utworzonej przez pot. Na tę demonstrację, nad jego głową rozległy się kolejne okrzyki. Jeden z Syssokanów wykrzyknął coś bełkotliwie, jakby do drugiego, znajdującego się gdzieś dalej.

Chwilę później Taranto usłyszał ochrypły skowyt, który mógł wydobyć się tylko z terrańskiego gardła. Potem zaczął formować się on w słowa i zdał sobie sprawę, że to musi być Meyers.

„No to, wszystko poszło w diabły!" - pomyślał i otworzył oczy.

Syssokanin spoglądający na niego z góry, syknął ze zdumienia. Pozostali, którzy obserwowali w tym momencie inną grupę, znajdującą się w odległości około dwudziestu stóp, odwrócili się, aby spojrzeć na Taranto. Został poderwany na nogi przez pierwszą parę, która o tym pomyślała. Jeden z nich, niższy oficer w czerwonym mundurze, wyrzucił z siebie jakieś pytanie do Terranina, zapominając, w swym wyraźnie widocznym podnieceniu, że mówi po syssokańsku. Taranto otarł twarz rękawem koszuli. Zaczynał czuć nieco większy chłód, gdy lejący się z niego pot parował w suchym powietrzu, ale otoczenie nadal wydawało się nierealne, jak w gorączkowej malignie.

Nie do końca rozumiał, co krzyczy Meyers, ale już nawet w samym jego ochrypłym głosie, wyczuwał błagalną nutę. Taranto pomyślał, że pewnie chodzi mu o wodę. Stojący przed nim Syssokanin zebrał myśli i powtórzył pytanie po terrańsku.

— Co to zznaczy? — spytał, wpatrując się gniewnie w Taranto swymi ogromnymi, czarnymi oczami.

Terranin próbował odpowiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Niemrawo wskazał bukłak przymocowany do uprzęży jednego z żołnierzy. Po chwili wahania oficer machnął ręką na znak zgody. Żołnierz odczepił pojemnik i podejrzliwie podał go Taranto. Obawiając się skutków zbyt dużej ilości płynu na raz, Terranin zmusił się do wypicia tylko kilku niewielkich łyków. Żałował, że nie może wsadzić do bukłaka całej głowy i wchłonąć wody przez skórę, na podobieństwo bibuły.

— Ty jessteś martwy! — zawołał niecierpliwie oficer.

Drobne zielonkawo-szare łuski na jego twarzy wydawały się być wręcz zmierzwione. Taranto walcząc z zawrotami głowy, szukał jakichś sensownych wyjaśnień, usprawiedliwiających to że ciągle żył. Doszedł do wniosku, że istnieje nikła szansa na uniknięcie karnego pobicia.

— Skoro oficjalnie ogłoszono śmierć, to oczywiście, że nie żyję! — wychrypiał. — Czego się spodziewałeś? Patrz, jaki jestem słaby!

Syssokanie obrócili ku sobie swoje wąskie, spiczaste czaszki.

— To moje ostatnie chwile — oświadczył ze smutkiem Taranto.

— Jakie osstatnie chwile? — spytał oficer.

— Tak Terranie odchodzą — odparł marynarz. — Nie widziałeś nigdy śmierci Terranina?

Oficer zamilkł, nie chcąc przyznać się do tego ostatniego, z zamyśleniem przesuwając dłonią po swojej grubej talii, ale jego wahanie dało Taranto szansę.

— Tak to się odbywa — powiedział Taranto. — Najpierw omdlenie… to znaczy, zasypiamy. Potem ostatnie minuty, pot śmierci i… do widzenia!

Uniósł bukłak i pociągnął długi haust, ryzykując wypicie jej większej ilości, bo bał się, że nie pozwolą mu wziąć kolejnego łyka.

Miał rację. Oficer wyrwał mu bukłak i wcisnął go w długie palce oburzonego właściciela.

— Sskoro jessteśście tacy martwi — spytał, całkiem logicznie — to dlaczego pijecie naszszą wodę?

— Przepraszam — przeprosił Taranto. — Gdzie jesteśmy?

— A co wam to za różżnica?

— Ja… eee… nie chcę sprawić przykrości ani przynieść pecha, umierając na jednym z waszych cmentarzysk.

— To ssię nie wydarzy — odparł ponuro oficer. — Zosstaliśśmy wyssłani w inne miejssce, żeby ssię przed tym zzabezzpieczyć. Sspójrzcie zza ssiebie - tam daleko widać miassto.

Taranto odwrócił się. W oddali majaczył zarys miejskich murów, z migoczącymi tu i ówdzie światłami na wieżach strażniczych, jakieś pięć mil od nich. Niewielkie wzniesienie na pagórkowatym terenie pustyni skrywało podstawę murów i większą część wyboistego szlaku, którym najwyraźniej tu przybyli. Byłoby to idealne miejsce na szybkie lądowanie statku kosmicznego.

— Chceszsz ssię tu położżyć? — spytał uprzejmie oficer. — Poczekamy, aż to ssię sskończy.

„Nie bądź taki cholernie pomocny!”, pomyślał Taranto.

Rozejrzał się rozpaczliwie, starając się sprawić wrażenie, że szuka wygodnego miejsca do położenia się. Czuł, że sytuacja z każdą chwilą staje się coraz bardziej nieprzyjemna. Teraz, kiedy podejrzenia Syssokan zostały tak mocno rozbudzone, bardzo trudno będzie ponownie skutecznie udawać śmierć. Mogliby się co do niej upewnić, na swój sposób.

Koło niego stało z pół tuzina żołnierzy w brązowych strojach. Czterech z nich, z włóczniami przewieszonymi przez ramiona na plecionych rzemieniach, najwyraźniej go niosło, a dwóch innych pełniło rolę pomocników. Oprócz oficera był też podoficer, również w brązie, ale w czerwonej uprzęży. Nieopodal, podobna grupa skupiła się wokół Meyersa.

Taranto dostrzegł, że został tu zrzucony z czegoś w rodzaju płaskich noszy z wikliny. Były one wykonane niedbale, jakby miały zostać porzucone wraz z ciałem, któremu służyły do ostatniej podróży. Zastanawiał się, czy wobec tego można było założyć, że są one jego własnością.

— Nie denerwujcie się — oznajmił. — Ledwie jestem w stanie zrobić krok, żeby usiąść. To zajmie tylko parę minut. Do widzenia!

Oficer Syssokan nie ruszył się z miejsca. Taranto nie śmiał nawet na to liczyć. Próbował wymyślić jakieś dalsze wymówki, kiedy Meyers oszczędził mu kłopotu.

— Ratunku! Taranto! — wrzasnął drugi z marynarzy, nagle wyskakując spośród zebranej wokół niego grupy tubylców. — Powiedziałem im, że żyjemy, a oni chcą nas zabić!

Biegł chwiejnym krokiem w stronę Taranto, wzbijając tumany piasku. Przód jego koszuli był pokryty potem i spływającą z niego wodą. Wyglądał na prawie oszalałego ze strachu.

— Ach, oni żżyją! — krzyknął oficer. — Łapać ich!

Wydawało się, że dopiero po jakichś dziesięciu sekundach zdał sobie sprawę, że tym razem odezwał się po terrańsku. Najwyraźniej czując, że nie wszyscy jego ludzie mogli wcześniej nauczyć się tego języka, zaczął powtarzać rozkaz w syssokańskim. Taranto przerwał mu, uderzając pięścią prosto w środek jego zielonkawo-szarej twarzy. Syssokanin, z szeroko rozpostartymi ramionami, poszybował efektowne do tyłu i wylądował na karku w stercie żwiru. Meyers krzyknął ochryple, gdy jego tragarze dogonili go i powalili go na ziemię.

Taranto rzucił się do przodu, aby podnieść z ziemi wiklinowe nosze. Jakaś dłoń o długich palcach chwyciła go za ramię, ale puściła, kiedy odskoczył do tyłu, nie oglądając się za siebie. Uniósł nosze i zamachnął się nimi szerokim łukiem w stronę trzech Syssokan, którzy już niemalże go dosięgali.

Dwóch, nie osłoniwszy głów, upadło; ale rama noszy złamała się. Taranto rzucił nosze w drugiego Syssokanina, spoglądając z nadzieją w niebo. W zapadającym zmroku nie było jednak żadnych oznak ognistego śladu opadającego statku kosmicznego. Musiał się schylić, bo pozostali trzej tragarze wyciągali już w jego stronę ręce.

— Wstawaj, Meyers! — krzyknął.

Przyjął natarcie mocnym lewym ciosem, który odrzucił prowadzącego Syssokanina na plecy. Następny zawahał się i został odepchnięty przez szóstego, który miał dość rozumu, aby użyć włóczni.

Taranto zrobił kroczek w bok i ominął prymitywny, lecz duży grot, który zmierzał prosto w jego brzuch. Drzewce włóczni przesunęło mu się po lewej stronie żeber, on zaś uderzył atakującego żołnierza, ponad jego wyciągniętymi ramionami, prosto w głowę. Ścisnął włócznię między łokciem a tułowiem, przytrzymując ją, kiedy napastnik zatoczył się do tyłu.

Dwóch lub trzech tubylców nadbiegało teraz od strony miejsca, gdzie w półmroku na Meyersie siedziała cała grupka postaci. Nie śpieszyli się

specjalnie. Taranto zaczął odwracać włócznię, by dźgnąć Syssokanina stojącego po lewej stronie, kiedy usłyszał za sobą szuranie.

Odwrócił się w prawo, instynktownie uchylając się przed przelatującym obok niego ciałem. Kiedy się odwrócił, zauważył, że większość tych, których powalił, wstała już ponownie i ruszyła naprzód. Oficer, z dolną częścią twarzy wymazaną purpurową krwią, rzucił się na Taranto ze wszystkich sił. Wykrzyczał w swoim języku jakiś rozkaz.

Marynarz trzonkiem włóczni uderzył mocno Syssokanina w głowę, posyłając go na twarz. Jednemu z pozostałych udało się jednak chwycić broń. Instynkt podpowiadał Taranto, że każda próba przeciągania włóczni, doprowadzi do śmiertelnego, dla niego, zwarcia. Uskoczył więc i pobiegł w kierunku grupy przygniatającej Meyersa.

Kiedy skupił się na wbiciu się z jak największą siłą w kłębiącą się przed nim grupę, za nim rozległ się chrapliwy głos Syssokanina. Terranin uderzył z impetem, rozrzucając ciała na wszystkie strony. Sam Taranto poczuł, jak piasek zgrzyta mu o zęby, kiedy na wpół toczył się, na wpół ślizgał po ziemi.

Jego prześladowcy dogonili go po chwili w nowym miejscu starcia. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył Taranto, kiedy udało mu się podciągnąć pod siebie jedno kolano, był tępy koniec włóczni niemalże wbijający się mu w środek tułowia. Atakujący włócznią Syssokanin wysunął środek ciężkości ciała daleko przed rozpędzone stopy, najwyraźniej z zamiarem wyrządzenia mu jak największej krzywdy. Marynarz przez ułamek sekundy zastanawiał się, dlaczego tubylec nie użył ostrza.

Potem wykręcił biodra i tułów w prawo, odchylając jednocześnie lewe ramię. Kiedy włócznia mijała go, uderzył mocno lewą ręką w jej drzewce. Tępy koniec broni wbił się w piasek, a Syssokanin syknął z zaskoczenia, ponieważ zanim zdążył ją puścić, przeleciał przez nią z pełnym impetem, lądując głową w dół i do góry nogami. Kolejny z napastników, biegnący tuż za nim, trafiony został w środek uprzęży przez frunącą w powietrzu stopę Taranto, po czym z jękiem upadł na leżącego towarzysza. Dwóch następnych, którzy odrzucili swoje włócznie, wyciągnęło ręce w kierunku Terranina, ponaglani przez biegnącego tuż za nimi oficera.

Taranto zobaczył, jak Meyers chwiejnie zbiera się na nogi. W tym momencie rzucili się na niego dwaj Syssokanie. Taranto uskoczył w lewo, przeskakując nad czyimiś leżącymi na ziemi nogami, sparował zmierzającą w jego stronę dłoń i wyprowadził długi, niski lewy sierpowy, który w minionych latach zapewnił mu szacunek znawców boksu.

Na ringu powalał przeciwników tym ciosem. Spodziewał się co najmniej głośnego, ostrego świstu powietrza wylatującego z płuc Syssokanina, ale ten go rozczarował. Zgiął się bezwładnie w pół, w milczeniu.

Na sekundę lub dwie wszystko zamarło. Taranto wpatrywał się w żołnierza, leżącego przed nim na ziemi niczym luźny worek kartofli. Nawet Syssokanie, którzy w tej chwili nie podnosili się na nogi, również gapili się na to, z otwartymi ustami.

W mózgu marynarza nastąpił rozbłysk iluminacji. Ci, których trafiał w głowy, zrywali się na równe nogi równie szybko, jak ich powalał.

— Wal ich po brzuchach! — krzyknął do Meyersa. — Oni tam mają mózgi!

Rzucił się na najbliższego Syssokanina, z ustami wykrzywionymi w nieświadomym grymasie. Żołnierz odruchowo skrzyżował ramiona przed grubym brzuchem. Taranto, nie napotykając oporu, uderzył go w głowę lekkim prawym, a następnie kiedy jego ramiona zaczęły się unosić, poprawił lewym sierpowym na tyłów. Syssokanin padł jak ścięty.

— Dawaj! — krzyknął Taranto do Meyersa, widząc, że ten drugi nawet się nie ruszył. — We dwóch damy sobie radę. Te głowy są za małe, żeby pomieścić mózg. Kopnij ich, jeśli nie potrafisz zrobić niczego innego!

— Zwariowałeś? — odparł Meyers, a jego głos był ochrypły zarówno ze strachu, jak i pragnienia. — Zabiją nas! Poddajmy się, a tylko nas stąd zabiorą!

Taranto wyczuł kogoś za sobą. Zerwał się do biegu, ale dwóch lub trzech Syssokanów, którzy doszli właśnie do siebie, wyprzedziło go. Próbował skręcić w prawo. Poślizgnął się na piasku i uratował się przed upadkiem tylko dzięki temu, że oparł się na obu wyciągniętych rękach. Jeden z Syssokanów wylądował mu na plecach, szukając na oślep jakiegoś chwytu.

Taranto szarpnął się w górę, próbując uderzyć napastnika tyłem głowy. Natychmiast otoczyły go długie ramiona innego żołnierza, znajdującego się przed nim, a chwyt z tyłu przesunął się na jego pas. Gość za nim zdawał się myśleć, że najmocniej go zrani, wgniatając mu obie swe guzowate pięści w brzuch, ale Taranto miał w tym miejscu zbyt dużo twardych mięśni.

Terranin znów kopnął, tym razem do przodu, unosząc kolano. To było mniej skuteczne niż powinno, ale pomogło mu uwolnić jedną rękę, dzięki czemu zdołał uderzyć łokciem do tyłu.

Podbiegał do niego oficer, trzymający oburącz w poprzek włócznię. Po spojrzeniu w jego wielkie, czarne oczy, Taranto zdał sobie sprawę, że Syssokanin również czegoś się nauczył w trakcie trwającej walki wręcz. To bez wątpienia wyjaśniało, dlaczego był oficerem. Zamachnął się włócznią zgrabnym łukiem - prosto w głowę Taranto!

Trzasnęła w czaszkę Terranina. Choć starał się jak mógł zachować przytomność, poczuł, że uginają się pod nim kolana. Uderzył prawą pięścią, ale cios został zablokowany przez żołnierza, którego wcześniej uderzył kolanem.

Włócznia opadła ponownie. Świat Taranto skurczył się do wąskiego widoku naprężonej, zielonkawo-szarej łydki, prześwitującej przez rozdartą nogawkę syssokańskiego munduru. Niejasno zdał sobie sprawę, że klęczy. Zdawało się go chwytać mnóstwo rąk, a jego własne były bardzo ciężkie, kiedy szukał nimi swojej nogi.

Złapał ją niezdarnie i zaczął się podciągać. Powolność jego ruchów w jakiś mglisty sposób go niepokoiła. Próbował schować brodę za lewym ramieniem, bo wiedział, że coś… coś… się zbliża…

W końcu nadeszło. Wielka stopa syssockiego oficera trafiła go w ucho z brutalnym łupnięciem.

Taranto jednak, pogrążając się w szarej nicości, nie do końca to już poczuł…

ROZDZIAŁ XI

Smith stał na rogu korytarza, co pół minuty odchylając się do tyłu, żeby zerknąć na część prowadzącą do biblioteki i pomieszczenia łączności.

Westervelt oparł się z założonymi rękami o przeciwległą ścianę, twarzą do drzwi prowadzących na schody.

Beryl wierciła się za Parrishem, który niecierpliwie przyglądał się Smithowi, przeplatając to ze spojrzeniami rzucanymi na Westervelta.

— No dobrze, chyba muszę ci wszystko wyjaśnić, Pete — powiedział Smith cicho. — Można to streścić, że chwilowo mamy pewne kłopoty.

— Z jego powodu? — spytał ostro Parrish, wskazując kciukiem na Westervelta. — To byłbym w stanie zrozumieć. Chłopakowi zaczyna się wydawać, że jest komikiem. Właśnie zaczął grać rolę Hiacynty Bucket.

— Ćśśś! — powiedział przyciszonym głosem Smith.

Westervelt odwrócił głowę w stronę głównego wejścia do biura, zastanawiając się, jak daleko dotarł głos Parrisha.

Elegancki asystent Smitha spoglądał to na jednego, to na drugiego. Szukając jakichś dowodów na swój zdrowy rozsądek, odwrócił się z uniesionymi brwiami do Beryl. Blondynka popatrzyła na niego swoimi niebieskimi oczyma i wzruszyła ramionami.

— Pete, to nie żart — napierał na niego Smith. — Wolałbym, żeby to się tak szybko nie rozniosło, ale cóż.

— Co to jest, to „cóż”? — zaczął dopytywać się Parrish tonem graniczącym z zrzędliwością.

— No cóż… w całej dzielnicy biznesowej miała miejsce jakaś awaria zasilania. W związku z tym, nie działają windy i nie wiemy ile czasu minie, zanim firma energetyczna upora się z problemem.

— Nie ma wind? — powtórzył Parrish.

Wpatrywał się w przesuwane drzwi szybu windy, jakby nie mógł pojąć braku takiej fundamentalnej usługi. Myśl ta wydawała się powoli docierać do niego.

— Nie ma wind? I jesteśmy na dziewięćdziesiątym dziewiątym piętrze?

— Ćśśś! — powiedział Smith, zerkając w głąb korytarza.

— Co się z tobą dzieje, Castor? — spytał Parrish. — Stale tam zerkasz, wypatrujesz kogoś… kogoś… ooo!

— Teraz rozumiesz, o co mi chodzi? — spytał Smith.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu.

— No cóż, wszystko powinno być w porządku, o ile tylko będzie mógł zejść po schodach, jeśli będzie chciał — zauważył Parrish. — Przepraszam, Beryl. Będziemy musieli zrobić to innym razem.

— Ale jak wrócimy do domu? — spytała blondynka.

— Och, pewnie to naprawią, zanim skończymy — stwierdził Parrish.

— Więc o co tyle hałasu? Czemu Willie ma taką kwaśną minę?

Westervelt przygotował się na stawienie czoła trzem spojrzeniom i starał się nie uśmiechnąć przy tym szyderczo. Pozostali dwaj mężczyźni odchrząknęli i popatrzyli na Beryl.

— Muszę prosić cię o współpracę, Beryl — powiedział Smith. — Po pierwsze, Pete, chciałbym pokazać ci mały klejnocik nowoczesnego projektowania technicznego. Te drzwi na klatkę schodową są automatycznie otwierane w razie pożaru lub innej sytuacji awaryjnej.

— Oczywiście — potwierdził Parrish z zaciekawieniem.

— Ale nie ma zasilania — zauważył Smith.

Parrish niecierpliwie wyciągnął rękę i spróbował otworzyć drzwi. Szarpnął je dwa lub trzy razy, po czym schylił się, żeby zajrzeć do zasuwki.

— Nie ma sensu, Pete — powiedział Smith, ponownie zerkając w korytarz. — Willie już to wszystko przerobił. Dzwoniłem do zarządcy budynku i nic nie może zrobić, co najwyżej posłać ekipę z siedemdziesiątego piątego piętra, żeby palnikami wycięła drzwi od strony klatki schodowej.

— Czy już ich wysłał?

— Szczerze mówiąc… powiedziałem mu, że to jest niepotrzebne — stwierdził Smith, a na jego pociągłej twarzy pojawił się wyraz uporu.

— Ale znasz Boba! — zaprotestował Parrish. — Jeśli dojdzie do niego, że siedzi tutaj zamknięty…

— Wiem, wiem — odparł Smith. — Z drugiej strony, zawsze możemy wziąć coś z laboratorium i przebić się na klatkę od tej strony, pod warunkiem, że dopilnujemy, żeby nie dowiedział się, co się dzieje, aż do ostatniej chwili.

Westervelt obserwował sardonicznie Beryl. Rzadko widywał u kogoś wyraz twarzy będący taką mieszaniną niecierpliwości i wyraźnego niepokoju. Zastanawiał się, czy ktoś zechce w końcu jej to wszystko wyjaśnić.

Parrish pokręcił głową.

— Myślę, że lepiej będzie ponownie zadzwonić na dół i poprosić ich, żeby to oni przyszli na górę — powiedział.

— Nie chcę tego robić — odparł Smith.

— Dlaczego nie?

— To by się rozniosło. Bardzo szybko ta historia rozeszłaby się po całym D.S.M..

Parrish nachylił się lekko, aby przyjrzeć się twarzy szefa. Nie znalazł słów, ale na jego twarzy pojawił się wyraz pełen żalu. Smith westchnął.

— Zajmujemy się ewakuacją marynarzy kosmicznych z więzień po całej zbadanej galaktyce — wyjaśnił. — Mamy ponoć być wyładowani po brzegi potencjałem mózgowym o najwyższej mocy i mieć urządzenia do wszystkiego! Jak to będzie wyglądać, jeśli rozejdzie się, że siedzieliśmy zamknięci we własnym biurze i nie potrafiliśmy wydostać się z niego bez pomocy?

Parrish uniósł ręce do góry. Odwrócił się, przeszedł swobodnie kilka kroków korytarzem i z powrotem, ściskając brodę dłonią. Splótł dłonie za plecami i wyjrzał zza Smitha na puste skrzydło korytarza.

— Może dałoby radę jakoś go odurzyć — zasugerował bez większego entuzjazmu.

— Powinienem był o tym pomyśleć — przyznał Smith — ale właśnie skończył jeść.

— Czy nie znajdziemy czegoś w laboratorium, żeby strzelić do niego strzałką?

Kiedy Smith próbował sobie przypomnieć, Westervelt mu przerwał.

— Jeśli pan się na to zdecyduje, to ja nie zgłaszam się do tej roboty, dziękuję bardzo. Widział pan kiedyś, jak pan Lydman się śpieszy? Ktokolwiek tego spróbuje, lepiej niech nie spudłuje za pierwszym strzałem!

Smith mruknął: „Hmmmm!", a Parrish wyglądał na zakłopotanego. Asystent popatrzył przez moment na Beryl, ale natychmiast pokręcił przecząco głową.

Westervelt podążył za jego tokiem rozumowania. Po pierwsze, Lydman znany był z oddania żonie i dwójce dzieci; po drugie, kto wie, jak łatwo Beryl może spudłować?

— Jeśli wszyscy zachowamy spokój — oznajmił Smith — i zawalimy Boba pracą, prawdopodobnie damy sobie radę, dopóki nie przywrócą zasilania. Ile to może w końcu potrwać? Nie mogą tracić czasu, skoro duża część nowoczesnego miasta odcięta jest od dopływu energii. To nie do pomyślenia.

— Chyba masz rację — skapitulował Parrish.

Smith zwrócił się do Beryl.

— Prosząc o waszą współpracę — powiedział — miałem na myśli to, że będziemy potrzebować kogoś, kto będzie z panem Lydmanem przez większość czasu. Do tej pory robił to Willie, ale nie chcemy, żeby to zaczęło wyglądać na jakąś celową inwigilację.

— Ale dlaczego? — spytała Beryl. — To znaczy… rozumiem, że martwi was wszystkich, że… on mógłby się dowiedzieć. Ale co się ma niby stać, jeśli się dowie?

— Możliwe, że nic — odpowiedział jej Smith. — Z drugiej strony, pan Lydman, w czasach swoich podróży kosmicznych, został kiedyś uwięziony. Przetrzymywano go przez długi czas w bardzo trudnych warunkach; i to doświadczenie pozostawiło u niego pewien problem. Nie chodzi tu dokładnie o klaustrofobię…

Zamilkł, jakby chciał aby Beryl przypomniała sobie inne uwagi na temat Lydmana. Ich ogólna powaga zdawała się robić na niej wrażenie.

— Z przyjemnością… pomogę — powiedziała niechętnie.

— Dobrze! — oznajmił Smith. — Prawdopodobnie nie będą konieczne żadne wyjątkowe działania. A teraz wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy i powiadomimy Si, tak żeby wszyscy zostali o tym powiadomieni.

Westervelt dostrzegł spojrzenia, które wymienili między sobą Parrish i Beryl. Był niemal pewien, że każde z nich liczyło w myśli ludzi, którzy dowiedzieli się o tej sprawie, zanim powiedziano im.

„Tak to jest, kiedy tyle czasu siedzi się w aktach zamkniętych spraw", pomyślał.

Weszli za Smithem do biura. Simonetta popatrzyła na nich, jakby utworzyli paradny pochód. Smith, z okazjonalnymi komentarzami Parrisha, opowiedział jej całą historię.

— A więc, to jest częściowy powód, dla którego się zostajemy do późna — podsumował Smith. — Chociaż, oczywiście, na pierwszym miejscu powodem jest sprawa Harrisa.

Westervelt podszedł do okna. Ustawił filtr na maksymalną przejrzystość i wyjrzał.

Z miejsca, w którym się znajdował, mógł dostrzec ogromny czarny dywan okrywający znaczną część miasta, rozciągający się od punktu gdzieś poniżej miejsca z którego patrzył, aż do chwili, kiedy ucinała go ostra linia latarni ulicznych, wiele przecznic stąd. Dalej miasto wyglądało normalnie. Po bliższej stronie niewidzialnej granicy i, jak przypuszczał, w podobnej odległości w przeciwnym kierunku, za jego punktem obserwacyjnym, widać było jedynie sporadyczny i słaby blask świateł awaryjnych. Niektóre z nich niewątpliwie były zasilane przez budynki wyposażone w odpowiednie urządzenia, inne były światłami radiowozów policyjnych i pojazdów ratunkowych, na ziemi lub przelatujących nisko w dole, między wyższymi budynkami.

„Ciekawe, co oni właściwie robią, kiedy dzieje się coś takiego?” — pomyślał. „Co, jeśli będzie im się wydawało, że już to naprawili, włączą ponownie zasilanie, a wszystko przepali się po raz drugi?”

Jego zamyślenie przerwał dźwięk telefonu Simonetty. Z miejsca, w którym stał, widział twarz Joego Rosenkrantza, gdy operator zapytał o Smitha.

— Och, panie Smith, tutaj jest pan — powiedział Joe. — Pauline wszędzie próbowała pana znaleźć. Trident nadaje, więc pomyślałem, że zechce pan do mnie przyjść. Podobno mają przekaz połączony prosto z Harrisem.

Smith krzyknął z radości i ruszył do drzwi.

— Zaraz tam będzie — powiedziała Simonetta do uśmiechniętego specjalisty od łączności telewizyjnej.

Parrish i Westervelt podążyli za Smithem. Kiedy ten drugi się obejrzał, zobaczył, że Simonetta zastąpiła Beryl; i nie mógł winić blondynki za to, że skorzystała z okazji, by usiąść gdzieś na chwilę spokojnie i zebrać myśli. Sam miał ochotę schować się w jakiejś norze.

Mijając bibliotekę, Parrish uniósł brew. Westervelt skinął głową. Wszedł do środka i powiedział Lydmanowi o rozmowie. Były marynarz był na tyle zainteresowany, że dołączył do korowodu.

Kiedy Westervelt wszedł za nim do pomieszczenia łączności, Joe Rosenkrantz właśnie wyjaśniał Smithowi kwestię organizacji połączenia.

— Tak jak poprzednio, przechodzimy przez Plutona, Capellę VII i automatyczny przekaźnik na zewnętrznej planecie układu Trident, ale nic z tego nie zobaczycie. Zabawa zaczyna się dopiero po tym, jak złapiemy Johnsona.

Odchylił się w obrotowym fotelu przed ekranem i rozejrzał po grupie.

— Johnson będzie myślał do ryby znajdującej się w pobliżu jego wyspy. Ta ryba prześle myśli do innej, pływającej w pobliżu Harrisa. Twierdzą, że Harris odpowiada.

Smith przeczesał włosy obiema dłońmi.

— Spróbujemy wszystkiego, co się da — stwierdził. — Jedziemy!

Joe nawiązał kontakt z Johnsonem, terrańskim dyrektorem ds. zaopatrzenia, między innymi na Trident. Temu ostatniemu nie do końca udało się ukryć minę „a nie mówiłem”.

— Sam Harris potwierdza, że jest przetrzymywany na dnie oceanu — powiedział. — Wydaje się być czymś w rodzaju zwierzątka domowego albo ciekawostki.

— Czy potrafisz zrozumieć te wiadomości? — spytał Smith. — Czy jest jakaś trudność z powodu bariery językowej? Nie chcemy przyjąć jakiegoś głupiego założenia i dowiedzieć się, że wynika ono z nieporozumienia językowego.

Po niesamowitej pauzie spowodowanej zapierającą dech w piersiach odległością, Johnson odpowiedział.

— W myślach nie istnieje bariera językowa, ale można by rzec, że czasami istnieje bariera nastawienia. Zazwyczaj możemy doszukać się równoważnych znaczeń, zakładając na przykład, że nasze poczucie czasu jest podobne do tego, jakie mają te ryby.

— Spróbuj zapytać Harrisa, jak głęboko jest przetrzymywany — zasugerował Smith.

Obserwowali, jak Johnson odwraca wzrok, choć mężczyzna nie wydawał się podejmować żadnego wysiłku związanego z koncentracją. Nie minęło nawet trzydzieści sekund, kiedy zobaczyli jego grymas.

— Ta ryba koło mojej plaży nie potrafi pojąć swoim potężnym intelektem, że nie może myśleć bezpośrednio do innej ryby koło miejsca, w którym wy jesteście. Uważa, że musicie być dosyć dziwni, skoro nie macie nikogo, kto by do was myślał.

Smith lekko się zaczerwienił. Westervelt podziwiał kamienną twarz Joe Rosenkrantza. Johnson zdawał się nalegać.

— Harris mówi, że jest dwie minuty pływania, pod powierzchnią — zameldował.

— No dobrze, a jak daleko od miejsca, w którym ty jesteś? — spytał Smith.

Odległość okazała się wynosić półtora dnia.

— Czy czegoś potrzebuje? Czy trzymają go w znośnych warunkach?

Po chwili ciszy Johnson dodał:

— Pompują mu powietrze i karmią. Potrzebuje jedynie kogoś, kto go stamtąd wyciągnie.

— Jak możemy go znaleźć? — zapytał Smith. — Czy jest w stanie jakoś dać nam znać?

— Przekazujemy mu teraz sygnały — powiedział. — Chce, żebyśmy go wyciągnęli.

Smith rozejrzał się wokół, szukając chętnych do dalszych pytań. Lydman zasugerował, żeby zapytać, w jaki sposób Harris jest więziony. Smith zapytał Johnsona i po irytującej ciszy otrzymał odpowiedź.

— Mówi, że znajduje się w wielkim szklanym pudle, podobnym do naczepy towarowej ciężarówki. Siedzi w nim jak w klatce. W środku może swobodnie się poruszać i chce żeby go wydostać.

— To niech nam powie, gdzie to jest! — warknął Smith.

— On nie wie — padła odpowiedź. — Co jakiś czas się przemieszczają.

— I co ja powiedziałem? — wyszeptał Parrish. — Nomadyczni.

Nikt nie marnował czasu na gratulacje dla niego, bo Smith już wypytywał, jacy są Tridentianie. Na połączeniu mentalnym Johnsona zdawały się powstawać jakieś zakłócenia. Widzieli, jak potrząsa głową, jakby chciał je oczyścić. Odwrócił się do ekranu ze zdziwieniem.

— Nie zrozumiałem tego zbyt jasno — przyznał. — Jakaś kombinacja myśli - karmią go i nie smakują dobrze.

— No to powiedz swojemu rybiemu przyjacielowi, żeby nie wtrącał się do tego, co myśli — powiedział Smith, zaskakując Westervelta, który jeszcze nie do końca rozumiał sytuację.

Po chwili Johnson skrzywił się. Na jego twarzy pojawił się wyraz skruchy.

— Proszę nie mówić takich rzeczy! — oznajmił Smithowi, ponownie odwracając się do ekranu. — Prześlizgnęło się to przez mój umysł, tak jak to usłyszałem, i jemu to się nie spodobało!

— Komu? Harrisowi?

— Nie, rybie po jego stronie. Przeprosiłem za pana.

W terrańskim biurze rozległo się ogólne, niespokojne szuranie nogami. W przyćmionym świetle pomieszczenia łączności twarz Smitha zdawała się nabierać ciemniejszego koloru.

— A co mówi Harris?

Johnson zapytał o to. Harris zażądał, żeby go stamtąd wydostali.

— Do diabła! — mruknął Smith. — Musi być strasznie naładowany!

— To się zdarza — przypomniał mu spokojnie Lydman.

— Tak — stwierdził Smith, rozejrzawszy się ze zdumieniem — ale większość była taka od zawsze, a jego historia sugeruje to w całej rozciągłości.

Poprosił Johnsona o opis miejsca, w którym znajdował się Harris. Odpowiedź zdawała się, w pewnym sensie, kończyć sprawę.

— Jest ono takie samo, jak każda inna część dna morskiego — doniósł Johnson. — A co więcej, on jest zmęczony myśleniem i chce odpocząć.

— Który z nich? — spytał Smith.

— Nie powiedzą mi — odparł Johnson ze smutkiem.

Smith stłumił przekleństwo, zauważając stojącą obok Simonettę. Gwałtownie przeczesał włosy obiema rękoma. Nikt nie miał już więcej pytań, więc podziękował Johnsonowi i kazał Joemu rozłączyć się.

— Przynajmniej wiemy, że to wszystko jest prawdą — westchnął. — Naprawdę został porwany i wciąż żyje.

— Pokładasz duże zaufanie w tych dwóch rybach — zauważył Lydman.

Smith zawahał się.

— No cóż… tego… to nie są prawdziwe ryby — stwierdził. — Nie wytwarzajmy w naszych myślach błędnych pojęć mentalnych tylko dlatego, że żartowaliśmy sobie o „Rybku, myślącej rybie”. Prawdę mówiąc,

ichtiologowi te istoty najprawdopodobniej nawet nie skojarzyłyby się z rybami, a mogą być dosyć zaawansowaną formą życia.

— Mogą być tak samo ważne, jak ten Harris — skomentował Parrish, czym zasłużył sobie na zimne spojrzenie Lydmana.

— Chyba poszperam trochę w laboratorium — powiedział ten drugi, kiedy pozostali zaczynali wykonywać niespokojnie ruchy, sygnalizujące koniec spotkania.

Westervelt natychmiast skierował się do drzwi. Zobaczył, że Lydman omija narożnik przegrody z plecionego drutu, która otaczała specjalny sprzęt w pomieszczeniu łączności, niewątpliwie mając zamiar, udać się do laboratorium na skróty.

„Chcę przez chwilę gdzieś spokojnie posiedzieć, zanim znowu przyczepią mnie do niego”, pomyślał młody człowiek. „Potrzebuję piętnastu minut, a potem zmienię tego, kto będzie miał go na karku, jeśli Smitty będzie chciał, żebym to zrobił”.

ROZDZIAŁ XII

Światło, pozbawione mocy po przeniknięciu przez pięćdziesiąt sążni wody Tridentiańskiego morza, było mętne i zielonkawe; ale Tom Harris mniej więcej już się do tego przyzwyczaił. Irytowało go jednak to, że ludzie morza wciąż ignorowali jego prośby o jakąś lampę.

Wiedział, że używają takich urządzeń. Przez przezroczyste ściany swojego zbiornika widział nocne grupy wypływające na polowanie na gatunki mniejszych ryb. Łodzie, z których korzystali podczas dłuższych rejsów oraz podróży na powierzchnię, również były wyposażone w światła zasilane jakiegoś rodzaju bateriami. Harrisa do wściekłości doprowadzało to, że był zmuszony do samotnego życia na dnie oceanu, w półmroku dnia lub w całkowitej czerni nocy.

Wstał z miejsca, w którym przysiadł na piętach. Dno jego klatki było takie gładkie, że poślizgnął się i omalże nie upadł. Odzyskał równowagę i rozejrzał się.

Zbiornik miał rozmiary mniej więcej dziesięć na dziesięć stóp i był dwa razy dłuższy, a wszystkie jego krawędzie zabezpieczały metalowe kątowniki, które, jak przypuszczał, były zrobione z aluminium. Stanowiły one zewnętrzne narożniki, dzięki czemu mógł zobaczyć osadzone wewnątrz uszczelki, które zapewniały szczelność zbiornika. Musiał przyznać, że ludzie morza doskonale radzili sobie ze swoim otoczeniem i rozumieli także jego potrzeby.

Najbardziej oddalony od Harrisa koniec zbiornika, był nieprzezroczysty. Uważał, że tam są połączenia z pojazdem holowniczym, a także z urządzeniem, które pompowało dla niego powietrze. Wielka ryba nie potrafiła mu tego do końca uzmysłowić. Wszystkie pozostałe boki zbiornika były całkowicie przezroczyste. Za każdym razem, kiedy chodził, mógł spoglądać przez jego dno i dostrzec w białym piasku skupiska muszli oraz innych szczątków martwych organizmów morskich. Od czasu do czasu myślał o ciśnieniu, które by na niego spadło, gdyby coś pękło i rozerwało ściany, ale z czasem udało mu się odsunąć tę myśl od siebie.

Wzdłuż każdej z bocznych ścian znajdowały się cztery małe śluzy powietrzne. Jeden z ludzi morza demonstrował właśnie ich zastosowanie temu, o kim Harris zaczynał myśleć jako o dziecku.

Rodzic był nieco mniejszy od Harrisa, mierzył pięć stóp i pięć cali wzrostu i ważył sto trzydzieści terrańskich funtów. Miał również cztery kończyny, ale była to chyba ostatnia ich wspólna cecha. Wszystkie kończyny Tridentianina łączyły się z jego opancerzonym ciałem w pobliżu głowy. Dwie z nich zakończone były potężnymi szczypcami; pozostałe rozwidlały się w kilka delikatnych macek. Ciało wyglądało na dosyć giętkie, pomimo ciężaru bardziej wytrzymałych segmentów skorupy, i zwężało się

w rozpostarty ogon, na którym skorupiak z łatwością utrzymywał równowagę.

Harris czuł się wyraźnie od nich słabszy w kwestii wzroku: każdy z Tridentian miał czworo oczu wystających z chitynowej głowy. Dorosły osobnik miał jedną parę szypułek ocznych o długości prawie stopy. Druga para, podobnie jak u obu młodych, wyrastała tylko na kilka cali.

Terranin nie był pewien, czy podwodna waluta była wykonana z metalu, czy z muszli, ale Tridentianin wrzucił jakąś tego rodzaju monetę do szczeliny automatu na zewnątrz jednej z małych śluz powietrznych. Wywołało to głośny zgrzyt. Zaraz potem, przez otwór w wewnętrznej ścianie, wleciała mała bryła sprasowanej ryby, bez ości.

— Co za przeklęte, niebieskie homary! — zaklął Harris. — Myślą, że robią mi przysługę!

Pozwolił im odczekać dobre pięć minut, zanim zdecydował, że rozsądniej będzie przyjąć ofertę. Szydząc głośno, podszedł i wziął jedzenie. Zazwyczaj nie było niczego więcej. W dni, kiedy był za bardzo rozłoszczony lub zniesmaczony, aby przyjąć tę przysługę od turystów, jego opiekunowie zakładali, że nie jest głodny.

Na początku miał też ogromne trudności z przekazaniem im informacji o swoich potrzebach odnośnie świeżej wody. To właśnie wtedy uwierzył w wielkiego, podobnego do ryby pływającego stwora, który przekazał jego myśli morskim ludziom. Fakt, że ci ostatni mogli i rzeczywiście dostarczali mu świeżej wody, wzbudził jego niechętny szacunek, mimo tego, że jej smak nie był łatwy do akceptacji.

Żonglował bryłą rybiego mięsa w jednej ręce, sprawiając, że mały Tridentianin zaczął radośnie kręcić szypułkami ocznymi i oderwał się od dna oceanu, aby popatrzeć w dół przez górną część zbiornika. Rodzic również poruszał szypułkami ocznymi, w tym przypadku bardziej spokojnie. Harris podejrzewał, że się z niego śmieją, i odwrócił się do nich plecami.

Patrząc przez drugą ścianę zbiornika, mógł dojrzeć - z takiej odległości, na jaką pozwalało mętne światło - zaparkowane pojazdy Tridentian. Niczym zbiór małych łódek, miały one rozmaite rozmiary i kształty, zależne być może od fantazji każdego z właścicieli, a być może od jego umiejętności technicznych. Harris nie wiedział, czy rozwój Tridentian sięgał poziomu zatrudniania profesjonalnych budowniczych. W każdym razie pojazdy-domy były rozproszone na podobieństwo małego miasta. Między nimi znajdowały się podobne do namiotów zestawy sieci, chroniące przed pływającymi szkodnikami. Poza tym ludzie morza nie korzystali z żadnych schronień.

„Byli wystarczająco inteligentni, żeby zbudować dla mnie klatkę!” — pomyślał z goryczą. — „Co się do cholery dzieje z terrańskim rządem? Z tym Departamentem Stosunków Międzygwiezdnych, czy jak tam się to nazywa. Czemu nie mogą mnie stąd wydostać? I gdzie się teraz podziała ta Wielka Ryba?”

Widział kilku skorupiakowatych zbliżających się od strony obozowiska. Niewątpliwie wkrótce znów znajdzie się w centrum uwagi, a kostki

sprasowanych i cuchnących ryb będą strzelać w niego ze wszystkich małych śluz powietrznych. Warknął bez słowa.

Grupy wydawały się schodzić o określonych porach, których jednak nie potrafił sprecyzować. Mógł się tylko domyślać, że mogli sobie swobodnie wybierać czas spędzany na polowaniu, czy też innych pracach, które trzeba było wykonać, aby utrzymać obóz i ich strumieniowe statki.

„Chętnie bym któregoś z nich tutaj ściągnął i upitrasił!" — pomyślał Harris. „Wielka Ryba twierdzi, że nie smakują dobrze. Tak z samej ciekawości. Ale przynajmniej, to by nimi odrobinę wstrząsnęło!"

Już dawno przestał myśleć o tym, co te morskie istoty mogłyby mu zrobić, gdyby zechciały. Przepłukiwanie zbiornika dwa razy dziennie, wodą morską o głębokości osiemnastu cali, szybko dało mu do myślenia, zwłaszcza że w tym czasie nie miał dokąd uciec. Nie pozwalał sobie już na zasypianie w pobliżu rury wlotowej.

Zauważył, że kilkunastu zwiedzających okrąża koniec zbiornika, by dołączyć do pierwszego osobnika i jego potomstwa. Spoglądając w górę, Harris dostrzegł przyczynę. Długi, ciemny cień opadał w dół w bezczelnie celowym nurkowaniu. Był opływowy jak terrański rekin i równie długi jak zbiornik, w którym mieszkał Harris. Płaska linia jego przedniej krawędzi rozsuwała się w coś bardzo podobnego do ziewnięcia, odsłaniając zdumiewające rzędy górnych i dolnych stożkowatych zębów. Było to możliwe dzięki temu, że oczy, około ośmiu, jak sądził Harris, rozmieszczone były pierścieniowo wokół głowy jego długiego ciała.

„Wiedzą, że nie lubię ich jeść, ale lubię je trochę nastraszyć." Wielka Ryba pomyślała do Harrisa. „Popatrz, jak próbują się do mnie uśmiechać!"

Harris obserwował, jak Tridentianie kręcą się i machają szypułkami ocznymi, gdy potwór leniwie przepłynął nad nimi i odwrócił się, aby powoli zawrócić.

— Chciałbym kiedyś ich tak bardzo nastraszyć — powiedział Harris, który jakiś czas temu nauczył się, że lepiej sobie radzi, zapominając o telepatii i werbalizacji. — Czy D.S.M. wciąż tam jest?

„Kto… co pomyślałeś?" — dopytywała się Wielka Ryba.

— Ten drugi Terranin, ten na wyspie.

„Ten drugi oddychający powietrzem stwór zniknął, druga Wielka Ryba żeruje, tak jak ja przed chwilą, i nie wiadomo, co się dzieje z tym dalekim Terraninem, któremu brakuje Wielkiej Ryby."

— Wszystkie dranie z obu światów poszły sobie na lunch — warknął Harris — a ja siedzę tutaj!

— Jesteś na lunchu — zgodził się potwór.

Troje oczu, wpatrzonych w uwięzionego człowieka, kiedy myśliciel przemknął obok zbiornika, emanowało inteligentną czujnością. Harris zaczął sobie wyobrażać, że dostrzega wyrazy twarzy na ograniczonym obliczu Wielkiej Ryby.

— Jesteś moim jedynym przyjacielem! — wykrzyknął, nagle popadając w stan użalania się nad sobą. — Chciałbym móc popłynąć z tobą.

„Kiedyś mogłeś, kiedy miałeś własny zbiornik."

— To była łódź podwodna — odparł Harris. — Chciałem zobaczyć, co jest na dnie oceanu. Powiedz mi, czy to wszędzie jest tak samo jak tutaj?

„Czy wszędzie jest tak, jak co? Chodzi ci o niebieskie homary?”

Harris zachował jeszcze na tyle rozumu, by zdawać sobie sprawę, że Tridentianie nie przypominali homarów tej istocie, która najprawdopodobniej nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić tych ziemskich zwierząt. To było automatyczne tłumaczenie myśli, wydobytych przez nią z jego z własnej pamięci oraz z wygłaszanych wyzwisk.

— Nie — powiedział. — Chodzi mi o to, czy wszędzie jest tu piasek i muł, z kilkoma przepaściami tu i ówdzie? Skąd te kraby biorą metale?

„Są różnego rodzaju dziury i wzgórza. Wszędzie jest zasadniczo tak samo. Nie da się wszędzie wpłynąć, choć są tam małe stworzenia, które kopią pod miękkim piaskiem. Niektóre z nich są dobre do jedzenia, ale trzeba potem wypluć dużo piasku. Kraby czasami kopią maszynami w dużych dziurach, ale nie wiem, co tam łapią.”

— Czy ich nic nie łapie? — spytał Harris z goryczą.

„Nie. Są wystarczająco duże, żeby łapać inne stworzenia, z wyjątkiem kilku. Stworzenia, które są większe ode mnie, nie są mądre.”

Potwór przepłynął wzdłuż dna oceanu w pobliżu Tridentian, wzbijając chmurę piasku i sprawiając, że porywacze Harrisa skurczyli się przy ścianie swojego akwarium. Terranin roześmiał się serdecznie. Uderzył wewnętrzną częścią dłoni w czoło nad oczyma i pomachał w stronę Tridentian, zebranych po drugiej stronie przezroczystej bariery, palcem wskazującym.

Nawet kiedy piasek opadł, biegał tam i z powrotem wzdłuż ściany swojego akwarium, upewniając się, że każdy zwiedzający będzie miał okazję zauważyć jego gesty. Odniósł wrażenie, że nie bardzo im się to spodobało.

„Wcale im się to nie podoba”, pomyślała Wielka Ryba. „Niektóre z nich wołają na człowieka, który wpuści do twojego akwarium morze.”

— Nie nazywaj tego czegoś ludźmi! — zaprotestował Harris, porzucając swoją pozę. — To ja jestem człowiekiem.

„Jak inaczej mogę nazwać tych ludzi, jeśli nie ludźmi?”, spytał jego rozmówca. „Nie rozumiem natomiast, dlaczego ty chcesz być nazywany człowiekiem. Jesteś przecież inny.”

— Zapomnij o tym — powiedział Harris. — To była tylko taka figura myślowa.

Miał ochotę usiąść, ale zrezygnował z tego na wypadek, gdyby obserwatorom udało się wezwać obsługę zbiornika. Podszedł na koniec zbiornika, skąd mógł wpatrywać się w zielonkawą dal, nie spoglądając na obóz Tridentian.

— Żałuję, że nie umarłem — mruknął. — Nigdy mnie stąd nie wydostaną.

Za sobą usłyszał plaski kawałków jedzenia lądujących na dnie zbiornika, kiedy obserwatorzy próbowali zwrócić na siebie jego uwagę. Musieli otrząsnąć się z chwili irytacji, skoro próbowali go jeszcze bardziej rozweselić.

— Gdybym w tych kawałkach ryby znalazł jakąś ość, zabiłbym się — powiedział Harris.

Ciemna sylwetka Wielkiej Ryby osiadła nad akwarium, niczym chmura odcinając resztki światła. Harris popatrzył z urazą do góry.

„Nie rozumiem cię", pomyślał potwór. „To byłoby coś bardzo głupiego."

— Co… próba zabicia się rybią ością?`

„Nieważne w jaki sposób, byłoby to skrajnie głupie, bo wtedy byłbyś martwy."

Harris nie potrafił wymyślić niczego, co mógłby na to odpowiedzieć. Nie potrafił nawet wymyślić niczego, co mógłby pomyśleć, oczywiście, ponieważ żadna z jego chaotycznych, na wpół sformułowanych myśli nie przyniosła odpowiedzi.

„Byłoby to tak, jakbyś został zjedzony", upierał się jego przyjaciel.

— Dobrze już, dobrze! W takim razie nie zrobię tego, jeśli cię to uszczęśliwi — wykrzyknął Harris.

„To nie ma wpływu na to, jak dobrze się odżywiam" — poinformowała go Wielka Ryba.

Harrisowi zajęło to chwilę, ale w końcu zrozumiał o co chodzi.

— A więc taka jest twoja filozofia! — mruknął do siebie. — Teraz wiem, co trzeba zrobić, żeby cię uszczęśliwić. Wystarczy coś do jedzenia!

„Gdzie?", spytał potwór. „Nie widzę niczego, co chciałbym zjeść."

— Zapomnij o tym! — powiedział Harris. — Opowiedz mi więcej o dnie oceanu. Tam, gdzie są duże dziury lub skalne ściany, widziałeś może… eee… pasy na zboczach, warstwy skały?

„Czasami. Tam, gdzie jest dostatecznie głęboko. W innych miejscach na dnie wszędzie coś rośnie. Tylko małe rybki, które nawet nie nadają się do jedzenia, tam żerują. Czasami ludzie morza zbierają to, co rośnie, albo kopią doły."

— Założę się, że jest mnóstwo rzeczy, które można wydobyć z tego oceanu — zamyślił się Harris. — Kto wie, jak klimat mógł się zmienić przez tysiące lat. Może kiedy była epoka lodowcowa, morza się kurczyły. Może była epoka wulkaniczna. Może dałoby się wiercić pod wodą i znaleźć ropę - gdyby wiedziało się, gdzie jej szukać. Może pod mułem są złoża diamentów.

Przerwał, czując lekką irytację. Uświadomił sobie, że jego myśli wylatywały na zewnątrz, zaliczając najczystsze pudła z możliwych.

— Nieważne — powiedział. — Po prostu powiedz mi, co wiesz o morzu.

„Mogę ci powiedzieć, gdzie znaleźć plemiona ludzi morza. Mogę ci powiedzieć, gdzie znaleźć wszelkiego rodzaju smaczne ryby. Wiem, gdzie myśleć, żeby przywołać inne Wielkie Ryby, ale nie mogę ci tego powiedzieć, bo ty tego nie czujesz."

Potwór powoli ruszył przez wodę. Harris wiedział, że zobaczył gdzieś coś, co go zainteresowało, i że wróci, kiedy tylko przyjdzie mu to do głowy.

Rozważył pojawiające się możliwości. Być może w pomyśle zbudowania przemysłu żywnościowego tkwił jakiś sens. Skoro ktoś miał poufne informacje o tym, gdzie są ryby, jak mógłby ich nie zauważyć? W takim razie Tridentianie musieli mieć jakąś wiedzę o tym, gdzie znaleźć metale, skoro ich używali. Podejrzewał nawet, że gdzieś musieli mieć fabryki.

„Jeśli już tak trochę o tym pomyśleć”, pomyślał, „to skąd mam wiedzieć, że może nie przygarnęło mnie jakieś dzikie plemię? Któregoś dnia może trafię na bardziej zaawansowaną ich grupę. Będę musiał spytać o to Wielką Rybę, kiedy wróci”.

Zaczął planować, co zrobi, jeśli dotrze do jakiejś bardziej rozwiniętej cywilizacji podwodnej. Każdy, kto posiadałby wiedzę o wydobyciu metali, a może o wydobyciu ich z wody morskiej, byłby zainteresowany kontaktem z Terranami z innego świata. Prawdopodobnie nakłonienie ich do zrozumienia idei kosmosu byłoby nieco kłopotliwe, ale niektórych z nich można by było wysłać na powierzchnię w odpowiednich zbiornikach. Wtedy potrzebny byłby im Terranin, znający oba te światy.

— Mógłbym zostać ambasadorem! — powiedział do siebie Harris. — Zastanawiam się czy… może nawet udałoby mi się dogadać z tą bandą. Gdybym tylko mógł się stąd wydostać! Może wróciłbym tutaj w nowej łodzi podwodnej.

Zaczął chodzić w tę i z powrotem wzdłuż zbiornika, zatrzymując się raz po raz, żeby zebrać ryby, które wrzucili mu ludzie z zewnątrz. Zauważył, że dokładna liczba ryb stale się zmienia, lecz ich ogólna liczba nie ulegała większym zmianom. Zaczął chodzić wokół zbiornika, wpatrując się w każdą parę oczu.

W końcu odniosło to na niego tak hipnotyczny efekt, iż zaczął sobie wyobrażać, że pływa w morzu, w słabym, zielonkawym świetle. Ludzie morza na zewnątrz zaczęli ukazywać się mu jako jednostki. Wzmogło to w nim przekonanie, że będzie w stanie ich rozróżnić.

Ocknął się biegnąc do rogu klatki, w którym zebrał ryby. Dźwięk, który wywołał tę reakcję, dochodził z nieprzezroczystego końca zbiornika. W ciągu kilku sekund pojawiło się kilka strumieni wody, silnych i spienionych, która rozlała się po dnie akwarium.

Harris chwycił swój zapas jedzenia, aby nie został spłukany. Drugą ręką próbował podwinąć nogawki spodni. Wydawało się, że nigdy nie jest w stanie się przygotować, kiedy nadchodził właściwy czas, ale było mu za bardzo zimno, aby ciągle chodzić z podwiniętymi spodniami.

Woda chlupotała mu wokół łydek. Po kilku chwilach zaczęła się cofać, gdy maszyneria Tridentian wypompowywała ją z jego akwarium. Wkrótce zbiornik był czysty, nie licząc Harrisa, jego ryb i silnego zapachu morskiej wody.

„Był całkiem dobry”, dobiegła do niego myśl. „Widzę, że ty też jesz.”

Nad głową przemknął mu wielki cień. Większość Tridentian poruszała szypułkami ocznymi, starając się wyglądać przyjacielsko. Harris upuścił rybę na wilgotną podłogę.

— Nie, wcale nie jem — powiedział. — Jestem cały mokry.

„Ja też”, zauważyła Wielka Ryba.

— Ale ja zazwyczaj nie jestem — odparł Harris.

„Wiem. To bardzo niegrzeczne, że pozwalają ci tak wysychać. Chcesz, żebym puknął na końcu akwarium? Możesz mieć tyle wody, ile zechcesz.”

— Nie teraz — oznajmił spokojnie Harris. Usiadł, krzyżując nogi. — Najpierw musiałbym wyhodować sobie skrzela. To może nie potrwać długo.

Popatrzył na Tridentian, którzy spoglądali na niego. Znów zaczął czuć, że rozpoznaje ludzi. Może powinien częściej z nimi rozmawiać przez Wielką Rybę.

— Może niektórzy z nich to naprawdę mili goście — mruknął — jeśli tylko lepiej ich poznam.

„Nie”, przekazał mu przyjaciel, „oni nie nadają się do jedzenia.”

ROZDZIAŁ XIII

Po godzinie szóstej trzydzieści, czas wlókł się jak guma. Entuzjazm wywołany udanym startem w sprawie Harrisa, rozpłynął się w głowach wszystkich do poziomu niemalże niezauważalnego - z wyjątkiem jednej osoby. Reszta szczerze miała nadzieję, że ta osoba utrzymuje przez cały czas intensywność swojego zainteresowania.

Westervelt siedział przy biurku, czytając artykuł w „Spaceman's World" o eksploracji nowoodkrytego układu planetarnego. Może kiedyś ten temat zostanie rzucony na jakiejś konferencji, pomyślał, i warto byłoby poznać kilka podstawowych faktów na ten temat. Na żadnej z kilkunastu planet układu nie odkryto życia, ale to niekoniecznie wykluczało założenia tam w przyszłości kolonii Terran. Departament miał również problemy z koloniami, o czym świadczyło Greenhaven.

Odłożył na chwilę czasopismo, żeby przeanalizować obecną sytuację kadrową.

Parrish, jak pamiętał, wyraził zamiar wycofania się do swojego biura i spędzenia jakiejś godziny lub dwóch, na pracy przy biurku. W tych okolicznościach, jak oświadczył, nie było sensu grzebać w aktach w poszukiwaniu pomysłów, skoro nie taki był ich główny cel spędzenia wieczoru w pracy. Rosenkrantz oczywiście czuwał w pomieszczeniu łączności. Smith krążył po całym biurze. Simonetta zabrała przenośny dyktafon do biura Lydmana, żeby pomóc asystentowi w przygotowaniu wstępnego raportu, o który poprosił go szef. Po powrocie i kilku chwilach cichego plotkowania przez okienko z Pauline, Beryl została odesłana z kilkoma nabazgranymi zastrzeżeniami, na które Lydman miał odpowiedzieć.

Smith spędził całe pięć minut na ich wymyślaniu - zanim Simonetta przyniosła pierwotny raport. Westervelt zastanawiał się, jak szybko Beryl wróci z kolejnymi odpowiedziami, bo wtedy prawdopodobnie nadejdzie jego kolej, żeby się tym zająć.

Nie przyjmował tego pomysłu z zadowoleniem.

Smith wyszedł z biura. Zatrzymał się, by z niejasnym zdziwieniem rozejrzeć się po prawie pustym biurze, po czym zobaczył Simonettę przed boksem Pauline. Podszedł, aby przyłączyć się do rozmowy.

Powinienem był gdzieś wyjść, pomyślał Westervelt. Teraz drzwi są całkowicie zablokowane.

Artykuł w magazynie natychmiast zrobił się nudny.

Rzeczywiście, po kilku chwilach Smith podszedł do narożnika Westervelta.

— Kto ma wartę, Willie? — spytał, próbując mrugnąć żartobliwie.

— Chyba Beryl — odpowiedział młodzieniec. — Musi być u niego - dawno jej tutaj nie było.

— Jest tam już od dłuższego czasu — skomentował Smith. — Mam przeczucie, że czas na zmianę. Może by tak tam zajrzeć i posiedzieć u niego?

— Co miałbym powiedzieć? — sprzeciwił się Westervelt. — Pewnie dyktuje jej, co ma do powiedzenia i nie chciałby, żebym się tam kręcił.

Smith przygryzł dolną wargę.

— Na pytania, które mu wysłałem — mruknął zamyślony, — pięć minut powinno mu wystarczyć. Złotowłosa jest z nim już od ponad pół godziny.

— Ale chyba on ma dosyć mojej gęby — powiedział Westervelt.

— Nie mam nikogo innego, kogo mógłbym do niego wysłać, chyba że chcesz, żebym wymyślił jakąś wymówkę dla Pauline. Proszenie go o pomoc w odrabianiu lekcji byłoby dosyć żałosne.

Westervelt się zastanowił. Parrish, w swym obecnym nastroju, raczej nie będzie pomocny. Simonetta właśnie skończyła swoją pracę, a Joe był potrzebny przy komunikatorze kosmicznym. Miło byłoby, gdyby Lydman miał jakąś wiadomość do odebrania, ale to były tylko pobożne życzenia.

— Dobrze, panie Smith — poddał się. — Może wezmę ten artykuł i zapytam, czy pan Lydman już go widział. Jeśli robi inwentaryzację albo testuje coś w laboratorium, to zaryzykuję i zgłoszę się do pomocy!

Smith roześmiał się.

— Nie może być aż tak źle, Willie — powiedział, klepiąc go po ramieniu.

Westervelt nie był tego taki pewien, ale otworzył magazyn na początku artykułu i wyszedł. Pauline popatrzyła na niego, gdy przechodził.

— Nie patrz tak! — powiedział. — Mam nadzieję, że jeszcze mnie zobaczysz!

— Spróbuj wyglądać na bardziej pewnego siebie — zawołała za nim Simonetta.

Westervelt skręcił za róg i powoli ruszył korytarzem, próbując po drodze przybrać bardziej pewną siebie minę. Żadna z tych, które próbował, nie wydawała mu się idealna.

Mijając zapasowe biuro, w którym przechowywano zamknięte akta, usłyszał ze środka jakiś odgłos.

Musieli tu po coś przyjść, pomyślał. Dlatego Smitty'emu wydawało się, że to tak długo trwa.

Otworzył drzwi i zrobił krok do środka, zanim zdał sobie sprawę, że w pokoju panuje ciemność. Bez namysłu wyciągnął rękę, żeby włączyć światło.

Beryl Austin zerwała się na równe nogi, a Westervelt ledwo dostrzegł to w ułamku sekundy ogromnego zdumienia. Wtedy zobaczył, że nie była sama, na kanapie stojącej obok drzwi. Obok niej wstawał Parrish.

Nagłość ich ruchów i wściekłość ich połączonych spojrzeń podziałały na Westervelta jak piorunujący cios. Jednakże implikacje lekko rozczochranego wyglądu blondynki były oczywiste.

Przez chwilę nie był w stanie w ogóle o niczym myśleć. Potem poczuł, że powinien coś powiedzieć, żeby osłonić swój odwrót. Gdzieś pod spodem zaczęło rodzić się przekonanie, że przecież nie ma za co przepraszać. W obliczu takiej wrogości i napięcia wymagało to ogromnej odwagi.

— Ty mały wścibski szczurze! — warknęła Beryl.

Westervelt, z pewnym dystansem zauważył, że jej głos zrobił się dziwnie piskliwy. Nie wiedząc, co innego mógłby zrobić, patrzył, jak poprawia sukienkę. Wydawało się, że oburzyło ją to bardziej niż cokolwiek, co mógłby powiedzieć. Zobaczył też błysk zębów Parrisha, a grymas ten nie wyglądał nawet w przybliżeniu na uśmiech. Mężczyzna zrobił krok, by stanąć przed Beryl.

— Co ty wyprawiasz? — spytał Parrish, z większym uczuciem niż oryginalnością.

Westervelt zastanawiał się, co na to odpowiedzieć, i kiedy nastąpi, co było nieuniknione. Przez głowę przemknęło mu kilkanaście półsłów.

„Jak wybrnąć z takiej sytuacji?", pytał rozpaczliwie sam siebie. „Można by pomyśleć, że to ja coś zrobiłem!"

Zanim zdążył przeanalizować implikacje słowa „coś zrobiłem", Beryl odzyskała głos.

— Wynoś się stąd! — krzyknęła piskliwie. — Kto ci pozwolił tu zaglądać?

— Usłyszałem hałas — powiedział Westervelt, świadomy, że jego głos brzmi dziwnie. — Myślałem, że to pan Lydman.

— Czy ja wyglądam jak Lydman? — spytał Parrish, nie podnosząc głosu tak bardzo jak Beryl. — Nie było tu światła, prawda? Myślałeś, że będzie siedział po ciemku?

Możliwość ta naładowała atmosferę niczym elektryczność statyczna. Właściwie to nawet sama wzmianka o tym sprawiła, że Westervelt poczuł się lepiej, bo brzmiało to tak bardzo jak to, co mógł znaleźć.

— Skąd miałem wiedzieć? — odparł. — Myślałem, że Beryl jest z nim. Czemu miałbym się pana tutaj spodziewać? Mówił pan, że nie będzie pan tu dalej grzebał.

Beryl wygładzała swoją trwałą fryzurę. Teraz zesztywniała równie mocno jak Parrish. Westervelt wyczuł, że jego dobór słów mógł być niezbyt fortunny.

— No to, kto z nim jest? — spytał, zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć.

To pytanie pobudziło Parrisha do działania. Zrobił krok do przodu, by stanąć z Westerveltem twarzą w twarz.

— Skoro tak się tym martwisz, to czemu go nie poszukasz? — prychnął. — Moim zdaniem, wy dwaj idealnie do siebie pasujecie.

— Może i tak — odparł Westervelt z zapałem. — Waszej dwójki, zdaje się, że nie obchodzi to, co się dzieje. Jeśli mi wybaczycie, zgaszę światło i…

— Och, przestańcie się wygłupiać! — poprosiła Beryl. — Wyjdź z drzwi, Willie, i wypuść mnie stąd. Mam już dosyć tego całego incydentu.

— Zaczekaj chwilę, Beryl! — zaprotestował Parrish.

— Taaa — powiedział Westervelt — i lepiej sprawdź jak wyglądasz. Tym razem twoja szminka naprawdę jest rozmazana.

— Zamknij się! — warknął Parrish.

Złapał Beryl za ramiona i odciągnął ją do tyłu. Wyswobodziła się zirytowana. Westervelt oparł się o ścianę i przygryzł wargi.

— Dosyć, znaczy dosyć! — oznajmiła. — Wypuśćcie mnie stąd!

— Zapomniał pan się uśmiechnąć — zwrócił się Westervelt do Parrisha.

Mężczyzna odwrócił się do niego i wyciągnął rękę, by chwycić go za przód koszuli. Westervelt wyprostował się, zaniepokojony, ale gotów do rozważenia wprowadzenia zmian na gładkiej buźce Parrisha. Beryl pisnęła coś, żeby nie zachowywali się jak ostatni głupcy, gdy nagle urwała w pół słowa.

Parrish również znieruchomiał. Przedramię, które Westervelt skrzyżował na chwytającej go za koszulę dłoni, opadło, gdy Parrish go puścił. Mężczyzna spoglądał ponad ramieniem Westervelta. Wyglądał na niemalże wystraszonego.

Westervelt popatrzył za siebie - i po plecach przeszedł go dreszcz, niczym wstrząs po zanurzeniu się w lodowatej wodzie.

Stał tam Lydman, patrząc przez niego.

Kiedy Willie spojrzał ponownie, instynktownie odsuwając się od drzwi, zdał sobie sprawę, że były marynarz patrzy przez nich wszystkich. Po chwili zdawał się skoncentrować na Beryl.

— Chyba panowie panią wypuszczą — oznajmił swym spokojnym głosem.

Parrish nerwowo się cofnął, a Westervelt wsunął się głębiej do środka, robiąc miejsce w przejściu. Beryl zdawała się nie słyszeć. Wpatrywała się w Lydmana, zahipnotyzowana jego pięknymi oczami osadzonymi w silnej, opalonej twarzy.

Lydman przyłożył jedną z dłoni do piersi Westervelta i powoli go przesunął. Dobrze, że szafka na dokumenty za młodzieńcem była prawie pusta, bo przemieściła się po podłodze o stopę, gdy chłopak został do niej przyciśnięty plecami. Lydman wyciągnął drugą rękę i delikatnie ujął Beryl pod łokieć.

Zrobiła krok do przodu, obracając głowę na boki, jakby szukała otuchy u Parrisha lub Westervelta, ale nie patrząc im w oczy. Lydman wyprowadził ją do holu i puścił jej łokieć.

Niepewnie ruszyła korytarzem w stronę głównego biura. Lydman szedł krok lub dwa za nią.

Westervelt usłyszał westchnienie. Popatrzył na Parrisha i zdał sobie sprawę, że on też wstrzymywał oddech. Potem, za obopólną zgodą, udali się na korytarz za prowadzącą dwójką.

— Posłuchaj, Willie — wyszeptał Parrish, obserwując sześciometrową lukę między nimi a szerokimi ramionami Lydmana — musimy dopilnować, żeby ona się nie zapomniała i nie spróbowała wyjść. Jeśli nie pozwoli mi z nią porozmawiać, będziesz musiał zwrócić na siebie jej uwagę.

— Dobrze, spróbuję — mruknął Westervelt. — Proszę posłuchać… ja naprawdę szukałem jego, wcale nie miałem zamiaru…

— Ja też wcale nie miałem zamiaru — powiedział Parrish. — Zapomnij o tym!

— To nie moja sprawa. Powinienem był się zamknąć i od razu wyjść. Niech pan jej powie, że jest mi przykro, kiedy będzie miał pan okazję; prawdopodobnie już nigdy się do mnie nie odezwie.

Zastanawiał się, czy uda mu się uzyskać od Smitha pozwolenie na przesunięcie biurka. Po namyśle zaczął rozmyślać, czy w ogóle wyjdzie z tego z jakimś biurkiem do przesuwania.

— Jasne, że się odezwie — powiedział Parrish. — Tak naprawdę ta dziewczyna ma bardzo dobry charakter. To nic poważnego. Wystraszyłeś nas, i tyle. — Beryl i Lydman skręcili za róg, dając dwóm towarzyszom możliwość przyśpieszenia. Sami skręcili za róg akurat w momencie, gdy Lydman przechodził przez podwójne drzwi.

— Szkoda, że wpadł właśnie w chwili, kiedy krzyczała, żeby ją wypuszczono — powiedział Parrish. — Źle to zrozumiał.

— Chce pan powiedzieć, że naprawdę myślał, że my próbujemy ją tam zatrzymać wbrew jej woli? — spytał Westervelt.

— No cóż, chyba próbowaliśmy, a przynajmniej ja. W takich sytuacjach on chyba przestaje dalej myśleć rozsądnie. Jeśli ktoś jest przetrzymywany wbrew swojej woli, to Bobowi to wystarcza. Czy wiedziałeś, że Smitty musiał wpłacić za niego kaucję?

— Kaucję! — powtórzył Westervelt. — Za co?

— Złapali go parę razy, jak testował nasze nowinki techniczne w areszcie miejskim. Kiedyś ci o tym opowiem.

Parrish umilkł, kiedy dotarli do wejścia do głównego biura. Beryl z wdzięcznością zatrzymała się, by porozmawiać z pierwszą osobą, która pojawiła się w zasięgu jej wzroku – z Pauline. Kiedy przybyli Parrish i Westervelt, zaproponowała właśnie, że na jakieś dwadzieścia minut chętnie zajmie się centralą telefoniczną.

— Och, nie chciałam powiedzieć, że musisz natychmiast wszystko rzucać — zaprotestowała Pauline. — Chciałam tylko powiedzieć… że kiedy będziesz miała ochotę…

Zerknęła z ciekawością na Lydmana, a potem na spóźnionych. Westerveltowi przemknęła przez głowę głupia myśl, że Joe Rosenkrantz musi czuć się strasznie osamotniony, i musiał stłumić nerwowy chichot.

— Naprawdę powinnaś na chwilę stąd wyjść — poradził Lydman, przyglądając się rozmiarom klitki Pauline. — Posiedź na zewnątrz przynajmniej kwadrans i daj swoim myślom się rozprężyć.

— No cóż, jeśli naprawdę ci to pasuje, Beryl?

— Cieszę się, że mogę pomóc — rzuciła szybko Beryl.

Nie tracąc czasu obeszła narożnik aby dotrzeć do wejścia do centralki. Westervelt zamknął oczy. Z łatwością wyobraził sobie jak Pauline sczepia się z nią w wyjściu, zmuszając Lydmana do rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

Dziewczyny poradziły sobie jednak bez takiej katastrofy. Pauline skierowała się do fotela obrotowego za nieużywanym biurkiem sekretarki.

— Powinnaś zostawić te drzwi otwarte — zawołał Lydman do Beryl. — Jeśli zamkniesz je, to w środku prawie nie ma powietrza do oddychania. W mgnieniu oka poczułabyś się okropnie skrępowana.

— Dziękuję — odparła grzecznie Beryl.

Zostawiła drzwi otwarte, usiadła i wzięła słuchawkę Pauline. Sądząc po ułożeniu jej ramion, nie wydawało się, by z tej strony należało się spodziewać jakiejś swobodnej konwersacji.

Westervelt wszedł głębiej do gabinetu i zobaczył Smitha stojącego w drzwiach, z zamyśleniem pocierającego swój duży nos. Młodzieniec domyślił się, że Simonetta dała mu jakiś znak.

Parrish odchrząknął i lekko zakaszlał.

— No cóż — oznajmił — będę w swoim biurze, gdyby ktoś mnie potrzebował.

Nie podchodząc zbyt blisko Lydmana, wycofał się na korytarz, by skorzystać z zewnętrznego wejścia do swojego biura. Były marynarz kosmiczny nie zwrócił na niego uwagi.

Westervelt postanowił, że niech go diabli wezmą, jeśli również przejdzie naokoło przez biuro Parrisha i wróci do tego, aby dostać się do swojego biurka. Obszedł wystającą osłonę kabiny centrali telefonicznej i z westchnieniem usiadł na swoim miejscu. Rozłożył się na oparciu krzesła i rozejrzał, odkrywając, że Lydman podszedł, by powiedzieć parę słów Smithowi. Pauline z ciekawością wodziła wzrokiem od Westervelta do obu mężczyzn, a następnie zaczęła przeglądać półki z czasopismami obok wolnego biurka sekretarki.

Po kilku chwilach Lydman odwrócił się i wyszedł. Westervelt próbował nasłuchiwać jego kroków, ale sprężysta podłoga nie pozwalała mu odgadnąć, w którą stronę poszedł były marynarz.

Zobaczył podchodzącego Smitha i wyszedł mu naprzeciw.

— Zmieniłem zdanie — powiedział do niego szef. — W każdym razie zostawmy go na chwilę samego. Oznajmił, że szkicuje jakiś gadżet, który chce zbudować, i potrzebuje ciszy oraz spokoju.

— Czy mówił coś, że… za głośno rozmawialiśmy? — spytał Westervelt, patrząc na drzwi zamiast spojrzeć Smithowi w oczy.

— Nie, powiedział tylko tyle — odparł Smith.

W jego głosie pobrzmiewał ton zapytania, ale Westervelt postanowił go nie usłyszeć. Po chwili Smith poprosił Simonettę, żeby przyszła do jego biura ze swoim dyktafonem. Wspomniał, że ma nadzieję zadzwonić po jakieś informacje techniczne. Westervelt obserwował, jak wychodzą, a potem opadł na róg biurka, przy którym odpoczywała Pauline.

Beryl kręciła się na swoim krześle.

— Pssst! Pauline! — wyszeptała. — Czy on sobie poszedł?

— Wszyscy stąd wyszli - oprócz Williego — odparła dziewczyna.

Beryl natychmiast zamknęła drzwi. Para, która została w biurze, usłyszała, jak z trzaskiem przekręca zamek.

— Co jej jest? — mruknęła Pauline.

— Nic — odparł ponuro Westervelt. — Dlaczego nie zrobisz sobie drzemki, czy coś podobnego?

— Chciałabym — odparła Pauline. — Zbliża się siódma i kto wie, kiedy stąd wyjdziemy?

— Zamknij się! — powiedział Westervelt. — Chodzi mi o… eee… nie kuś lepiej losu, nawet o tym mówiąc. Zrób sobie drzemkę i daj mi pomyśleć!

— Wy, wielcy myśliciele! — zadrwiła Pauline. — Tak naprawdę to chciałabym pójść do damskiej toalety i wziąć prysznic, ale ty ciągle sobie ze mnie żartujesz, że pan Parrish może tam wejść ze świeżymi ręcznikami do maszyny.

— Skłamałem, Pauline — prychnął Westervelt. — To sprzątaczka je przynosi.

— No cóż, zawsze mogłam mieć nadzieję — zachichotała Pauline.

— Nie dziś wieczorem — powiedział Westervelt. — Uwierz mi, dzieciaku, jesteś bezpieczniejsza niż kiedykolwiek!

ROZDZIAŁ XIV

Pauline wróciła po kwadransie, jej młodzieńczo przejrzysta skóra promieniała, a popielate loki były zgrabnie ułożone. Zerknęła przez okienko na Beryl, która nerwowo wybierała numer, żeby zadzwonić na zewnątrz.

— Co się dzieje? — spytała Westervelta, który siedział z obcasami na środkowym biurku.

— Pan Smith dzwoni do paru znanych mu inżynierów — powiedziała Simonetta.

Westervelt też usłyszał o tym dopiero przed chwilą, kiedy Simonetta wyszła z taśmą do przepisania. Zaczął coś tam wspominać, że może lepiej zadzwonić do psychiatry, ale ugryzł się w język.

„Z tego, co wiem", rozmyślał, „mogą mnie stąd wyrzucić! Wszystko, co pamiętam z dnia dzisiejszego, nie mogło się naprawdę wydarzyć. A jeśli się wydarzyło, to żałuję, że tak się stało!"

Wspominał, jak tego ranka zadzwoniono do niego do domu, żeby wsiadał do odrzutowca i leciał do Londynu. Znalazł laboratorium, w którym wykonano model latarki, którą interesował się Smith, i wrócił, nie mając nawet czasu na lunch. Teraz, kiedy odrzutowce latały tak szybko, nie podawano już w nich posiłków i musiał pośpiesznie zjeść kanapkę, po powrocie. Do tego te nieszczęsne smażone jajka. To wszystko - nic dziwnego, że znowu był głodny!

„Trzeba było się spóźnić na ten powrotny odrzutowiec", pomyślał z goryczą. „Nie wiedziałem, gdzie mi dobrze! I po co musiałem tam wchodzić? Powinienem mieć na tyle dużo rozumu, żeby najpierw zajrzeć do biura Boba."

Doszedł do wniosku, że Pauline, rozmawiająca teraz z Simonettą, wygląda na odświeżoną i odprężoną. Może on też powinien zrobić to, co ona.

Po namyśle, pomysł ten nadal wydawał mu się kuszący. Westervelt wstał i przeszedł obok centrali. Beryl była za bardzo zajęta, żeby go zauważyć. Cicho udał się do łazienki, która okazała się pusta. Poczuł raczej ulgę, że udało mu się uniknąć spotkania z kimkolwiek.

Po jednej stronie łazienki znajdowały się drzwi prowadzące do pomieszczeń prysznica. Wyposażenie Departamentu 99 było co najmniej tak samo kompletne, jak w każdym nowoczesnym biurze obecnych czasów. Westervelt wszedł do maleńkiego przedpokoju, wyposażonego w zwykły stołek, kilka wieszaków na ścianie i wbudowany podajnik ręczników.

Na pokrętle na zewnątrz kabiny prysznicowej, roztropnie ustawił temperaturę na gorącą kąpiel, i wcisnął przycisk, który uruchamiał wodę.

„Tak na wszelki wypadek, gdyby te dzisiejsze problemy z zasilaniem wpłynęły na dopływ ciepłej wody”, pomyślał.

Kiedy się rozebrał, uspokoił go widok pary w kabinie. Przyszła mu do głowy kolejna myśl. Zamknął zewnętrzne drzwi na zamek. Wcześniej nie pomyślał o możliwości, że Lydman mógłby sobie wyobrazić, że Willie został tutaj uwięziony. Miałby pecha, gdyby Bob „pomógł mu” wydostać się na korytarz, nagiemu i ociekającemu wodą, dokładnie w chwili, kiedy byłby on pełen ludzi zmierzających do laboratorium.

Odsunął częściowo nieprzezroczyste plastikowe drzwi kabiny i z westchnieniem przyjemności wszedł pod strumień gorącej wody. Dziesięć minut relaksu rozluźniło go do tego stopnia, że niemal odzyskał poczucie pokoju ze światem.

— Powinienem zakończyć chwilką lub dwiema na zimno — powiedział sobie — ale do diabła z tym! Później ustawię klimatyzację na niższą temperaturę.

Nacisnął wodoodporny przycisk wewnątrz kabiny, żeby zamknąć dopływ wody, otworzył wąskie drzwi i sięgnął do dozownika ręczników. Ręcznik, który otrzymał, był puszysty i duży, choć z papieru. Dokładnie się wytarł, po czym włączył nawiew w kabinie, żeby dokończyć proces suszenia.

Ubrawszy się i wyrzuciwszy ręcznik do szczeliny w ścianie, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy o czymś nie zapomniał. Kabina prysznicowa automatycznie się wywietrzyła, wsysając całą wilgoć do systemu klimatyzacji; wyglądała tak samo nieskazitelnie, jak w chwili, kiedy tu wchodził.

Westervelt przeszedł do właściwej toalety, wdzięczny, że zamek w drzwiach przedpokoju prysznica nie zaciął się akurat w tym czasie. Przeciągnął się wygodnie i ziewnął. Wtedy dostrzegł w lustrze swoje potargane, rozwichrzone powietrzem włosy. Wygrzebał z kieszeni kilka monet i z zamontowanych na ścianie dozowników, kupił kolejny twardy papierowy grzebień oraz małą fiolkę z odżywką do włosów. Spokojnie spryskał ciemne włosy mgiełką o delikatnym zapachu i starannie je uczesał.

Zająwszy się tym zadaniem, wygospodarował parę sekund, by przyjrzeć się odbiciu swojej twarzy. Wyposażona była ona w nieco bardziej kwadratową szczękę niż u Smitha, pomyślał, ale musiał przyznać, że nos miał na tyle wydatny, iż stanowił on wyzwanie nawet dla samego szefa. Nikt nie pomyślał o wyposażeniu toalety w regulowane lustra, więc dał sobie spokój z wykręcaniem szyi, aby obejrzeć swój profil.

— No, teraz czuję się o wiele lepiej! — stwierdził z wyraźną satysfakcją w głosie. — Teraz, jeśli jeszcze uda mi się wygrzebać kolejną kawę z szafki, to będzie jak w nowy dzień. Rany, mam tylko nadzieję, że znacznie lepszy!

Spokojnie szedł korytarzem do głównego biura, przesadnie lekko dociskając elastyczną podłogę, aby jego krok był bardziej sprężysty. Przed biurem spotkał wychodzącą Beryl. Poczuł, że natychmiast sprowadziło go to na ziemię.

Beryl popatrzyła na niego enigmatycznie, obejrzała przez ramię, żeby sprawdzić, czy jest sama, i ruszyła w stronę przeciwległego skrzydła. Westervelt pośpieszył za nią.

— Posłuchaj, Beryl! — zawołał. — Chciałem powiedzieć… to znaczy… o tym, co było wcześniej…

Beryl skręciła za róg i szła dalej.

— Poczekaj chwilkę! — powiedział Westervelt.

Próbował zbliżyć się do niej, żeby mówić do czegoś innego niż tył jej blond włosów, ale Beryl była wysoka i miała długi krok. Zawahał się, czy przytrzymać ją za łokieć.

Beryl zatrzymała się przy drzwiach biblioteki.

— Proszę, zwróć uwagę, Willie — oznajmiła chłodno — że w środku pali się światło i że jestem sama.

„Przynajmniej się do mnie odezwała”, pomyślał Westervelt.

— Przyszłam tutaj po chwilę ciszy i spokoju — poinformowała go. — Mam nadzieję, że nie miałeś zamiaru uczyć się czytać o tej porze nocy.

— No, co ty! — zaprotestował Westervelt. — To był wypadek. Czy mógłbym temu jakoś zapobiec?

— Skoro jesteś taki, jaki jesteś, to chyba nie — przyznała Beryl rozsądnie. — Czemu nie pójdziesz sobie w jakieś inne miejsce i znów nie odegrasz roli przypadku?

— Próbuję przeprosić — powiedział Westervelt, czując, jak rumieniec rozlewa mu się po twarzy. — Zresztą, właściwie to nie wiem, za co miałbym przepraszać. To nie ja byłem tam w środku, zajmując się po ciemku archiwami!

Beryl popatrzyła na niego z góry, jakby był Mizarianinem pytającym, gdzie mógłby napełnić zbiornik z chlorem.

— A więc, to jest historia, którą wszędzie chodzisz i opowiadasz? — spytała lodowato.

— Nie opowiadam… — Westervelt zdał sobie sprawę, że zaczyna krzyczeć, i zniżył głos. — Nie opowiadam żadnej historii. Nikt niczego o tym nie wie, poza tobą, mną i Pete’em. Bob nie mógł niczego widzieć.

Beryl wzruszyła ramionami, niewielkim, pogardliwym gestem. Westervelt zastanawiał się, dlaczego wdał się w kłótnię w tej sprawie, skoro było oczywiste, że z każdym słowem pogarszał sytuację.

— Nie wiem, dlaczego tak się tym przejmujesz — powiedział. — Nawet Pete powiedział mi, żebym o tym zapomniał.

— Och, a więc już to sobie obgadaliście! — oskarżyła go Beryl. — Niech żyje klub! Zastępujesz go też w innych sprawach?

Westervelt uniósł ręce.

— Wydaje się, że nic ci to wszystko nie przeszkadza, poza tym, że dowiedziałem się, że tam z nim byłaś — odparł. — Skoro był taki do przyjęcia, to czemu ja jestem temu winien? Nikt nigdy nie odszedł z tego biura z mojego powodu!

— To się może jeszcze zdarzyć — oznajmiła zimnym tonem Beryl.

— Och, do diabła! Problem z tobą polega na tym, że potrzebujesz trochę wyluzować.

Złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Wsunął lewe ramię za jej plecy, kiedy próbowała kopnąć go w kostkę, i pocałował ją. Rezultat został zniweczony przez to, że w kluczowym momencie Beryl odwróciła twarz. Westervelt cofnął się.

Następną rzeczą, jaką zarejestrował, był rozbłysk światła przed jego prawym okiem. Nawet nie zauważył, jak unosiła dłoń, bo inaczej by się uchylił. Widział ją jednak teraz, cofając się. Pomimo pewnej kobiecej delikatności, jej dłoń zaciśnięta była w bardzo zgrabną piąstkę.

Beryl zrobiła jeden szybki krok do wnętrza biblioteki.

— Nie lubię tak bez przerwy udzielać wskazówek — powiedziała — ale może ta się zarejestruje w tej twojej małej główce.

Zatrzasnęła drzwi na dziesięć centymetrów przed jego nosem. Westervelt uniósł rękę, żeby je otworzyć, ale zmienił zdanie i ostrożnie obmacał okolice oka. Bolało, ale z jakimś uczuciem odrętwienia.

Uświadomiwszy sobie, że jednak widzi, z poczuciem winy rozejrzał się po korytarzu. Wydawał się bardzo spokojny.

„Prosto w oko!”, pomyślał ze smutkiem. „Nie mogła tak dobrze wycelować: to musiał być szczęśliwy strzał. Powinienem tam wejść i jej przyłożyć!”

Nie miał jednak na to ochoty. Nie widział żadnej przyjemności ani satysfakcji w doprowadzaniu tej sprawy do stanu otwartej wojny.

„Znowu przegrałeś, Willie”, zrugał się w duchu. „Równie dobrze możesz to przyjąć jak mężczyzna. Była rozzłoszczona czymś, co powiedziałeś, i było już za późno, nawet w chwili kiedy zacząłeś.

Ponownie delikatnie dotknął oka i stwierdził, że odrętwienie spowodowane jest napinaniem się skóry wokół rosnącej śliwki.

Ruszył korytarzem, minął główne drzwi do biura z odwróconą twarzą i pośpiesznie zaszedł do toalety, zanim ktokolwiek się pojawił.

Badając teren przez ostrożnie uchylone drzwi, stwierdził, że to miejsce jest puste. W lustrze oko wykazywało wyraźne oznaki rozkwitu. Z brwią wszystko było w porządku, ale sama gałka oczna była przekrwiona i mocno łzawiła. Skóra pod nią, nad kością policzkową, była czerwonawa i opuchnięta.

— O mój Boże! — wyszeptał Westervelt. — Jutro oko będzie niebieskie! Pewnie nawet fioletowo-zielone. A może potrzeba dnia lub dwóch, żeby osiągnąć ten etap?

Nalał zimnej wody do miski i ochlapał nią twarz, przykładając garść po garści do uszkodzonego oka.

Kiedy to nie wydawało się wystarczająco skutecznym środkiem, zwinął miękki ręcznik papierowy w kulkę, namoczył go pod bieżącą wodą i przykładał, aż stracił swój chłód.

— Czy dobrze robię? — zastanawiał się. — Nigdy nie pamiętam, czy należy używać ciepłego, czy zimnego ręcznika.

Myślał o tym, trzymając rozpadający się z wolna ręcznik przy oku. Ktoś mu powiedział, o ile dobrze pamiętał, że oba sposoby pomagają, w zależności od tego, kiedy zastosuje się ciepły, a kiedy zimny okład.

— Chyba trzeba używać zimna, zanim oko zdąży spuchnąć — mruknął. — Aby zapobiec przedostaniu się krwi do tkanek - to musi być to. Ale jeśli

na to jest już za późno, ciepło zapobiegnie stwardnieniu. Pytanie tylko brzmi, czy zdążyłem?

Zbadał oko. Nie było bardzo obolałe, ale nadal czerwone i lekko spuchnięte. Łzy przestały mu płynąć, więc uznał, że niewiele więcej jest w stanie teraz zrobić. Otarł twarz i wyszedł na korytarz, mrugając. W pomieszczeniu łączności panuje całkiem niezły półmrok, pomyślał.

Podszedł do drzwi laboratorium i cicho je otworzył. Pomieszczenie było ciemne i puste. Westervelt przysiągł sobie, że jeśli tym razem się na kogoś natknie, bez zbędnych ceregieli walnie w nos każdego, kto mu się nawinie pod rękę. Chyba że, jak natychmiast poprawił wygłaszaną intencję, natknie się na Lydmana.

Czuł niechęć na myśl o zapalaniu światła, co oznaczało problem z przedzieraniem się przez labirynt stołów, warsztatów i stosów kartonów. Odłożył do późniejszej dyskusji możliwość stwierdzenia, że w Departamencie jest tak samo normalnie, jak w każdym innym biznesie; i tam wszędzie znajdowały się typowe, zagracone zaplecza, poza zasięgiem wzroku głównego biura.

Przebył już mniej więcej połowę trasy, kiedy poczuł chłodny powiew. Początkowo pomyślał, że to podmuch z nawiewnika klimatyzacji, ale wiało bardziej poziomo. Ktoś musiał otworzyć okno, pomyślał, albo może je wybić, podczas próby użycia jakiegoś niebezpiecznego przyrządu.

Udało mu się dotrzeć do przeciwległej ściany, gdzie przez chwilę macał w poszukiwaniu drzwi prowadzących do pomieszczenia łączności. Znajdowały się one tuż przy zewnętrznej ścianie, ale dotarł do nich, nie natykając się na więcej niż dwa lub trzy jakieś porozrzucane przedmioty.

Po przejściu przez drzwi widział lepiej, ponieważ odrobina światła rozpraszała się na osłonie z drucianej siatki otaczającej urządzenia energetyczne. Przeszedł krótkim korytarzem utworzonym przez siatkę, skręcił za róg i dostrzegł Joego Rosenkrantza, siedzącego przed swoim ekranem.

— Cześć, Joe — powitał operatora.

Ten drugi podskoczył zauważalnie, oglądając się w stronę drzwi na korytarz.

— To ja, Willie — powiedział Westervelt. — Wszedłem z drugiej strony.

Z zadowoleniem stwierdził, że Rosenkrantz zadbał o to, by w pomieszczeniu panowało tak słabe oświetlenie, jak to było w zwyczaju wśród operatorów łączności telewizyjnej. Joe przez chwilę przypatrywał się mu, i Westervelt już się zaczął obawiać, że wzrok operatora był zbyt dobrze przystosowany nawet do tej niewielkiej ilości światła.

— Nie sądziłem, że ktokolwiek poza Lydmanem z niego korzysta — powiedział Rosenkrantz.

— To skrót — odparł wymijająco Westervelt.

Znalazł wolne krzesło i zapytał, co nowego.

Rosenkrantz opowiedział mu o kilku rozmowach z planetami w pobliżu Tridenta, prosząc stacjonujących na nich ludzi z D.S.M. o przygotowanie statków kosmicznych do ewentualnego wykorzystania, zarówno do poszukiwań Harrisa, jak i do dostarczenia sprzętu niezbędnego do badań

oceanu. Zaproponował, że pozwoli Westerveltowi na przejrzenie taśm z nagraniami otrzymywanych przez niego wiadomości.

— To dobry pomysł — powiedział z wdzięcznością młodzieniec. — Nawet jeśli nie znajdę na nich żadnych pomysłów, będzie to przynajmniej jakiś pożyteczny wysiłek.

— Tak — zgodził się ten drugi. — Czas się dłuży, co? Ciekawe, jak im idzie w tunelach tych kabli?

— To nie może potrwać już dużo dłużej.

— To samo chyba mówi ten Harris. Ale powiedzmy sobie szczerze, ten facet siedzi naprawdę po uszy w bagnie!

— No cóż…

— Och, bywały tu niezłe numery, ale mam przeczucie co do tego — upierał się operator. — Założę się dziesięć do jednego, że Harrisa nie wyciągną.

Westervelt zaniósł taśmy do ekranu odtwarzacza i przysunął krzesło.

— Powiedziałem Smitty'emu, że powinni zaoferować kogoś na wymianę za niego — powiedział. — Wtedy wydawało mi się to idealnym sposobem na pozbycie się paru niepożądanych osób. A tak poważnie mówiąc, to sam bym tam poszedł.

— A po jakiego diabła? — spytał Rosenkrantz.

Westervelt zdał sobie sprawę, że o mało się nie zdradził.

— Och… choćby po to, żeby zobaczyć to miejsce — powiedział. — Nikt inny nigdy nie widział tych Tridentian. Jak inaczej ktoś taki jak ja mógłby zdobyć posadę ambasadora międzygwiezdnego?

— Może Harris chce tę robotę dla siebie. Na pewno wyruszył tam w jej poszukiwaniu!

Telefon cicho zawibrował. Rosenkrantz odebrał, a potem powiedział:

— To do ciebie.

Westervelt podszedł do ekranu. To był Smith.

— Już myślałem, że udało ci się znaleźć jakieś wyjście, Willie. Gdzie się podziewałeś?

Westervelt wyjaśnił, że przegląda nagrania rozmów z Tridentem, żeby lepiej zapoznać się z tłem sytuacji.

— Uznałem, że mam trochę czasu na to, aby… — Urwał, widząc, jak Rosenkrantz prostuje się i skupia na jakimś połączeniu z kosmosu. — Joe właśnie coś odbiera. Dam panu znać, jeśli będzie to miało coś wspólnego z Tridentem.

— Departament 99, Terra — mówił właśnie operator, kiedy Westervelt odwrócił się od telefonu, jakby sam sygnał połączenia nie był dostateczną informacją dla rozmówcy po drugiej stronie.

Na ekranie coś wydawało się dziać. Ludzie biegali we wszystkie strony po czymś, co wyglądało na duży hol z imponującymi schodami.

— To Yoleen! — Rosenkrantz rzucił mu przez ramię. — Powiedz Smitty’emu!

— Panie Smith! — powiedział Westervelt, odwracając się z powrotem do ekranu telefonu. — Joe mówi, że to połączenie z Yoleena. Może chciałby pan sam to zobaczyć. Coś tam jest nie tak.

— Już idę! — zwołał Smith i ekran telefon ściemniał. Westervelt rozejrzał się i zobaczył, że większość biegających postaci ukryła się. Z odbiornika dobiegł czyś głos, więc zaczął nasłuchiwać razem z operatorem.

— …rozwalony w kawałki, więc muszę używać jednej z kamer obserwacyjnych, które rozstawiono wokół ambasady. Postrzelał to miejsce kompletnie!

— Nagrywam wszystko na taśmę, dopóki ktoś się tu nie pojawi — powiedział Rosenkrantz. — Lepiej powiedz mi po kolei, co się stało, tak na wszelki wypadek.

„Yoleen", pomyślał Westervelt. „To chyba będzie… niech pomyślę… Gerson, sprawa porwania. Czy to znaczy, że to on tam do nich strzela?"

— …a po tym, jak zostawił mnie z tą kupą złomu w pomieszczeniu łączności, skierował się do schodów — powiedział głos niewidocznego operatora. — Wygląda na to, że próbuje wydostać się z ambasady. Nie wiemy dlaczego - chłopaki odstawili go tam bez żadnego problemu.

— Czy nic mu nie było? — spytał Rosenkrantz, nadstawiając ucha w stronę drzwi.

— Wyglądał na bardzo chorego, jakby źle jadł, i miał złamany nadgarstek. Zabrali go do lekarza, nie sprawiał problemów. Potem szef poszedł zobaczyć, jak Gerson się czuje i znalazł Doca nieprzytomnego na podłodze. Oczywiście, narobił krzyku. Ktoś w końcu dopadł Gersona w biurze attaché wojskowego.

— Czego on tam szukał? — spytał Rosenkrantz.

— Jeszcze nie wiemy. Zostawił za sobą zwłoki, a te nie odpowiadają na pytania.

ROZDZIAŁ XV

W budynku, do którego przyprowadzili go dwaj Terranie, Gerson kulił się za ozdobną balustradą antresoli. Był już blisko szczytu schodów i miał nadzieję, że uda mu się podejść jeszcze bliżej.

Rzut oka wzdłuż korytarza za nim nie ujawnił mu żadnych nieostrożnych głów. Przyglądał się fragmentom korytarza na parterze, które widział przez otwory w balustradzie. Chwilę wcześniej w dole panował spory tłok, nie miał więc ochoty mocniej się wychylać.

Uzbroił się, kiedy tylko nadarzyła się okazja: pistolet rakietowy produkcji Yoleenitów - niewątpliwie kupiony przez kogoś jako pamiątka - i ostry nóż z tacy obiadowej, na którą natknął się w jednym z przeszukiwanych pomieszczeń. Z powodu swej kontuzji, musiał trzymać nóż w zębach. Coś mu w tym układzie nie pasowało. Papiery miał schowane pod koszulą, pistolet rakietowy trzymał w jednej ręce, zaś druga była ranna - a jednak jedyną rzeczą, jaka mu pozostała do trzymania noża, były zęby. Jakoś nie wydawało mu się to do końca odpowiednie, ale nie miał czasu na rozmyślania. Terranie nie dawali mu spokoju.

Odkąd trafił do tego budynku, widział cztery trójki Terran. Jednego, pracownika medycznego, pozbawił przytomności. Potem poszedł szukać terrańskich tajemnic, i zobaczył go ten drugi. W tym czasie miał już pistolet rakietowy. Zostawił więc tego Terranina martwego, ale przybiegli inni.

Coś kazało mu ostrzelać sprzęt komunikacyjny, chociaż Terranin, który go obsługiwał, uciekł. Schował się gdzieś za Gersonem, za jednymi z wielu drzwi prowadzących z tego wysokiego, jasnego korytarza.

Wydawało mu się, że widział jeszcze jednego, który wślizgnął się za drzwi przed nim, w dalszej części korytarza, po drugiej stronie antresoli. Za przeciwległą balustradą krył się kolejny. Gerson zastanawiał się leniwie, czy ten ostatni jest uzbrojony.

Próbował oszacować najbardziej prawdopodobne pozycje tych, którzy byli na parterze. Jeden z pewnością wybiegł frontowymi drzwiami, które znajdowały się na dole, naprzeciw szerokich schodów, jakieś trzydzieści stóp od niego. Był tam również płytki przedsionek, ale Gerson widział na całej jego długości, co w nim jest.

Z pozostałych, kolejny schował się w izbie z przodu głównej holu, po lewej stronie Gersona, patrząc w kierunku kiedy schodziło się po schodach. Drugi pobiegł gdzieś do tyłu, pod osłoną schodów po tej samej stronie, a pozostała czwórka czaiła się gdzieś z prawej strony, albo za schodami, albo w sąsiednich izbach.

Nachylił się bliżej balustrady, próbując zobaczyć więcej. W tym momencie jego zraniona kończyna zetknęła się z barierą, co sprawiło, że

skrzywił się z bólu. Działanie leku, który wstrzyknął w nią ziemski medyk, powoli ustawało.

Ponieważ narobił już wcześniej lekkiego hałasu, Gerson przeczołgał się jakieś trzy metry, aż dotarł tuż do szczytu schodów. Uciszył się, żeby nasłuchiwać.

Gdzieś na dole ostrożnie rozmawiało dwóch pracowników ambasady. To mógł być dobry moment, żeby ich zaskoczyć. Wstał i zrobił krok w stronę schodów. Z jednej z dolnych izb dobiegł sztucznie wzmocniony głos. Pobrzmiewało w nim lekkie echo, przez co Gersonowi niemal nie dało się określić kierunku, z którego on dolatywał. Terranin, który wślizgnął się do pomieszczenia po lewej stronie, wychylił się, unosząc jakąś broń.

Gerson wystrzelił w jego kierunku rakietę. Smukły pocisk, długości i grubości dwóch górnych stawów jego kciuka, pozostawił dymny ślad tuż nad poręczą schodów i wybił dużą dziurę w ścianie obok drzwi, w których krył się pracownik ambasady. Jakimś sposobem udało mu się cofnąć na czas, aby uniknąć przelatujących drobinek metalu i gipsu.

Gerson ponownie ukląkł za balustradą, wstrząśnięty przez uczucie świeżego bólu i zastanawiając się nad jego źródłem. Skoncentrował się. Po chwili poczuł wilgoć sączącą się z jego lewego boku. Jakiś mały przedmiot musnął mu skórę; zdał sobie sprawę, że musiała to być jednorodna kulka metalowego śrutu, wystrzelona z broni Terranina, do którego przed chwilą strzelał.

Wiedział, że Terranie dysponują bardziej niebezpieczną bronią, ale był przekonany, że nie odważą się na użycie niczego zbyt gwałtownego, w swoim własnym budynku. Wykorzystany przeciwko niemu pistolet musiał być jakimś antykiem albo pamiątką. Możliwe też, że była to atrapa broni, zbudowana do ćwiczeń w strzelaniu do celu. Zdawało mu się, iż mgliście przypomina sobie, że kiedyś miał z czymś takim do czynienia.

Wytężył pamięć, w próbie uchwycenia tego przelotnego wspomnienia, zaciskając zęby z wysiłku, lecz ono już mu umknęło. Tyle wspomnień zdawało się zniknąć z jego pamięci. Był pewien jedynie tego, że musi się stąd wydostać, razem z tymi papierami.

Ponownie sprawdził hol na górze, przed i za sobą. Rozejrzał się po otwartej przestrzeni, szukając Terranina kryjącego się za balustradą, ale nie był w stanie go znaleźć. Być może warto było strzelić w tamtym kierunku na chybił trafił. Jeśli nawet go nie trafi, to przynajmniej odstraszy.

Z dołu rozległ się głośny, mechaniczny głos.

— Gerson! — ryknął. — Gerson, rzuć broń i wstań z rękoma do góry. Widzimy, gdzie jesteś. Chcemy ci pomóc.

Gerson na to nie zareagował. Analizując wypowiedź, przypomniał sobie, że jeden z Terran do niego strzelił. Trafił go niezbyt poważnie, co prawda, ale nie miało to charakteru pomocy. A więc, albo głos kłamał, albo nie miał kontroli nad osobnikiem, który do niego strzelał.

Nie winił go za domniemaną nieprawdę, ale również nie dał się zwieść. Wolałby zabić człowieka, który go postrzelił, ale musiał pamiętać, że jego głównym zadaniem było wydostanie się z tego budynku.

— Gerson! — zaryczał ponownie głos. — Wiemy, że jesteś ranny. Jesteś chory. Prosimy cię, odłóż broń i pozwól nam sobie pomóc!

Gerson zastanawiał się, co głos miał na myśli, mówiąc „chory”.

Możliwe, że ktoś dostrzegł jego ranę po ostatnim strzale. A może chodziło mu o jego bolącą kończynę. Uświadomił sobie wtedy, że krew, która wyciekła i zaschła po prawej stronie jego twarzy, musiała być wyraźnie widoczna. Terranin, którego zabił na korytarzu, rzucił w niego małym ceramicznym naczyniem, a Gerson zbyt wolno uniósł zranioną kończynę, aby je zablokować. Cała jedna strona jego twarzy była obolała, ale skóra na policzku już nie krwawiła, więc to, czy z tego powodu można było uznać go za chorego, było kwestią subiektywnej opinii.

Głosowi musiało chodzić o tę ostatnią ranę, skoro nazwał go chorym. Oznaczało to, że tym głosem był albo Terranin, do którego strzelał, albo że w izbie był z nim jakiś inny Terranin. Gerson nie sądził, by ktokolwiek z pozostałych mógł to dostrzec. Jakaś wątpliwość w głębi jego umysłu usiłowała zasugerować możliwość przeoczenia, ale nie wiedział tutaj żadnego.

Zerknął raz jeszcze między słupkami balustrady i tym razem dostrzegł ruch, ledwie cień, naprzeciwko niego. Natychmiast wstał i wystrzelił w to miejsce rakietę. Pomknęła w swoją drogę, ciągnąć za sobą smugę, i niemal natychmiast eksplodowała, uderzając w jeden ze słupków. Gerson przez chwilę żałował, że nie przebiła się przez balustradę i nie uderzyła w znajdującą się za nią ścianę, co z pewnością rozwiązałoby sprawę obecności czającego się tam Terranina. Kiedy balustrada rozpadła się, pozostawiając kikuty słupków u góry i u dołu, Gerson ruszył w dół po schodach.

Z dołu dobiegły krzyki. Podniósł jedną nogę, aby wskoczyć na poręcz schodów, oparł się o nią i zaczął się zsuwać. Pistolet rakietowy i szaleńcze wymachy wyciągniętej lewej ręki, w której go trzymał, pomogły mu utrzymać równowagę. Jednym zjazdem dotarł na półpiętro pośrodku schodów.

Człowiek, do którego strzelał, pojawił się ponownie w tym samym wejściu. Gerson stoczył się z poręczy na lewą stronę, poczuł że obie stopy lądują na półpiętrze i wypuścił kolejny pocisk. Było jednak już za późno; Terranin nawet nie marnował czasu, aby odpowiedzieć mu ogniem. Wyglądało to niemal jak jakiś podstęp mający na celu odwrócenie jego uwagi.

— Gerson! — wrzasnął mechaniczny głos.

— Gerson! Gerson! — krzyknęły inne głosy.

Dolatywały z wielu stron i nie był w stanie ich wszystkich ogarnąć. Dotarł do miejsca u podnóża schodów, pokonując po trzy stopnie naraz, kiedy głośniejszy okrzyk skierował jego uwagę na drzwi po prawej stronie. Pojawiła się tam postać Terranina.

Nie zwalniając tempa ruchu, machnął lewą ręką przez ciało i odpalił kolejną rakietę. Dostrzegł, jak postać uskakuje w bok, zanim dym i kurz eksplozji podpowiedziały mu, że jego strzał zawadził o krawędź drzwi.

Wydawało mu się, że musiał również postrzelić Terranina i zatrzymał na chwilę w tym miejscu wzrok, kiedy dotarł na podłogę holu. W ten

sposób zobaczył, jak postać pojawia się ponownie i znajdował się w pozycji, pozwalającej na oddanie, z szybkością zwierzęcia, dwu kolejnych strzałów.

Tym razem postać została trafiona bezpośrednio i odrzucona do tyłu, ale Gerson zdążył sobie uświadomić, że kiedy została wyrzucona w powietrze, nie miała głowy.

Jego pierwszy strzał musiał załatwić sprawę. Podsumowując, zmarnował trzy pociski na manekina.

W tej samej chwili opadła na niego pętla z liny i zrozumiał, dlaczego starali się go zwabić w tę stronę. Spróbował wycelować pistolet rakietowy w trzech Terran, biegnących ku niemu zza schodów. Czwarty, na końcu liny, zwalił Gersona z nóg.

Upadł ciężko na bolącą kończynę, jęcząc z bólu. Jeden z biegnących rzucił się na niego głową do przodu, uderzając w pistolet, gdy ślizgali się razem po wypolerowanej podłodze. Gerson poczuł, że broń wypada mu z ręki. Zagrzechotała i szurając poleciała po podłodze, znajdując się poza jego zasięgiem, ale kopnął tego, który to zrobił, w głowę.

Dwóch Terran próbowało go teraz złapać i przytrzymać. Wyjął nóż z ust i chwycił go w lewą dłoń, pozwolił aby Terranin go zobaczył, a następnie zranił go boleśnie w nadgarstek. Terranin puścił, a Gerson bez trudu uderzył drugiego kolanem w krocze. Przetoczył się, żeby podeprzeć się kolanem, podciągnął się, zaciskając pięść na nożu i zobaczył Terran biegnących w jego stronę, ze wszystkich stron.

Jeden z nich miał na głowie szeroki, biały bandaż. Gerson rozpoznał w nim pracownika służby zdrowia. Mężczyzna niósł strzykawkę.

Gersona ogarnął bezsensowny strach. Wiedział, że za wszelką cenę musi unikać tej igły.

Odwrócił się gwałtownie, aby machnąć nożem w kierunku ludzi nadchodzących za nim. Najbliższy cofnął się ostrożnie.

— Schowaj to, Gerson — powiedział. — Nie chcemy cię przecież skrzywdzić, człowieku! Przecież ledwie stoisz na nogach.

— Co się stało? — spytał drugi, ciszej. — Widzimy, że jesteś nienormalny. Co te dranie ci zrobiły?

Gerson rozejrzał się na boki, widząc, że się zbliżają, ale nie mogąc znaleźć żadnej sposobności do ataku.

— Posłuchaj mnie chwilę — powiedział medyk. Popełnił błąd, za późno chowając strzykawkę tak by nie była ona widoczna. — Gerson, mów do mnie! Powiedz coś! Cokolwiek się stało, pomożemy ci.

To była jedyna okazja.

Gerson zrobił ostrożny, niepewny krok w jego stronę, potem kolejny. Uniósł uszkodzoną kończynę.

— Tak, masz złamany nadgarstek — powiedział Terranin. — Miałem ci założyć gips, pamiętasz. A teraz się odpręż, a my się tym zajmiemy…

Zobaczył oczy Gersona i odskoczył.

Nóż zatoczył groźny łuk, który mógłby go rozpruć.

Nie marnując impetu, Gerson ciął od razu w dół i uderzył na kolejnego, jednym ruchem rzucając się do przodu. Ostrze musnęło uniesioną rękę, wywołując u ofiary strach.

— Łapać go! — krzyknął jeden z Terran.

— Uważajcie! Jest już wystarczająco poraniony — ostrzegł drugi.

Gerson próbował wykonać unik i przerzucić ciężar ciała w przeciwnym kierunku, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Pozbierał się po poślizgu, tylko po to, by jeden z ludzi popchnął go od tyłu.

Ktoś mocno chwycił go za lewe przedramię, kiedy się zatoczył. Chwilę później wyrwali mu nóż z ręki i powalili go na podłogę. Kopał bezskutecznie, a potem zaskoczył jednego z nich uderzeniem głową.

Trafiony człowiek cofnął się, krew trysnęła mu z nosa. Zamachnął się pięścią, pomimo ostrzegawczych okrzyków, i uderzył Gersona w skroń.

— Trzymajcie go, do cholery! — krzyknął ktoś. — Dajcie tu tę linę. Chcecie go zabić? Tylko go trzymajcie.

— Spróbuj sam to zrobić — zawołał jeden z tych, którzy trzymali Gersona w uścisku.

— Chyba słabnie — powiedział drugi. — Uważajcie - może tylko udawać trupa.

Słowa zdawały się dochodzić jakby z jakiejś dużej odległości. Gerson poczuł, jak wiążą mu kostki. Zawahali się, co do jego rąk; jedna była zraniona. Ktoś zasugerował przywiązanie jego lewego nadgarstka do poręczy schodów, ale uznano, że dadzą radę go upilnować, dopóki nie będzie mógł uciekać. Ciężar spoczywający na nim zmalał, kiedy ci, którzy go unieruchomili, wstali, aby obejrzeć własne obrażenia. Gerson był zaskoczony, odkrywając, że wszyscy go puścili. Nadal jednak czuł, jakby jakiś ogromny ciężar przyciskał go do podłogi. Z trudem łapał oddech. Zauważył, że wyjęli mu papiery zza koszuli. Jeden z Terran podał je człowiekowi w ciemnym mundurze, który zaczął je z niepokojem przeglądać.

Przez frontowe drzwi wszedł kolejny Terranin.

— Macie go? — spytał przybysz. — Ten helikopter wciąż tam lata. Obserwuję go już od pół godziny, przez lornetkę. Na pewno na coś czekają.

— I w najbliższej okolicy, nie ma nikogo innego, kim mogliby się interesować — zauważył głębszy głos. — No i co, MacLean, co tam pozwoliłeś mu zdobyć ze swoich tajnych akt?

Gerson przetoczył się bardzo cicho i zaczął czołgać się po podłodze. Przesunął się może nawet o metr, zanim to zauważyli.

Delikatnie przewrócili go z powrotem na plecy. Dyskusja o papierach uległa przerwaniu, gdy pracownik medyczny rozciął mu koszulę, ujawniając krwawiącą ranę na jego boku. Padły ciche komentarze, ale Gerson nie zwracał na nie uwagi. Zaniepokoił go fakt, że jeden z Terran wsunął mu stopę między nogi, ponad obwiązaną wokół kostek liną, dzięki czemu był całkiem pewnie zakotwiczony w miejscu, w którym leżał.

— Poza tym wygląda to na złamane żebro — powiedział Terranin, badając go. — Myślisz, że moglibyśmy go wnieść na górę?

— Nie jestem lekarzem — odparł głębszy głos — ale nawet ja widzę, że nie zdążycie.

Głos się zbliżył, choć obraz w oczach Gersona się rozmywał.

— Powiedz mi, chłopcze, co ci się stało? Jak cię do tego zmusili? Czego chcą?

— Gerson! — powiedział mężczyzna w ciemnym mundurze. — Wiedziałeś, czego szukasz, kiedy zabierałeś te papiery?

Dla Gersona był tylko mroczną rozmytą plamą. Czuł, jakby ciężar na jego piersi coraz bardziej rósł. Miał sucho w ustach. Pomyślał, że dobrze byłoby napić się wody, ale nie był w stanie znaleźć słów, aby o nią poprosić.

Głęboki głos rzucił w stronę mrocznej plamy jakieś pytanie.

— Ależ nie, proszę pana — odparł Terranin trzymający papiery. — Nic ważnego. Tylko parę starych listów przewozowych, zapis ruchów planet w tym układzie, który każdy bez trudu mógłby zdobyć, i artykuł o tym, jak nauczyć się szybko języka Yoleenitów. Chyba miałem ten cały plik papierów na biurku.

— No to, po co je zabrał? — spytał ktoś.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli to wiem. Wy, chłopaki, wystraszyliście mnie na śmierć. Z tego, co mówiliście, pomyślałem, że musiał wykraść śmiertelnie niebezpieczne, ściśle tajne kody i do tego moją osobistą książkę adresową!

— Simmons! — krzyknął głębszy głos. — Rejestrujesz to wszystko? Nagrywasz taśmę dla Terry? Och… bezpośrednio, tak? Mam nadzieję, że zakodowałeś - to nie jest rzecz, którą powinno się rozgłaszać po całej galaktyce.

Mechaniczny głos zadudnił coś w tle. Gerson nie zwracał już na niego uwagi.

Poczuł, jak dłonie lekarza dotykają miejsc starych wstrzyknięć i usłyszał, jak ten człowiek przeklina. Ktokolwiek trzymał go za lewą rękę, ściskał i głaskał mu dłoń. W ustach czuł smak porażki.

— Od tego musieli zacząć — stwierdził lekarz. — W końcu wtłoczyli mu do głowy ten potworny psychiczny mętlik, biedak.

— Mówiłem wam, że oni coś knują — powiedziała ciemna plama. — Te małe dranie zawsze miały wielkie pomysły, ale już nigdy nie przyłapią nas ze spuszczonymi gaciami, z żadnymi szpiegami, niezależnie od tego, czy będą oni uwarunkowani, czy nie! Teraz może ktoś na Ziemi zacznie czytać moje raporty.

Gerson otworzył usta, żeby łatwiej oddychać. Kręcił głową z boku na bok po twardej podłodze. Gdzieś głęboko w nim, cichy, przerażony głosik płakał z żalu. Zawiódł i nie będzie miał kolejnej szansy.

Cichy głosik przerwał na chwilę swoje biadolenia i zaczął się śmiać. Oni nie pozwolili mu na to by pamiętał, umiejętność czytania.

I tak umarł - wysoki, mocno poobijany Terranin, leżący na twardej podłodze i uśmiechający się blado do ludzi, którzy pomogli mu umrzeć.

ROZDZIAŁ XVI

W pomieszczeniu łączności Departamentu 99 panowała taka cisza, że Westervelt słyszał oddechy zgromadzonych wokół niego ludzi. Ktoś opierał mu się na ramieniu, ale Willie nie chciał zwracać na siebie uwagi poruszając się.

Szumy, stuki oraz brzęczenia różnych mechanizmów znajdujących się w pomieszczeniu, nagle stały się słyszalne nienaturalnie głośno. Rozglądając się ukradkiem we wszystkie strony, Westervelt zauważył, że na transmisję z Yoleen zszedł się tutaj cały personel. Za plecami Williego stały co najmniej dwie osoby, sądząc po oddechu i ciężarze spoczywającym na jego ramieniu. Jego ekscytacja była tak intensywna, że nie był w stanie przypomnieć sobie niczyjego wejścia, poza Smithem.

Widział lepiej z lewej strony niż z prawej i znów zdał sobie sprawę z problemu swojego oka. Westervelt przesunął wcześniej krzesło za operatora, nieco po lewej stronie od niego, a Smith siedział na brzegu stołu, za Joem. Obok szefa stała Simonetta, a za nią Beryl. Parrish znajdował się po lewej stronie Westervelta, więc wywnioskował, że za nim musieli stać Lydman i Pauline. Uścisk na jego prawym ramieniu wydawał się za lekki jak na Lydmana, ale nie mógł spojrzeć w tamtą stronę pod odpowiednim kątem, z powodu opuchlizny pod okiem.

Widoczny na ekranie krępy mężczyzna o szerokich ramionach, podszedł do schodów i popatrzył do góry, niemalże prosto im w oczy.

— Czy nadal to idzie na Ziemię, Simmons? — spytał.

Miał ciemne, pofalowane włosy, dzięki czemu wyglądał na mniej rozczochranego niż ludzie zebrani wokół niego lub stojący nad ciałem Gersona. Wyciągnął dużą białą chusteczkę, żeby otrzeć pot spływający z twarzy.

— Tak jest, — odpowiedział głos operatora po tamtej stronie. — Patrzy pan prosto w ukrytą kamerę. Przełączę dźwięk z Terry na system głośnikowy i będzie pan mógł z nimi porozmawiać.

Westervelt obrzucił wzrokiem innych ludzi w ambasadzie na Yoleen. Kilku z nich najwyraźniej odniosło drobne obrażenia. Wszyscy mieli na twarzach bardzo poważne miny.

Jeden z mężczyzn, w koszuli z krótkim rękawem, stał oparty ramionami o podstawę schodów, z głową odchyloną do tyłu próbując zatamować krwawienie z nosa. Inny, odwrócony plecami do obiektywu, klęczał przy ciele Gersona. Paru kolejnych, wyglądających bezradnie, paliło papierosy.

— Przypuszczam, że widział pan koniec tej całej sprawy — powiedział człowiek na schodach.

Smith odchrząknął i pochylił się nad ramieniem Joe Rosenkrantza.

— Widzieliśmy — odpowiedział. — Czy… czy jest jakakolwiek szansa, że on żyje?

Mężczyzna na schodach spojrzał na grupę zebraną wokół ciała. Lekarz ze smutkiem pokręcił obandażowaną głową.

— Umarł w równym stopniu z powodu napięcia i wyczerpania, jak z jakiegokolwiek innego — oznajmił. — Ten człowiek powinien trafić do szpitala, ale jakieś niesamowite uwarunkowanie zmusiło go do tego czynu. W końcu serce odmówiło posłuszeństwa.

Krzepki człowiek odwrócił się z powrotem do obiektywu.

— Słyszał pan. Poza jednym człowiekiem, który w tamtej chwili nie wiedział, co się tu dzieje, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Nawiasem mówiąc, nazywam się Delaney i tu dowodzę.

Smith przedstawił się i przyznał, że Gerson wyglądał na niemożliwego do opanowania.

— Myśli pan, że uda się panu dowiedzieć, czego użyli? — spytał. — Rozumiem, że od chwili, kiedy go zabraliście, nic wam nie udało się z niego wydobyć. Czy ta część, poszła zgodnie z planem?

— O tak — odparł Delaney. — Odzyskaliśmy nawet tę małą latarkę, którą mu wysłaliśmy, tak jak pan zaplanował. Wyglądała też na mocno zużytą, ale teraz zastanawiam się, czy to nie oni pozwolili mu się wydostać.

— Nie wątpię — stwierdził ponuro Smith. — Obawiam się, że nie wypadliśmy w tej sprawie zbyt dobrze. Wygląda na to, że bardzo nie doceniliśmy Yoleenitów. Nie mamy u siebie zbyt wielu informacji na ich temat.

— Prawdę mówiąc, tutaj też nie mamy — odparł Delaney. — Co mi przypomina… nasz kapitan MacLean już od dawna mnie namawiał, żebym wywarł większą presję na komendanta w tej sprawie. Czy mógłby pan zrobić kopię nagrania i przesłać im ją? Zaoszczędziłoby nam to kolejnej transmisji, a może zechciałby pan dodać jakieś własne uwagi.

Smith obiecał, że to zrobi. Zaproponował również, aby uspokoić kapitana MacLeana, co do przesłania dodatkowej kopii do Sił Kosmicznych.

Wydawało się, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Obraz na ekranie zniknął, podczas gdy operator po drugiej stronie rozmawiał z Rosenkrantzem korzystając wyłącznie z połączenia audio z jego własnego, postrzelanego biura. I potem transmisja się zakończyła.

Westervelt, uświadamiając sobie, że nacisk na jego ramię zniknął, rozejrzał się wokół siebie. Lydman obejmował ramieniem roztrzęsioną Pauline. Wyraz twarzy byłego marynarza był opanowany, lecz twardość jego oczu przyprawiła młodzieńca o dreszcz. Przez moment zdawało mu się, że dostrzega w nim lekkie podobieństwo do człowieka, który zbiegł po schodach na Yoleen, pozostawiając w powietrzu krzyżujące się smugi rakietowego dymu.

„To szaleństwo!” — pomyślał w następnej chwili i całe podobieństwo natychmiast zniknęło.

Zamrugał, dotknął podrażnionego oka i popatrzył po pozostałych. Wszyscy byli przygnębieni, wpatrzeni w ciemny i cichy odbiornik albo w

podłogę. Westervelt ze zdziwieniem zauważył, że Beryl płacze. Uniosła wskazujący palec, aby otrzeć spływające z policzka łzy.

Z wahaniem, Westervelt wyjął z kieszeni na piersi starannie złożoną chusteczkę i podał ją jej.

Beryl wytarła dłonią drugi policzek, popatrzyła na chusteczkę i, nie podnosząc na niego oczu, przyjęła ją. Otarła oczy, przyjrzała się tkaninie i wyszeptała:

— Przepraszam, Willie. Chyba ją pobrudziłam tuszem.

Smith poruszył się niespokojnie, słysząc ten szept. Wstał i rzucił jedno krótkie słowo, głęboko poruszony. Potem kopnął nogę stołu, żeby się uspokoić.

Rosenkrantz obrócił się na krześle, czekając, czy będą jakieś kolejne połączenia. Smith wziął głęboki oddech.

— Zrobisz kopie taśmy, kiedy będziesz mógł, Joe?

— Pewnie — odpowiedział ze współczuciem operator.

— No cóż — oznajmił Lydman, stojący z tyłu grupy — to kolejna stracona osoba. Jutro założymy dla Yoleen stałą teczkę, tak jak sugeruje Pete.

— Tak, pewnie dostarczą nam jeszcze więcej tego rodzaju spraw — zgodził się Parrish.

Lydman warknął.

— Następnym razem, to ja przygotuję dla nich sprawę! — zagroził. — No dobrze, to wszystko trochę przytłoczyło mnie na dzisiejszy wieczór. Nie wiem jak wy, ale ja nie jestem teraz nastroju, żeby wymyślać sprytne rzeczy.

Smith wyprostował się gwałtownie.

— Zaraz… zaraz… chwila! — wyrzucił z siebie. — To znaczy, wszyscy w tej chwili jesteśmy w kiepskim nastroju, naturalnie. Mimo że, to nie była główna… sprawa, to jednak z pewnością poważna. Próbowaliśmy pchnąć nieco do przodu coś innego, a w każdym bądź razie, co najmniej solidnie napocząć.

„I znów się zaczyna”, pomyślał Westervelt. „Jeśli coś by się wydarzyło, to mam próbować podstawić mu nogę, czy też po prostu zejść mu z drogi?”

Przypomniał sobie człowieka w ambasadzie na Yoleen, trzymającego poplamioną chusteczkę przy zakrwawionym nosie i czubkiem palca wskazującego zmierzył rozmiar swojego organu powonienia. Z drugiej strony, gdyby doszło do bijatyki, z pewnością przykryłoby to taki drobiazg jak opuchnięte oko. Zastanawiał się, czy starczyłoby mu odwagi, aby w odpowiednim momencie wystawić nogę i obawiał się, że raczej nie.

Parrish mruczał coś o trzymaniu się swojej aktualnie wykonywanej roboty, próbując wesprzeć Smitha, bez wywoływania antagonizmów otwartej kłótni. Lydman wydawał się nie do końca przekonany.

— Może wszyscy napijemy się teraz kawy? — zasugerowała Simonetta. — Gdybyśmy mogli usiąść sobie na kilka chwil i pozbierać się trochę…

Smith popatrzył na nią z wdzięcznością.

— Tak — powiedział. — To właśnie powinniśmy w tej sytuacji zrobić, Bob. To był wstrząs dla nas wszystkich, ale dziewczyny odczuły go

najmocniej. Nie sądzę, żeby któraś z nich chciała wyjść na ulicę taka roztrzęsiona. Prawda Si?

— Ja chętnie bym gdzieś usiadła — zgodziła się Simonetta.

— Proszę bardzo! — wykrzyknął Westervelt, zrywając się na równe nogi. Zapomniał, że długo siedział kamieniem na krześle, jeszcze zanim pozostali wślizgnęli się do pomieszczenia w trakcie transmisji z Yoleen.

— Daj spokój, Willie — powiedziała Simonetta. — Nie mówiłam przecież, że zaraz zemdleję. Chodź, Beryl, zobaczymy, czy została nam jakaś kawa albo herbata.

— Zaczekajcie na mnie — powiedziała Pauline. — I tak muszę rozłączyć ten telefon od linii zewnętrznej.

Smith podszedł i oparł dłoń o łopatkę Lydmana.

— Ja osobiście, chętnie napiłbym się martini — zawołał za dziewczynami. — A wy? Pete? Willie?

Parrish poparł wniosek, Westervelt obiecał, że zaraz do nich dołączy i powoli odprowadził ich do drzwi. W wejściu zatrzymał się, żeby spojrzeć za siebie, i wymienili z Joem gesty ulgi, teatralnie ocierając skronie.

Reszta grupy kroczyła korytarzem bez słowa. Szedł powoli za nimi, aż zamykające pochód postacie, skręciły za róg. Wtedy wślizgnął się do biblioteki.

Ponownie dotknął palcem oka. Albo ból był odrobinę mniejszy, albo zaczynał się do niego przyzwyczajać. Wciąż wahał się przed wejściem do pełnego ludzi biura, z normalnym światłem.

— Musi tu być coś do czytania — mruknął.

Podszedł do stosu aktualnych czasopism. Większość z nich miała charakter techniczny, ale kilka dotyczyło wiadomości z Ziemi i z galaktyki. Zabrał kilka, usiadł przy długim stole i zaczął przeglądać jedno.

Minęło może mniej więcej piętnaście minut, kiedy pojawiła się Simonetta, niosąc zapieczętowany kubek z herbatą i drugi z kawą.

— A, więc tutaj jesteś! — oznajmiła. — Niosłam coś Joemu i pomyślałam, że może spotkam cię gdzieś po drodze.

Westervelt wywnioskował, że dzwoniła do operatora.

— Możesz wziąć kawę — zaproponowała, stawiając ją koło jego czasopisma. — Joe powiedział, że tym razem wolałby herbatę.

Westervelt uniósł głowę. Simonetta dostrzegła jego wygląd i zmarszczyła wargi.

— No cóż!

— Jak wygląda? — spytał ponuro Westervelt.

— Całkiem ładnie. Jeśli przypomnę sobie te śliwy, które moi bracia znosili do domu, to jutro twoja będzie olśniewająco piękna!

— Właśnie tego się obawiałem — burknął Westervelt.

Simonetta roześmiała się. Odstawiła herbatę i odsunęła krzesło.

— Nie sądzę, żeby było aż tak źle, Willie — powiedziała mu. — Tylko żartowałam.

— Ale widać, co?

— No… tak… widać.

— Właśnie to w tobie lubię, Si — stwierdził Westervelt. — Nie zadajesz nieprzyjemnych, krępujących pytań, W rodzaju: jak to się stało albo które drzwi zamknęły się tuż przede mną.

Po czym opowiedział jej prawie całą historię, pomijając jedynie prawdziwą przyczynę kłótni. Podejrzewał, że Simonetta potrafi połączyć fakty, ale nie zamierzał nikomu mówić o jej początku.

— Ach, Willie — powiedziała po jej wysłuchaniu, z uśmiechem — skoro musiałeś zakochać się w blondynce, to czemu nie wybrałeś małej Pauline?

— Chyba masz rację.

— Nie traktuj tego tak poważnie! Beryl to w sumie dobra dziewczyna. Za dzień lub dwa wszystko ucichnie. Chodź ze mną do Joego, a potem wrócimy i powiemy, że coś ci wpadło do oka.

— Ale, kiedy?

— Och… w trakcie oglądania wiadomości z Yoleen. Nie chciałeś wtedy nikogo niepokoić, więc głupio zatarłeś oko, że aż zaczęło boleć.

— Wszystko pięknie — zauważył Westervelt — ale Beryl wie, że było inaczej.

— Jeśli puści parę z ust, to ja sama osobiście walnę ją w oko! — oznajmiła Simonetta.

Zachichotała na samą myśl, a on się uśmiechnął.

Ruszyli korytarzem, żeby zanieść herbatę Rosenkrantzowi, a potem wrócili do głównego biura. Panowała tam całkowicie nieformalna atmosfera, reakcja na sceny, których byli świadkami. Dużo przechadzano się roznosząc drinki, siedziano na biurkach i rozmawiano o niczym.

Nikt zdawał się nie mieć ochoty na rozmowy o pracy, a Westervelt domyślał się, że Smith był również zadowolony, mogąc zabić trochę ich czasu. Sam Willie cicho przemknął się za róg przepierzenia, do swojego biurka, gdzie rozsiadł się wygodnie w krześle, oparł pięty na blacie, i popijał kawę.

Westervelt słuchał, jak Parrish i Smith opowiadają parę dowcipów. Historyjki były raczej ironiczne niż zabawne i nikt nie miał ochoty na to, aby wybuchnąć głośnym śmiechem.

Pauline, ze swojej centralki, uruchomiła dzwonek telefonu na biurku Simonetty, ponieważ większość z obecnych przeniosła się na tamten koniec biura. Smith rozejrzał się w połowie opowieści o swoich zmaganiach z kosiarką sterowaną radiem.

— Mógłbyś to odebrać, Willie? — spytał z ledwie dostrzegalnym mrugnięciem oka.

Westervelt uniósł rękę na znak zgody. Wstał z krzesła i podszedł do telefonu na biurku Beryl, gdzie będzie mógł zachować jak największą prywatność.

— Kto tam dzwoni, Pauline? — spytał, gdy się odezwała.

— To Joe. Chce rozmawiać z panem Smithem.

— Daj go tutaj, pod numer siedem — powiedział Westervelt. — Szef właśnie coś opowiada.

Twarz Pauline zniknęła z ekranu i zastąpiło ją oblicze speca od łączności. Rosenkrantz okazał lekkie zdziwienie na widok Westervelta.

— Smitty jest teraz gdzieś w tłumie — mruknął młodzieniec. — Coś się stało?

— Może to nic wielkiego — odparł jego rozmówca. — Nadeszła pewna wiadomość na kanale komercyjnej telewizji. Chyba uznali, że to nie jest nic pilnego, ale podam ci o co chodzi, jeśli uważasz, że Smitty może chcieć wiedzieć.

— Czekaj — powiedział Westervelt. — Zobaczmy… gdzie ta Beryl trzyma długopis?

Wyciągnął notatnik i coś do pisania, po czym skinął głową.

— Podpisał się pod nią jeden z naszych własnych agentów — powiedział Joe — nazywa się Robertson. Chyba widziałeś jego raporty.

— Taaa, brzmi znajomo.

— Donosi, czytając między naszymi standardowymi wyrażeniami kodowymi, że dwóch marynarzy kosmicznych i turysta zostali skazani za podżeganie do rewolucji na Epsilon Indi II. Podali ich nazwiska i właściwie to wszystko, co zarejestrowało się na taśmie.

— To praktycznie na naszym podwórku — westchnął Westervelt. — Może po prostu chce nas ostrzec, ale D.S.M. powinien nad tym pracować publicznie. Na pewno nie było żadnych sugestii, że to pilne?

— Nie, i jak powiedziałem, dotarło to przez przekaźnik komercyjny.

— Okay. Szef ma teraz dosyć na głowie. Powiedzmy, że rano będzie chciał przejrzeć taśmę. Znajdę okazję, żeby mu o tym wspomnieć, tak żeby wiedział o całej sprawie. Dobrze?

— Dla mnie, w porządku — uśmiechnął się Rosenkrantz. — Jeśli coś będzie szło nie tak, dam ci znać. Przygotuj się, że ktoś może ci splunąć w drugie oko.

Rozłączył się, zostawiając Westervelta z otwartymi ustami i rozchwianą, tak świeżo odzyskaną, pewnością siebie. Młody człowiek poczekał, aż uda mu się zwrócić na siebie uwagę Smitha, i pokręcił głową, dając mu do zrozumienia, że telefon jest nieistotny. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić na dół i aby uzyskać informacje o bieżącej sytuacji. Nie wydawało mu się to jednak warte ryzyka, skoro wszyscy byli w tym samym pomieszczeniu.

Zobaczył zmierzającą w jego stronę Beryl i poderwał się z krzesła.

— W porządku, Willie — powiedziała spokojnie, odstawiając swojego drinka na biurko. — Chciałam ci tylko oddać chusteczkę.

Wyjęła ją z leżącej na biurku torebki i powiedziała:

— Jeszcze raz dziękuję. Przepraszam za te ślady tuszu.

— Zapomnij o tym — odparł Westervelt.

— Przepraszam też za oko — dodała Beryl, po raz pierwszy podnosząc wzrok, żeby przyjrzeć się uszkodzeniu. — To… nie wygląda tak źle, jak mówiła Si.

— No cóż, to przynajmniej jedna pocieszająca rzecz. Czymś sobie w nie chlapnąłem i za mocno zatarłem, wiesz?

— Tak, mówiła mi — powiedziała Beryl. — Prawdę mówiąc, Willie, nie wiedziałam, że potrafię to zrobić.

— Och, to pewnie był szczęśliwy traf — mruknął Westervelt.

— Tak… cóż… można powiedzieć, że byłam trochę zdenerwowana.

— Bardzo mi przykro, że to ja to wszystko zacząłem — powiedział Westervelt. — Może pozwolisz mi postawić sobie lunch, tak w ramach rekompensaty?

Beryl wzruszyła ramionami, spoglądając poważnie.

— Nie mam nic przeciwko temu, jeśli każde z nas zapłaci za siebie. To była moja wina. Mam nadzieję, że jutro oboje będziemy gdzieś tu w okolicy i spotkamy się na lunchu. Ale strasznie mnie to przeraża.

— Co cię tak przeraża? — zapytał Westervelt.

— Wygląd pana Lydmana. Coś w jego oczach…

Westervelt odwrócił głowę, by popatrzeć przez pokój, zastanawiając się, czy stało się najgorsze.

ROZDZIAŁ XVII

John Willard szedł energicznym krokiem ulicami First Haven, jak przystało na sumiennego urzędnika państwowego. Maria Ringstad dotrzymywała mu kroku, jak tylko mogła. Kiedy zostawała w tyle, cienki sznurek zaciskał jej się wokół nadgarstka, a on gderał do niej coś przez ramię. Oczywiście, sama niosła swoją torbę.

Wyjaśnił jej wcześniej, że najmniej zwracaliby na siebie uwagę, gdyby szła spokojnie, jard za nim. Każdy wziąłby ich wówczas za męża i żonę, albo za pana i służącą - gdyby nie jej ziemskie ubranie.

— Spacerowanie po ulicy z tobą, w tym stroju, przyciągnęłoby zbyt wiele uwagi — wyjaśnił. — Jedyne, co możemy zrobić, to użyć publicznego symbolu aresztowania, tak aby wszyscy od razu wiedzieli, że jesteś więźniem.

— Co z tego wyniknie? Czy i tak nie będą się na nas gapić?

— Takie zachowanie uważa się za niewłaściwe, a także za nierozsądne. Żaden praworządny obywatel nie chciałby zaryzykować podejrzenia o współczucie i ciekawość, wobec przestępcy.

— Brzmi to niebezpiecznie — powiedziała Maria, posłusznie wyciągając dłoń w jego stronę.

„Cokolwiek, byle tylko nie rzucać się w oczy”, pomyślała.

Teraz, skręcając za róg jakieś trzysta metrów od więzienia, musiała przyznać, że system zdawał się działać. Zieloniacy, których napotkali po drodze, niemal wszyscy z pozoru zainteresowani byli innymi rzeczami: jakimś znajdującym się w pobliżu sklepem, innymi Zieloniakami po drugiej stronie ulicy, kostką brukową, o którą właśnie się potknęli, albo stanem muru nad głową Marii. Willard przeprowadził ją na drugą stronę szerszej alei, po tym jak skręcili na kolejnym ze skrzyżowań, co na stałe wyprowadziło ich z zasięgu widoczności z więzienia. Maria próbowała przypomnieć sobie garść skąpych informacji, które Willard pośpiesznie wyszeptał jej pod zewnętrzną ścianą więzienia.

Zdążył jej przekazać tylko, że został wysłany przez Departament Stosunków Międzygwiezdnych Terry, aby ją stąd wydostać, ponieważ nie udało się zmienić nastawienia władz prawnych Zieloniaków. Maria nie była do końca pewna, czy rzeczywiście był strażnikiem więziennym, za którego się podawał - w takim przypadku musiałby zostać przekupiony dużą sumą, co ośmieszało wręcz jej własną „zbrodnię” - czy też był niezależnym współpracownikiem jednej z terrańskich linii kosmicznych - w takim przypadku zapłatę dla niego, można by uznać za honorarium.

Dowiedziała się, że planuje zaprowadzić ją na pokład statku kosmicznego, który miał wkrótce odlecieć. Nie miała okazji spytać o dalszy cel podróży.

„Prawdę mówiąc”, pomyślała sobie, „nie obchodzi mnie, dokąd on leci. Wszędzie indziej będzie jak w raju, w porównaniu z Greenhaven!”

Próbowała się zabawić, planując artykuł, który napisze po powrocie na Ziemię. „Jak uciekłam z Raju”, ten tytuł mógłby być całkiem niezły. Albo „Ucieczka z więzienia w Raju”. A może „Greenhaven albo Zielone Piekło”.

„Jakkolwiek dam tytuł”, obiecała sobie, „obedrę ich żywcem ze skóry. I znajdę jakiś sposób, żeby wysłać kopie tekstu sędziemu i naczelnikowi więzienia!”

A może, rozmyślała, lepiej byłoby rozbudować to do całej książki i zlecić komuś naszkicowanie serii niepochlebnych karykatur postaci Zieloniaków.

Sznur szarpnął ją za nadgarstek. Zdała sobie sprawę, że znowu została w tyle i przepraszająco spojrzała na Willarda, kiedy ten się odwrócił do niej.

— Nie rób tego! — syknął. — Zaczną się zastanawiać, dlaczego toleruję taki brak szacunku.

— Przepraszam! — parsknęła Maria, wzruszając ramionami bez cienia skruchy. — Traktujesz to naprawdę poważnie, prawda?

— Lepiej, żebyś ty też potraktowała to poważnie — warknął. — Tu chodzi o twoją głowę tak samo jak i o moją!

Popatrzył gniewnie na młodego Zieloniaka, który z ciekawością popatrzył na nich z przeciwnej strony alei. Zawstydzony obywatel pośpiesznie odwrócił wzrok. Willard znacząco szarpnął za sznur i ruszył dalej.

Skręcili za kolejny róg, tym razem w prawo, i pokonali jakieś dwieście metrów wąską, boczną uliczką. Czekając na moment, w którym natkną się na jak najmniejszą liczbę ludzi, Willard przeszedł na drugą stronę. Kawałek dalej skierował się w stronę czegoś, co można by nazwać zaułkiem.

Tutaj Willard się zatrzymał.

— Wejdziemy teraz do tego małego sklepiku z jedzeniem — poinformował Marię. — Na Ziemi nazwalibyście to kawiarnią albo restauracją. To, że urzędnik zapewnia swojemu podopiecznemu jedzenie w czasie podróży, będzie wydawało się całkiem normalne, więc takie posunięcie powinno być rozsądne.

— Czy jedzenie tutaj jest choć trochę lepsze od tego, które ja dostawałam? — spytała Maria.

— To nieważne. Nie zatrzymamy się w jadalni, bo narażanie uczciwych obywateli na twój widok przy posiłku byłoby niegrzecznością. Poproszę o prywatny pokój, a obsługa zaprowadzi nas na tyły.

— Hm! No cóż, jeśli nie ma tego co się lubi, to się lubi co się ma. A więc w oczach uczciwego Zieloniaka jestem czymś, co mogłoby mu popsuć apetyt. Cóż mogę na to poradzić?

— Możesz tylko trzymać na kłódkę tę swoją wielką, kłapiącą gębę! — oznajmił Willard. — W przeciwnym razie po prostu rzucę koniec sznura i ucieknę. Sama sobie będziesz szukać dalszej drogi ucieczki z tej planety.

— Błagam o wybaczenie — przeprosiła Maria, odrobinę zbyt potulnie. — Obiecuję, że będę już grzeczna. Czy chciałbyś może, żebym uklękła i

wylizała ci buty? A może wystarczy ci, jeśli tylko podetnę sobie z rozpaczy żyły?

— Wystarczy mi, jeśli wyjdę z tego nie popełniając morderstwa — mruknął Willard. — No dobrze, mina jest w porządku; tylko zetrzyj z twarzy ten uśmiech i wchodź do środka!

Pociągnął ją kilka metrów ku wejściu do sklepu z jedzeniem.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Maria podążała za nim w pełnej szacunku odległości.

W środku pół tuzina Zieloniaków jadło proste, pożywne posiłki przy prostych, solidnych stołach i od czasu do czasu wymieniało między sobą proste, szczere słowa. Widok sznurka na nadgarstku Marii zrównoważył widok jej lubieżnego terrańskiego ubrania i po jednym wystraszonym spojrzeniu nie odrywali już więcej wzroku od talerzy.

Przy ladzie, z boku sali jadalni, stała zieloniacka kobieta i Willard poinformował ją o chęci posiadania prywatnej jadalni. Mężczyzna gotujący coś, co mogło być gulaszem, rzucił przez ramię spojrzenie, znad wielkiego, lecz prymitywnego pieca, w stronę lady. Maria pomyślała, że zainteresował się nią w sposób niezwykły, w porównaniu z tym, co ostatnio obserwowała. To raczej podniosło ją na duchu i pomyślała sobie, że absolutnie nie wini tego mężczyzny, jeśli sprzedawczyni jest jego żoną.

Ta ostatnia wyszła zza swojej małej fortecy i poprowadziła ich do drzwi na tyłach sali. Willard podążał za nią, a Maria szła za nim, powstrzymując się od mrugnięcia okiem do kucharza. Była świadoma jego oceniającego ją spojrzenia, dopóki drzwi nie zamknęły się za nią.

Willard zdawał się nie mieć nic do powiedzenia zieloniackiej kobiecie, a Maria podporządkowała się jego prośbie o zachowanie milczenia. Wszystko to sprawiło, że ten pochód wyglądał jakoś niezwykle uroczyście.

Pokonali krótki korytarz, i zieloniacka kobieta otworzyła kolejne drzwi prowadzące na schody. Marię zaskoczył fakt, że schody prowadziły w dół. Wzruszyła ramionami - widocznie na Greenhaven mieli swoje własne, osobliwe zwyczaje.

Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy u podnóża schodów okazało się, że znaleźli się w zwyczajnej piwnicy. Światło było słabe i nie udało jej się dostrzec wyrazu twarzy Willarda. Zaczęła się zastanawiać, czy aby nie skończy zakopana pod podłogą tej piwnicy, podczas gdy on będzie wydawał swoją nieuczciwie zdobytą łapówkę.

Wtedy zieloniacka kobieta odsunęła dużą skrzynię i otworzyła kolejne drzwi. Tym razem aby przez nie przejść, wszyscy musieli się schylić. Marie zdała sobie sprawę, że znaleźli się w piwnicy innego budynku. Kamienne bloki tworzące ściany wyglądały na wilgotne i brudne.

Potem weszli po schodach, z powrotem na górę, i pokonali kolejny korytarz. Maria pomyślała, że idą w kierunku przeciwnym do ulicy. Kobieta poprowadziła ich przez ciąg małych, ciemnych pomieszczeń, aż w końcu dotarli do jednego, z oknami umieszczonymi w ścianach zbyt wysoko, aby cokolwiek zobaczyć. Tam kobieta zatrzymała się i obróciła się twarzą do Willarda.

Funkcjonariusz więzienny Zieloniaków puścił linkę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojego ponurego uniformu. Wyjął gruby pakiet

banknotów z Greenhaven. Znajdujące się na nich liczby i jednostki monetarne były jej zbyt nieznane, aby Maria byłą w stanie odgadnąć ich wartość, na pierwszy rzut oka; jednak postawa gospodyni sugerowała, że była to spora kwota. Willard wręczył ją jej. Maria uznała, że czas odłożyć torbę.

Kobieta natychmiast podeszła do dużej skrzyni w kącie pokoju i otworzyła ją. Odłożyła na bok wyjęte ze skrzyni lusterko, a następnie zaczęła wyciągać z niej inne przedmioty. Wśród nich była walizeczka, którą wręczyła Willardowi, i mnóstwo ubrań, prawdopodobnie na tej planecie uważanych za kobiece.

— Problem polega na tym — wyjaśnił spokojnie Willard, — że musisz mieć odpowiednie ubranie, żeby wyglądać naturalnie na ulicy. Zobacz, czy ta sukienka będzie na ciebie pasować.

Maria wzięła ubiór z niesmakiem, ale kiedy przyłożyła sukienkę do siebie, wyglądała na odpowiednio długą. Zielonacka kobieta skinęła głową. Dorzuciła do sukienki coś w rodzaju długiej flanelowej bielizny i halkę.

— Teraz już wiem, dlaczego kobiety Zieloniaków wyglądają tak ponuro — stwierdziła Maria. — Prawie warto umrzeć, żeby uniknąć noszenia takich szmat.

— Trzymaj język za zębami! — syknął Willard.

Maria zrobiła minę.

— Oczywiście, nie chodziło mi tutaj o nikogo z obecnych! — dodała.

— Przebieraj się! — rozkazał Willard. — Nie mamy czasu do stracenia.

Zaniósł lusterko i małą walizeczkę do prymitywnego stolika pod jednym z okien. Otworzył walizeczkę, tak że Maria mogła zerknąć na jej zawartość, wyglądającą jak zestaw do charakteryzacji dla aktorów.

Zieloniacka kobieta trąciła Marię łokciem i po raz pierwszy odezwała się.

— Muszę już zaraz iść. Nie mogę wychodzić na tak długo, bo ktoś to zauważy — zasugerowała.

— Oddaj jej swoje ubrania, żeby albo je spaliła albo schowała do innych — powiedział Willard, nachylając się nad stołem, odwrócony do niej plecami. — Jak tylko ja sam się tu ogarnę, zmienię twarz również i tobie.

Maria rozejrzała się w sposób sugerujący, iż ma nadzieję, że wiedzą, co robią. Zieloniacka kobieta czekała. Maria sięgnęła i zaczęła rozpinać guziki bluzki.

Zdjęła ją, a następnie rzuciła na swoją torbę. Kobieta podniosła obie te rzeczy i czekała dalej. Wyglądała na lekko zszokowaną widokiem cienkiej halki, kiedy Maria rozpięła spódnicę i zdjęła ją przez głowę. Gdy w ślady spódnicy poszła halka, stała już tylko ze spuszczonym wzrokiem.

Maria powiodła wzrokiem po szerokich plecach w ponurym mundurze, rozpinając stanik. Kiedyś będzie to dobry temat na pikantną historyjkę, ale opowiadanie jej w niewłaściwym towarzystwie mogłoby narazić ją na złośliwe uwagi na temat jej atrakcyjności. Przychodziło jej na myśl paru innych mężczyzn, którzy nie wytrzymaliby tak sztywno odwróceni plecami jak Willard. To wyglądało niemal prowokacyjnie.

Zsunęła krótkie majteczki, zdjęła je i oddała towarzyszce. Zieloniacka kobieta bezgłośnie wskazała na buty. Marie zrzuciła je kopniakami z nóg, i

one także trafiły na stos. Miała nadzieję, że cokolwiek w skrzyni miało służyć jako obuwie, nie będzie zbyt niewygodne do chodzenia.

Zieloniacka kobieta rzuciła jej jakieś flanelowe okropieństwo i pośpiesznie wyszła z pokoju. Maria patrzyła, jak drzwi cicho zamykają się za nią, po czym odsunęła nowe ubranie od siebie na długość ramienia. Nie wyglądało ani trochę lepiej. Zrobiła kilka kroków w stronę Willarda.

„Założyłabym się, że mogłabym sprawić, iż padnie na miejscu trupem", pomyślała psotnie. „Chciałabym zobaczyć jego minę, gdybym… no cóż, czemu nie? Zobaczę!"

— Ona już sobie poszła — oznajmiła spokojnie. — Jak mam się w to coś wcisnąć?

Willard odwrócił się do niej, wyglądając zupełnie inaczej przedtem. Jego twarz zdawała się być pełniejsza w policzkach, miał czarne i ciężkie brwi, nos zrobił się wysoki u nasady, a cała cera jego twarzy była wyraźnie ciemniejsza.

Skinął głową w odpowiedzi na jej westchnienie.

— Te papiery, które im dałem na ciebie, nie wytrzymają długo. Szacuję, że rozpadną się do jutra rana, ale mogą rozlecieć się nawet wcześniej. Kiedy podniosą alarm, nie mam zamiaru chodzić po ulicach ze starą, łatwą do rozpoznania, twarzą.

— Wspaniale! — oznajmiła Maria z entuzjazmem. — Mnie też ucharakteryzujesz?

— Tak — odparł Willard. — Włóż to na siebie, żebym mógł zacząć!

Maria spoglądała, jak jego wzrok przesunął się po jej piersiach, a potem po całym ciele. Wydawało się, że znosi to bardzo dobrze, chyba że to dzięki makijażowi.

— Pomożesz mi z tym? — poprosiła. — Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

Wyciągnęła flanelową szatę z bezradnym uśmiechem, drugą rękę opierając na nagim biodrze.

— Czy przestaniesz się ze mną drażnić, ty mała suko! — warknął Willard. — Nie jestem Zieloniakiem, jeśli tak ci się wydawało. Mogłabyś nas w to wciągnąć do tego stopnia, że spóźnimy się na statek.

Maria poczuła, że oczy szeroko jej się otwierają. Mrowienie i gorący rumieniec rozlał się po twarzy dziewczyny. Rozprzestrzenił się na szyję i spłynął na piersi. Chwyciła flanelowy worek i odwróciła się plecami.

Jakoś udało jej się przełożyć go przez głowę. Potem naciągnęła nakrochmaloną halkę i nałożyła na całość ciemnoszarą suknię, która skromnie opadała jej na kostki. Willard podał jej parę butów na niskim obcasie, które były tylko trochę luźne, kiedy je zakładała.

Kazał jej stanąć twarzą do jednego z okien, podczas gdy on przyciemnił jej twarz i założył czarną perukę. Spojrzała w okno i zamarła zupełnie bez ruchu.

— Słuchaj! — oznajmił Willard. — Musisz przestać się tak rumienić, bo inaczej kolor skóry będzie zupełnie nie taki!

— Nic na to nie poradzę — odparła potulnie. Potem zauważyła, że się z niej śmieje, i uśmiechnęła się do niego ze smutkiem. — Skąd się w tobie wzięła cała ta skromność? To chyba szok, jak przypuszczam.

— No dobrze, to było zabawne. Kiedy znów wyjdziemy na ulicę, zapomnij o wszystkich zabawnych rzeczach! Wyglądaj jak poważna Zieloniaczka!

— Zabawne? — zaprotestowała Maria. — Zawsze myślałam, że stanowię całkiem niezły widok w porównaniu z miejscowymi dziewczynami.

— O tak, stanowisz, stanowisz! Jeden z najlepszych widoków, jakie kiedykolwiek widziałam.

Przycisnął dłonie do jej talii, a potem przesunął je w górę po żebrach, aż ciężar jej piersi spoczął na jego nadgarstkach.

— Porozmawiamy o tym ponownie, kiedy dotrzemy na statek — powiedział jej cicho. — Teraz głupotą byłoby zepsuć ten makijaż.

Odwrócił się po dłuższej chwili i schował zestaw do charakteryzacji z powrotem do kufra. Wyszli tymi samymi drzwiami, którymi weszli, ale Willard znał drogę prowadzącą na inną ulicę. Maria pomyślała, że to musi być ta za wysoko położonymi oknami. Ruszył pewnym krokiem.

Przebyli około ćwierć mili, wliczając w to kilka zakrętów, podczas których poświęcał najkrótszą drogę na rzecz ulic o małej liczbie ludzi. Przebrania musiały być skuteczne, bo nikt nie zwracał na nich uwagi. Dopiero kiedy zobaczyła szubienicę, Maria zdała sobie sprawę, że zbliżają się do obrzeży miasta.

— Co…? — zaczęła, po raz pierwszy uświadamiając sobie rzeczywisty charakter swojego położenia.

— Cicho! Odwróć wzrok w inną stronę, jeśli musisz, ale nie rób tego zbyt ostentacyjnie.

W tym miejscu kilka przykładów surowej sprawiedliwości Greenhaven prezentowane było skromnemu tłumowi. Trzech mężczyzn i dwie kobiety siedzieli w dybach. Najwyraźniej nie obrzucano ich kamieniami ani nie byli ofiarami innych upokorzeń, jak Marii zdawało się, że sobie przypomina, iż taki był zwyczaj na starożytnej Ziemi; ale byli wyraźnie nieszczęśliwi i zawstydzeni. Na stojącej za nimi szubienicy wisiało ciało kolejnego skazańca. Wyglądało na to, że znajdowało się tam już od jakiegoś czasu. Maria zastanawiała się, co on takiego zrobił, żeby zaszkodzić moralności lub ekonomii Greenhaven.

Widok grupy dwudziestu kilku dzieci oprowadzanych po tym miejscu, niemalże przyprawił ją o mdłości. Jedno z młodszych jęknęło i dostało solidnego szturchańca od oprowadzającego ich Zieloniaka.

Po chwili minęli to miejsce i Maria zobaczyła wysokie, cyklopie ogrodzenie terrańskiego portu kosmicznego. Willard rzucił wzrokiem na jej twarz. Wyraźnie zadowolony, wyjaśnił, że dotarli do miejsca oddalonego od głównego wejścia. Poprowadził ją wzdłuż ogrodzenia jakieś sto metrów, znalazł małą bramę i otworzył ją wyjętym zza pasa kluczem. Maria, pamiętając ich wyjście z więzienia, nie była zaskoczona, czując dobrodusznego klapsa w siedzenie, kiedy weszła na terrańską ziemię. Zostało im do przejścia jeszcze ćwierć mili, ale to był otwarty teren.

— Już po wszystkim — oznajmił Willard, zamykając za nimi bramę.

Ominęli budynki administracyjne i odprawy celnej, oraz skierowali się prosto do zewnętrznej windy obok czekającego statku kosmicznego,

ignorując możliwość pytań ze strony miejscowych bystrookich ciekawskich, którzy mogliby pomyśleć, że widzą dwoje Zieloniaków wchodzących na pokład statku.

— Willard z Departamentu Stosunków Międzygwiezdnych — przedstawił się zaskoczonemu oficerowi statku. — Poinformowano pana, że ma się pan spodziewać panny Ringstad?

Oficer, wpatrując się z niedowierzaniem w przebranie Marii, przyznał, że statek jest mniej więcej przygotowany na jej przybycie.

— Jedna rzecz będzie nieoczekiwana — powiedział Willard. — Skorzystam z przysługującego mi prawa i poproszę o kabinę również dla siebie. Mam powody, aby podejrzewać, że mój kamuflaż został zdemaskowany, co oczywiście jest dla mnie bardzo niebezpieczne.

— Oczywiście — zgodził się oficer. — Jak najbardziej. Chodźmy!

— Tak — stwierdziła Maria. — Chcę się wydostać z tej okropnej dziury.

— Właśnie o to mi chodziło — stwierdził Willard.

Nie było wątpliwości, że wpływy Willarda zatrzymały ten statek specjalnie z ich powodu. Wzbił się w powietrze, kiedy tylko dotarli do dwóch maleńkich kabin. Później, po pierwszym przyśpieszeniu związanym ze startem, nastąpiło szereg okresów oczekiwania między drobnymi korektami kursu.

W końcu przez system rozgłaszania informacji oznajmiono, że z powodu prewencyjnego sprawdzenia kursu, przez około dwie godziny statek nie będzie wirował, symulując grawitację planetarną. Maria miała nadzieję, że niezadowoleni pasażerowie nie dowiedzą się, iż wszystko to działo się z jej winy.

Wciąż nad tym rozmyślała i próbowała wyplątać się z siatki akceleracyjnej rozwieszonej w trzymetrowym przedziale, który eufemistycznie nazywano kabiną, kiedy przybył Willard.

— Zaprzyjaźniłem się z kilkoma członkami załogi — oznajmił. — Wszyscy z chęcią pomagają agentowi D.S.M. Ta sprawa musi wydawać im się bardzo romantyczna.

— Powinni wiedzieć jak to wygląda normalnie — powiedziała Maria, myśląc o długiej, pełnej napięcia drodze ulicami Greenhaven.

— Jedna ze stewardes miała dodatkowe spodnie i bluzkę mniej więcej w twoim rozmiarze.

— Musisz mieć dobre oko — stwierdziła. — A przynajmniej tak ci się wydaje. Najpierw wyciągnij mnie z tej cholernej siatki. Przez ten strój Zieloniaków, równie dobrze mogłabym siedzieć w kaftanie bezpieczeństwa!

Podszedł do siatki i zaczął rozpinać zamek błyskawiczny. Zobaczyła, że poświęcił trochę czasu, na zdjęcie swojej „zieloniackiej” twarzy.

Jej pierwszy ruch, po otworzeniu siatki, sprawił, że poleciała na łeb na szyję w kierunku przeciwległej grodzi.

— Złap się czegoś — zaśmiał się Willard. — Chodź - wziąłem ze sobą mały zestaw do charakteryzacji. Pozwól, że przywrócę ci twoją twarz.

Posłusznie chwyciła się sprężyn kotwiczących na jednym końcu siatki i odwróciła twarz, żeby mógł popracować nad maską, którą wcześniej na niej wypacykował. Jego palce były delikatne, rozmasowywały krem, który

przyniósł, i ścierały makijaż lekko perfumowanymi chusteczkami. Maria zamknęła oczy i pomyślała, jak przyjemnie jest znaleźć się gdzieś poza Greenhaven.

— Czy wydostanie mnie stamtąd było bardzo skomplikowane? — spytała.

— Było wiele problemów, które trzeba było przemyśleć — odpowiedział, — ale poradziliśmy sobie z tym tak sprawnie, jak nigdy dotąd. Po prostu przeszliśmy przez nie wszystkie spacerkiem. W tym biznesie rzadko kiedy wszystko idzie zgodnie z planem. No proszę - znowu wyglądasz jak człowiek, zupełnie jak wtedy, kiedy musiałem ci dorobić tę nową twarz.

— Niezupełnie — uśmiechnęła się Maria, ze smutkiem szarpiąc tubylczą wielką kiecą, która w stanie nieważkości paskudnie wokół niej falowała.

— To akurat łatwo zmienić — powiedział Willard, w znaczący sposób odpowiadając na jej uśmiech. — Zobacz, czy uda ci się wydostać z tych łachów, lepiej niż było z ich zakładaniem, a ja przygotuję ubrania, które dla nas kupiłem.

Obok reakcji na napięcie ostatnich kilku godzin i błysku wdzięczności dla swego wybawcy, Maria zaczęła wyczuwać w sobie dreszczyk emocji, którego rozpoznanie zajęło jej chwilę. Trochę ją to zaskoczyło.

— Willard — zauważyła leniwie — to zabawne, ale czuję, jakbym zaczynała się w tobie zakochiwać.

— To ciekawe — uśmiechnął się agent. — Ale już najwyższy czas na to.

— Nie wiem, czy czuję słabość w kolanach — ciągnęła, kładąc dłoń na jego ramieniu, żeby się do niego przysunąć — bo wiszę w powietrzu; ale ty ciągle każesz mi się rozbierać - a mnie to wcale nie przeszkadza.

— Mnie też nie! — zapewnił ją solennie.

Kiedy jego ramię objęło ją w talii i pocałował ją, Maria była już tego pewna. Rozchyliła stopniowo usta, drżąc wraz z narastającym w niej rozgorączkowaniem.

— Puść mnie na chwilę — mruknęła.

Wkrótce, po kilku wygibasach w stanie nieważkości, flanelowe ubrania z Greenhaven leniwie wirując popłynęły gdzieś w kąt. Maria roześmiała się cicho, opierając bosą stopę o gródź, by rzucić się z powrotem w ramiona Willarda.

ROZDZIAŁ XVIII

Czy to ból głowy sprawiał, że wszystko wydawało się kołysać?

A może to kołysanie sprawiało, że bolała go głowa?

Taranto powoli otworzył oczy. Przez dwie lub trzy chwile, w mroku, nie rozumiał, co widzi.

Stopniowo zaczęło ogarniać go zrozumienie. Znów znajdował się na noszach, a tragarze schodzili wyboistą ścieżką w jakąś płytką dolinę. Nie było widać nawet śladu miasta, ani żadnego innego fragmentu terenu, choćby mgliście mu znajomego. Poszarpane skały tworzyły po jego lewej stronie grzbiet wzgórza, zakręcający wokół zagłębienia terenu. Inne skaliste pagórki, które dostrzegał przez przymrużone oczy, wyrastały bezpośrednio z jałowego kamiennego gruzu dna doliny. Wydawało się, że jest tam niewiele piasku, chyba że został zwiany w bardziej zagłębione miejsca.

Ostrożnie, pozwalając by jego głowa kołysała się wraz z zataczającymi się ruchami tragarzy, zorientował się, że przed nim znajduje się kolejna grupa. Pomyślał, że tamci muszą pilnować Meyersa. Oficer w czerwonym mundurze maszerował tuż przed noszami Taranto. Oznaczało to, że za nim, poza zakresem jego widoczności, musieli być jeszcze dwaj żołnierze.

„Co teraz?", spytał sam siebie. „To była dobra próba, ale nie powiodła się."

Dalsze akcje wydawały się bezcelowe, dopóki nie dowie się, gdzie jest. Nie zaszkodziłoby też dowiedzieć się, jak się czuje - musieli pięknie dać mu po głowie. Próbował poruszyć lekko rękami i nogami, nie okazując tego swoim strażnikom. Nie czuł żeby coś gdzieś było złamane. Czuł tylko pulsujący ból za lewym uchem.

Czy zabierali jego i Meyersa dalej na pustynię, żeby upewnić się, żeby zostali słusznie uznani za zmarłych? A może cała grupa wracała do miasta?

Taranto poruszał się ukradkiem, w chwilach gdy nosze kołysały się na boki i podskakiwały na skutek wysiłku niosących je tragarzy, którzy próbowali omijać jakieś wystające skały. Zdziwił się, że jego ręce i nogi nie były związane. Zastanawiał się, jak długo był nieprzytomny. Może Syssokanie uznali, że naprawdę zginął od tego uderzenia włóczni w głowę.

„Nie powinieneś lekceważyć tego gościa tylko dlatego, że kilka razy go wykiwałeś", powiedział sobie. „Złapałeś go, zyskując w ten sposób przewagę, ale on nauczył się wiele od ciebie."

Z przodu i z dołu ścieżki, dobiegały głosy. Wiał rześki wiatr, ale Taranto miał wrażenie, że rozpoznał Meyersa, który jęczał coś z oburzeniem.

„Ciekawe, jak dużą urazę będą chować?", pomyślał. „Niektórzy z nich musieli być nieźle poobijani."

Zaczął dostrzegać również liczne zadrapania i siniaki na swoim krępym ciele. Zastanawiał się, czy nie lepiej zachowywać się spokojnie, aż dotrą albo na pustynię, albo na teren koło miasta, w zależności od kierunku, w którym zmierzali, a potem zaproponować dowódcy łapówkę. To prawdopodobnie byłoby za bardzo ryzykowne: musiałby składać jakieś niebotyczne obietnice, a oni już raz go złapali na prymitywnym kancie. Tak czy inaczej, nierozsądnie byłoby rozpoczynać negocjacje nie wiedząc wcześniej, jak wyglądał dowódca Syssokan. Taranto zdawał się pamiętać, że dosyć solidnie mu przyłożył.

Dosłyszał kilka terrańskich słów, które poniósł do niego nagły podmuch wiatru. Meyers narzekał, że jest za bardzo zmęczony, żeby iść dalej. Nie brzmiało to tak, jakby chciał tylko pogrymasić.

„Oczywiście!", Taranto nagle sobie uświadomił. „Muszą mnie nieść na jego noszach. Moje są zniszczone. Teraz ten gnojek będzie mnie winił za to, że to przeze mnie musi obijać sobie nogi o kamienie, idąc tą ścieżką!"

Wizja ta nie była pozbawiona wesołych akcentów. Kontemplowanie jej sprawiło Taranto chwilową satysfakcję.

No cóż, wiedzieli, że Meyers żyje, nawet jeśli nie byli pewni co do samego Taranto. Być może po prostu ratowali obu Terran przed dalszym pobytem w więzieniu. Taranto miał nadzieję, że Syssokanie nie mają na myśli niczego bardziej nieprzyjemnego. Stwierdzenia, których wcześniej użył, próbując oszukać oficera, mogły zostać wykorzystane we wrogich celach przez każdego, kto zechciałby podreperować trochę skąpą wiedzę Syssokan na temat fizjologii Terran. A potem co?

Taranto uznał, że głupotą byłoby zamartwianie się w tej chwili. Potrzebował pomysłu, jak znów wyrwać im się z rąk. Przez kilka chwil rozważał szanse powrotu na miejsce tamtej próby ucieczki. Gdzieś w pobliżu tamtego punktu, gdziekolwiek by się on nie znajdował, powinien wylądować statek kosmiczny.

„Jeżeli już tam nie byli i nie odlecieli", pomyślał.

Leżąc na wznak na noszach, mógł patrzeć w niebo nie ruszając głową. To dlatego odległa smuga światła wpadła mu w oko na kilka chwil przedtem, zanim którykolwiek z Syssokan zdążył ją zauważyć.

„Pomimo wszystko, jednak nie mogę już dłużej czekać", uświadomił sobie.

Statek wkrótce będzie słyszalny, a ogień jego rakiet hamujących poderwie strażników na nogi. Taranto ponownie się rozejrzał i zobaczył, że zbliżają się do podnóża zbocza. Podążając za naturalnymi ruchami tragarzy, pozwalał sobie na odrobinę zbyt silne wahnięcie ciała, za każdym razem, kiedy lektyka się zakołysała. Syssokanie i tak z trudem znajdowali bezpieczne podparcie dla stóp, na twardej, śliskiej nawierzchni gruntu.

W końcu jeden z nich się poślizgnął. Nosze runęły na ziemię. Taranto dodał naturalny skręt swego ciała do siły grawitacji, powodując że nosze stoczyły się w dół.

Leżący tragarz pozbierał się, mamrocząc po syssokańsku jakieś przekleństwa, które brzmiały wyjątkowo agresywnie. Jeden z pozostałych ruszył, aby złapać nosze. Taranto staczał się coraz dalej.

Na pierwszy okrzyk zrezygnował z dalszego udawania i zwinnym susem poderwał się na nogi. Przez następne sześćdziesiąt sekund potrzebował całych dostępnych zapasów koncentracji, aby uniknąć fatalnego upadku na powykrzywianych skałach.

Pędząc w dół ogromnymi susami, zmuszony był przeskakiwać przez wielkie głazy, ponieważ jego prędkość nie pozwalała mu zmienić kierunku nawet o stopę. W pewnej chwili ześlizgnął się odrobinę, myśląc już, że nadeszła jego ostatnia chwila. Kiedy znajdował się już blisko już blisko dna doliny, gdzie nachylenie zbocza zmniejszało się, aby zrównać się z poziomem, rzeczywiście upadł, rozrzucając po ziemi luźne odłamki i kamyki.

Zerwał się i znów pobiegł, choć nie do końca wiedział, jak. Przed nim wyłonił się ciemny kształt, skała dwa razy wyższa od niego. Zanim ją minął, zaryzykował i obejrzał się.

Ekipa noszy była w stanie lekkiej dezorientacji. Oficer i dwóch żołnierzy pędzili za nim, obierając bardziej sensowną drogę. Jeden Syssokanin wciąż jeszcze podnosił się z ziemi, a większość pozostałych albo kręciła się bezradnie dookoła, albo dopiero zaczynała reagować na okrzyki dowódcy, by ruszyć w pogoń za Taranto.

Przemknęła mu przez głowę myśl, aby krzyknąć do Meyersa, ale odrzucił ją jako bezcelową. Pośpieszny rzut oka w przeciwną stronę ukazał mu smugę ognia, która kończyła się za kolejnym grzbietem po jego prawej stronie. Ta dolina przypominała bardziej krater meteorytowy.

Taranto przebiegł obok ogromnej skały i popędził prosto w stronę dalszego grzbietu. Spróbuje dokładniej zlokalizować statek, jeśli i kiedy dotrze w jego pobliże. Natychmiastową koniecznością było natomiast uniknięcie wpadnięcia w łapy grupy pogrzebowej.

Bieg w rozświetlanym jedynie blaskiem gwiazd mroku był ryzykowny, jak wkrótce się przekonał. Ziemia dokoła usiana była luźnymi kamieniami, naturalnymi pułapkami, o które nieostrożny człowiek mógł się potknąć lub nawet skręcić nogę. Jedyne, co podtrzymywało brawurę Taranto, to odgłosy pościgu za nim.

Pokonał jakieś dwieście jardów, kiedy zdał sobie sprawę, że część odgłosów hurkotu rozrzucanych kamieni, dochodziło do niego raczej z prawej strony niż od tyłu. Syssokanie byli lepszymi biegaczami niż on, a poza tym byli przyzwyczajeni do pułapek tutejszego terenu. Nie był w stanie stwierdzić, czy dostrzegli na niebie ślad statku kosmicznego, a jeśli tak, to czy skojarzyli go z nim.

„Ale wiedzą wystarczająco dużo, żeby mnie wyprzedzić, dokądkolwiek pobiegnę”, pomyślał.

Niespodziewanie dotarł do skrawka piaszczystej ziemi i zaklął, czując, że zwalnia. Rozpaczliwe spojrzenie przez ramię nie ujawniło żadnego z prześladowców, choć wiedział, że gdzieś tam muszą być. Dostrzegł dwóch biegaczy, którzy okrążali go z prawej strony, pięćdziesiąt jardów dalej; i to zmusiło go do zboczenia z obranej trasy. Zamiast minąć z prawej strony wysoką, wystającą skałę, skręcił w lewo. Oddalił się od statku kosmicznego, ale nie było wyjścia. Zataczając się wbiegł na niską wydmę,

a potem zeskoczył z niej i pomknął po płaskim terenie. Okrążył wzgórze z lewej strony, słysząc z tyłu wycie.

„Musiał mnie dostrzec na tle otwartej doliny”, pomyślał Taranto. „Te wycia wydają się dobiegać z mniejszej odległości, niż by mi się to podobało.”

Biegł dalej, rozglądając się po rysujących się w mroku skałach górujących nad nim, w poszukiwaniu miejsca do wspinaczki. Było już przesądzone, że ci dwaj po bokach będą go wypatrywać, kiedy będzie zbiegał ze wzgórza.

W końcu wydało mu się, że widzi jakąś drogę na górę, stopniowo wznoszący się występ, prowadzący na mały płaskowyż, za którym zbocze wystrzelało niemal pionowo w górę, prawie jak urwista skalna ściana. Taranto wspiął się na sięgający mu pasa głaz i ruszył w stronę przejścia. Wspiął się na czworakach. Skała była pełna nierówności, ale wystających w niewłaściwym kierunku, i dwukrotnie osunął się na czworaka, zanim wspiął się na górę.

Kiedy dotarł do płaskiej przestrzeni, zwolnił do szybkiego marszu. Półka, na której się znalazł, położona była jakieś dziesięć lub dwanaście stóp nad dnem doliny i skręcała w prawo wokół podstawy ściany. Taranto już ciężko dyszał, ale głównym powodem zwolnienia tempa była chęć robienia mniejszego hałasu, dopóki nie dostrzeże tych dwóch Syssokan, których spodziewał się napotkać.

Szeroka półka po kilku chwilach nieco opadła, następnie wzniosła się o kilka stóp i ponownie opadła, niecałych dziesięć stóp ponad poziom dna doliny. Taranto nagle rozpłaszczył się na niej, mocno przywierając do skały.

Tuż pod nim, wzdłuż tonącej w mroku krawędzi występu na którym leżał, pędzili dwaj Syssokanie, trzymając w gotowości włócznie. Zza klifu doleciał okrzyk. Pierwszy z żołnierzy odrzucił głowę do tyłu, aby odpowiedzieć. Kiedy jego gardło opuściło wycie, zagłuszyło ono na chwilę szmer ruchu Terranina. Taranto rzucił się na plecy drugiego. Upadli z łupnięciem na twarde kamienie. Taranto, chcąc ocalić żebra przed złamaniami, odepchnął się przedramieniem od ostrej skały, kopnął nogą i trafił leżącego Syssokanina w brzuch. Kiedy żołnierz opadł bezwładnie, Terranin chwycił jego włócznię i poderwał się na nogi, aby stawić czoła drugiemu z przeciwników.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że dowódca dopiero się odwracał. Być może myślał, że jego towarzysz jedynie potknął się i upadł, lecz widoczny zarys krępej sylwetki marynarza szybko wyprowadził go z błędu. Syssokanin ruszył naprzód, groźnie wymachując ostrzem włóczni.

— Myślisz, że jesteś dobry z tym kijem, co? — warknął Taranto. — No to spróbuj czegoś innego!

Chwytając włócznię blisko ostrza, zamachnął się jej cięższym drzewcem jak kijem, wkładając w to całą siłę. Był to prymitywny cios, ale wiedział, że nie może równać się pod względem umiejętności z żołnierzem wyszkolonym w posługiwaniu się tą bronią.

Drzewce z głośnym trzaskiem uderzyło o trzon włóczni Syssokanina, wybijając ją z uchwytu jego bardziej wysuniętej dłoni. Ręce Taranto

zdrętwiały od wstrząsu. Rzucił włócznię na ziemię i skrócił dystans, wślizgując się za trzymaną jedną ręką broń Syssokanina, zanim ten zdążył lepiej ją złapać. Finta lewym sierpowym w brzuch tubylca sprawiła, że żołnierz całkowicie wypuścił broń i chwycił się Terranina.

Taranto poczuł, że jego lewe ramię splotło z prawą ręką Syssokanina. Dwukrotnie spróbował uderzyć na korpus wolną ręką, lecz jego ciosy zostały sparowane. Zanim zdążył pomyśleć, Syssokan mocno nadepnął mu na palce u nóg.

— Ty bękarcie! — syknął marynarz.

Uderzył łokciem, skutecznie, lecz bez większych rezultatów. Zadał dwa ciosy od tyłu, na kark, prawą ręką, sięgając pod pachą żołnierza. Dopiero kiedy włożył mu palec w duże, czarne oko, broniąca się ręka uniosła się wyżej.

Taranto przestawił stopy i trzykrotnie uderzył na tułów, wkładając w te ciosy całą moc okręcającego się ciała.

Syssokanin obwisł mocno, opierając się na Terraninie, a następnie ześlizgnął się na ziemię, kiedy marynarz się cofnął.

Taranto z trudem łapał powietrze w płuca. Z trudem zatoczył się w bok, aby podnieść włócznie, czując się lepiej teraz, kiedy miał w ręku jakąś broń, jakkolwiek prymitywną.

Ledwo się wyprostował, kiedy zobaczył oficera, wyłaniającego się zza krawędzi małego wzgórza, zaledwie pięćdziesiąt stóp od niego. Syssokanin zawahał się na widok Terranina stojącego nad jego dwoma żołnierzami, zaś Taranto wykorzystał tę chwilę, aby rzucić jedną z włóczni.

Problem polegał na tym, że nie wiedział, jak się nią posługiwać. Włócznia, koniec końców, nie była standardowym wyposażeniem statków kosmicznych. Grot wykręcił się od celu, a większość siły wyrzutu zamieniła się w powolny obrót drzewca. Oficer syknął pogardliwie i złapał broń jedną ręką w powietrzu.

Taranto schylił się po kamień, którym rzucił z lepszym skutkiem. Pocisk uderzył z lekkim trzaskiem o skalną ścianę, wystarczająco blisko Syssokanina, by ten rzucił się za głaz, szukając schronienia. Taranto zostawił go, krzyczącego do swoich żołnierzy, i pobiegł w otwartą dolinę.

Taszczenie ze sobą włóczni raczej nie pomagało w utrzymaniu tempa biegu, ale pomyślał, że Syssokanie mogą uznać ją za bardziej niebezpieczny środek odstraszający, niż była nim naprawdę, w jego niewyszkolonych rękach. Kidy następnym razem się obejrzał, zobaczył, że może się cieszyć wspaniałą przewagą dwustu jardów. Z drugiej strony, oficer miał ze sobą teraz dosyć liczną grupę żołnierzy i prawdopodobnie w końcu zdoła ich zorganizować. Taranto zwolnił do truchtu, aby zaoszczędzić sił, na chwile kiedy zaczną go doganiać.

— Taranto! — oznajmił nagle jakiś cichy głosik.

Automatycznie puścił się pełnym biegiem, nawet się nie oglądając.

— Czekaj, Taranto! — zawołał cichy głosik. — Popatrz w górę, na latającego obserwatora!

Marynarz zwolnił kroku, jako że nagle ogarnęło go zrozumienie. Obejrzał się i zobaczył zbliżającą się do niego iskierkę światła. Pojawiła się i zawisła nad jego głową.

— Może jeszcze się uda — poinformował go głos. — Statek wylądował. Powiedziałem im, co się stało, i wysyłają helikopter. Gdzie jest Meyers?

— Nie wiem — odparł powiedział Taranto. — Chyba gdzieś z tyłu, na grzbiecie wzgórza. Słuchaj, nie mogę tu tak stać, czekając aż przyleci helikopter. Zrobią ze mnie poduszkę do igieł.

— Kieruj się w stronę tego wzgórza, jakieś ćwierć mili przed tobą — poinstruował go głos z małego latacza. — Ja powiadomię załogę.

Syssokanie biegli teraz, rozpraszając się w dobrze wyuczony sposób. Taranto ponownie nabrał większej prędkości.

Wzgórze przed nimi, położone było w kierunku bliżej środka doliny. Jeśli ścigający zdawali sobie sprawę z jakiegoś związku między jego ucieczką a pozycją statku kosmicznego, z radością przyjęliby fakt, że musi się oddalić od otaczającego dolinę górskiego grzbietu. Taranto miał nadzieję, że nie będą się aż tak bardzo wysilać i nie przyśpieszą, bo byli przekonani, że zdołają go wyprzedzić.

Miał rację - dotarł do stromizny zbocza wzgórza zaledwie pięćdziesiąt jardów przed nimi i był na granicy upadku z wyczerpania. Kolana na moment ugięły się pod nim, kiedy wbiegł na pierwsze odcinki wznoszącego się terenu, i uratował się przed upadkiem na twarz, jedynie podpierając się drzewcem włóczni, którą przez cały czas niósł.

Jakimś sposobem pokonał kolejne pięćdziesiąt stóp w górę zbocza, słysząc głos tuż przy uchu:

— W prawo, Taranto! Kieruj się na to płaskie miejsce! Helikopter już nadlatuje.

Otarł grzbietem dłoni słony pot z oczu i popatrzył w górę. Na tle gwiazd widać było cień dużego, cichego, wirującego kształtu. Szybko opadał ku niemu, gdy za jego plecami rozległo się wycie.

Taranto chwycił włócznię w obie ręce, trzymając ją za jeden koniec, i posłał ją wirującą w stronę zbliżających się Syssokanów. Cała grupa w centrum wachlarza padła na ziemię, pozwalając aby lecąca włócznia śmignęła nad ich głowami.

Zanim zdążyli się podnieść, helikopter dotarł już do Taranto. Opadł tak szybko, że aż odbił się od ziemi. Ktoś wyciągnął do Taranto rękę i krzyknął, żeby skakał. Wciągnięto go do połowy ciała, do otwartej kabiny. Ktoś chwycił go za pasek spodni i poczuł, jak helikopter wznosi się w powietrze.

Wykręcając się, wsuwał się coraz bardziej do środka, aż w końcu mógł podciągnął się na kolanach. W kokpicie czegoś, co najwyraźniej było pojazdem pomocniczym statku kosmicznego, znajdowało się dwóch marynarzy. Jeden z nich, o bardzo długich uszach i wąskiej głowie, wyglądał, jakby urodził się w jakiejś gwiezdnej kolonii. Drugi miał szeroką, łagodną twarz Terranina, orientalnego typu.

— Gdzie jest ten drugi? — spytał ten ostatni.

Taranto, zanim odpowiedział, przeczołgał się w miejsce między fotelami, do których byli przypięci, bo po bokach kabiny pojazdu, znajdowały się jedynie łańcuchy. Rozejrzał się i skierował długouchego pilota na grzbiet, na którym wytoczył się z noszy.

O mało nie pękło mu serce, gdy zobaczył, jak docierają tam w niecałą minutę.

— Mogą być z nim strażnicy — ostrzegł. — Może i on uciekł.

— Zobaczymy — odparł marynarz o szerokiej twarzy.

Przesunął reflektorem wzdłuż grzbietu, zatrzymał wiązkę światła i ponownie skierował ją na samotną postać. Meyers wstał i pomachał rękoma. Nie było widać żadnego Syssokanina; oficer musiał zabrać wszystkich żołnierzy ze sobą.

„Wiedział, co robi”, pomyślał Taranto. „Ten facet wciąż tu jest.”

Śmigłowiec opadł, aby zawisnąć nad dużą skałą. Meyers mozolnie wspiął się na nią i został wciągnięty na pokład. Taranto wcisnął się głębiej za siedzenia, żeby zrobić mu miejsce.

— Czas najwyższy, żebyś się tu pojawił — wysapał Meyers. — Jestem zupełnie wyczerpany.

Taranto nic nie mówił, kiedy statek wzbił się w powietrze i pomknął w kierunku statku kosmicznego. Pewnego dnia Meyers zapyta, jak udało mu się uciec Syssokanom. Taranto poprzysiągł sobie, że kiedy to nastąpi, pokaże temu gnojkowi całą akcję, w dosłowny sposób.

ROZDZIAŁ XIX

Było dwadzieścia po ósmej, kiedy Westervelt wrócił ze Smithem do pomieszczenia łączności. Rosenkrantz ściągnął ich tam, powiadamiając o wiadomości z Syssoki.

— Nie spodziewali się, że wezwanie dotrze do nas jeszcze w godzinach pracy — wyjaśnił przez telefon — ale skoro i tak tu siedzicie, pomyślałem, że może będziecie chcieli być w tej sprawie na świeżo.

Smith przed wyjściem kazał dziewczynom przekazać wiadomość Lydmanowi i Parrishowi, a Westervelt ruszył za nim korytarzem, czując, że i tak już dostatecznie długo korzystał ze swego oka w mocnym świetle. Teraz słuchali, jak szczupły, brązowowłosy mężczyzna, sprawiający lekkie wrażenie naukowca, kończy raport z ucieczki Louisa Taranto i Harleya Meyersa, dwu marynarzy kosmicznych.

Joe Rosenkrantz zajmował się dodatkowym ekranem i mamrotał coś do innego mikrofonu.

— …a więc było tam dosyć blisko katastrofy, mimo że formuła, którą nam przesłaliście, najwyraźniej zadziałała idealnie — oznajmił uczony. — Nie udało mi się dokładnie określić, co spowodowało opóźnienie ze strony Syssokan, ponieważ wydawało mi się nierozsądne pozostawianie mojego małego latającego szpiega w miejscu, w którym mógłby zostać zauważony, a nawet uszkodzony.

— Może w przyszłości uda się panu zebrać jakieś pogłoski — zasugerował Smith. — Jeśli tak, będziemy wdzięczni za ich przesłanie, aby dodać je do naszych akt i jak najdokładniej wyjaśnić sprawę.

Opóźnienie w transmisji było znacznie mniejsze niż w przypadku Tridentu. Przedstawiciel D.S.M. na Syssoce zgodził się przekazać im wszelkie późniejsze informacje.

— Ci marynarze, z którymi się skontaktowaliście, już wylatują poza układ — poinformował Smitha. — Myślę, że wykonali dobrą, czystą robotę. Szkoda, że w ogóle ich widziano, oczywiście, ale byłoby to dla mnie coś nowego, gdyby Syssokanie pojawili się z jakimiś kłopotliwymi pytaniami.

— No cóż, jest tam spora grupa obcych — zauważył Smith. — W końcu, dlaczego mieliby podejrzewać Terran?

— Och, będą, będą. Podejrzewają każdego; ale niewątpliwie wiedzą tak mało, iż jestem pewien, że będę w stanie wyprowadzić ich w pole. Mogę udowodnić, że byłem tutaj, w oficjalnej rezydencji, przez cały dzień.

— Dobrze! — stwierdził Smith. — Przy okazji, zakładam, że nikt nie ucierpiał?

Mężczyzna na Syssoce uśmiechnął się przelotnie.

— Nikt po naszej stronie — odparł — choć rozumiem, że więźniowie cierpieli z powodu wyczerpania i odwodnienia. Ten Louis Taranto wydaje się być niezłym chłopakiem. Są powody, by sądzić, że zabił dwóch lub

trzech strażników gołymi rękami - a przynajmniej widziałem, jak grupa pogrzebowa, maszerując w drodze powrotnej do miasta, niosła ze sobą ciała.

Smith zaśmiał się.

— Będę musiał zanotować sobie jego nazwisko i się z nim skontaktować. Przydałby mi się taki agent terenowy! No cóż, mój operator powiedział, że właśnie mam kolejne połączenie. Dziękuję za współpracę w tej sprawie.

— To była dla mnie przyjemność — oznajmił człowiek na Syssoce. — Naprawdę nie spodziewałem się, że połączę się z panem bezpośrednio; mój atlas czasu względnego musi być trochę zdezaktualizowany.

— Nie, po prostu my nigdy nie śpimy, wie pan? — zażartował Smith i się rozłączył.

Rozejrzał się, zobaczył, że właśnie wszedł Parrish i dodał:

— Przynajmniej wygląda na to, że nigdy nie śpimy. Osobiście, zaczynam mieć już tego trochę dość.

— Tak samo jak my wszyscy tutaj, oprócz Joego — parsknął Parrish. — Łącznościowcy i tak nie są normalnymi ludźmi.

— Musicie nauczyć się nie przejmować tym wszystkim — stwierdził przemądrzale Rosenkrantz. — Gdybym ja tak chłonął te wszystkie szalone telefony jak wy, miałbym koszmary każdej nocy. Tak czy inaczej, jestem tak samo normalny jak wszyscy inni, kiedy stąd wychodzę.

— Eee, po prostu za krótko z nami jesteś — odparł Smith. — Co jeszcze tam masz?

— Przyszła rutynowa notatka, żeby nawiązać kontakt z planetą Greenhaven — poinformował Rosenkrantz. — Załatwiłem to, w wolnej chwili. Tamtejsza Stacja D.S.M. udawała, że nie wie, o czym mówię.

— Co? — krzyknął Smith. — Nie mów mi, że znowu coś spieprzyliśmy!

— Nie sądzę — powiedział Rosenkrantz. — Kiedy rozmawiał pan z Syssoką, połączył się statek kosmiczny o nazwie *Vulpecula* i przekazał, że istnieją powody, by sądzić, że D.S.M. na Greenhaven jest monitorowany przez miejscowych.

— Podsłuch albo złamany system szyfrujący — stwierdził Parrish. — O czym ten statek chce rozmawiać?

— O sprawie Ringstad.

— Joe, do cholery, kto to wymyślił, że jesteś normalny? — zaczął dopytywać się Smith. — Założę się, że mamy kolejne trafienie! Dwoje w jedną noc - w końcu wychodzimy na przyzwoitą średnią. Dawaj ich na ekran, zanim się rozpuknę!

Westervelt słuchał transmisji ze statku kosmicznego. Bez pomocy przekaźnika planetarnego na drugim końcu, transmisja była dosyć słaba i ulotna, ale najważniejsze informacje dotarły. Zostawił Smitha i Parrisha poklepujących się po plecach i wrócił, żeby opowiedzieć o tym dziewczynom. Zgromadziły się wokół niego w głównym biurze, nawet Pauline wyszła na chwilę ze swojego boksu i tylko jednym uchem strzygła w stronę centralki telefonicznej.

— Powinnyście słyszeć, jak Smitty wyłudza od niej artykuły o nas, do magazynów informacyjnych — opowiadał Westervelt. — Ona wydaje się być dosyć znana w swojej branży.

— Jaka wyglądała? — spytała Simonetta.

— Wyglądała blondynkowato, ale ten kolor nie zaznaczał się zbyt mocno. Nie wyglądała źle, tak jakoś swobodnie. Agent, który ją wyciągnął, też musiał się wycofać, bo uważa, że ci z Greenhaven - nazywają ich Zieloniacy - przejrzeli jego przykrywkę.

— O rany! — westchnęła Pauline. — Gliniarze musieli deptać im po piętach!

— Niewykluczone, albo chciał z nią lecieć z innych powodów — roześmiał się Westervelt. — Wyglądali na dosyć mocno zaprzyjaźnionych.

— Czy oni mogą to zrobić? — spytała Beryl. — Chodzi mi o to, że bez rozkazów i tak dalej?

Westervelt uśmiechnął się szeroko.

— Nie wiem — przyznał — ale on to robi. Nie może teraz wrócić. W każdym razie, Smitty szybko się uspokoił i obiecał, że po wylądowaniu statku, będzie na niego czekać weksel na pokrycie wydatków. Technicznie rzecz biorąc, to D.S.M. powinien mu zapłacić, bo okazuje się, że facet jest od nich i pracował z nami tylko tymczasowo.

Simonetta skinęła głową z rozmysłem.

— Uważajcie na naszego szefa — przewidziała. — Zaraz wciągnie tego gościa na naszą listę płac. Zawsze szasta kasą na lewo i prawo, kiedy zobaczy dobrego kandydata z głównej firmy. Nawet jeśli pozostanie w uczciwej części interesu, będzie współpracować potem z zapleczem.

Smitty wszedł z Parrishem, promieniejąc. Jego spojrzenie odnalazło Westervelta.

— Willie — polecił — zanotuj sobie, żeby jutro sprawdzić planetę Rotchen II. Muszę tam wysłać trochę kredytów, a nie chciałbym rozgłaszać po całym kosmosie, że nie wiem, gdzie ona jest. Szkoda prestiżu departamentu!

Rozejrzał się przyjaźnie.

— Widzę, że opowiedziałeś o tym dziewczynom — skomentował. — Dla mnie też to było podnoszące na duchu. W końcu nie poszło nam tak źle. Dwa razy wygraliśmy, raz przegraliśmy - cholera! - a w jednym przypadku wciąż mamy remis.

— Ktoś powiedział Bobowi? — spytał cicho Parrish.

Wszyscy wymienili pytające spojrzenia. Smith zaczął tracić nieco ze swojej żywiołowości. Po chwili zwrócił się do Pauline.

— Zadzwoń do jego biura! — polecił zamyślonym tonem.

Westervelt próbował stłumić lekki dreszcz, kiedy Pauline popatrzyła na Smitha szeroko otwartymi oczami i wślizgnęła się do swojej przegrody.

„Nie będzie mógł zadzwonić na dół”, uspokajał się. „Pauline powie, że wszystkie linie są zajęte, albo przerwane, czy coś podobnego. Ale co, jeśli wyjrzy przez okno?”

Smith podszedł do środkowego biurka, gdzie czekał przy telefonie. Wyglądało na to, że Pauline zajmowało to dużo czasu.

— Sprawdź połączenie z Joem — poradził Parrish. — Potem spróbuj w innych pokojach. Dziesięć do jednego, że jest w laboratorium.

— Czy ktoś widział go w ciągu ostatnich pół godziny? — spytał Smith.

Westervelt natychmiast odpowiedział, że on był w towarzystwie szefa w pomieszczeniu łączności. Dziewczyny nie widziały Lydmana, ale przyznały, że mógł przejść korytarzem, a one tego nie zauważyły.

— Taaa, on nie robi zbyt dużego hałasu — zgodził się Parrish.

Smithowi nagle przyszła do głowy pewna myśl. Ruszył w stronę swojego gabinetu, zatrzymał się przed wejściem, aby znacząco kiwnąć głową do Parrisha, i otworzył drzwi. Parrish natychmiast minął biurko Beryl i wsunął głowę do swojego gabinetu. Lydmana nie było w żadnym z tych dwu pomieszczeń.

— Panie Smith! — zawołała Pauline zaniepokojonym tonem. — Przepraszam, ale zdaje się, że nie mogę się z nim skontaktować.

— O Chryste! — westchnął Parrish. — Znowu nie chce z nikim mówić!

Zrobił coś, czego Westervelt nigdy wcześniej nie widział u tego opanowanego człowieka. Zaczął nerwowo obgryzać kostki. Zobaczył, że młody człowiek wpatruje się w niego, i odsunął dłoń od ust.

Smith wpatrzył się zmartwiony w podłogę. W biurze zrobiło się tak cicho, że Westerveltowi zdawało się, iż słyszy puls własnej krwi.

Szef cofnął się od drzwi gabinetu, podejmując nieprzyjemną decyzję.

— Lepiej się rozejdźmy i pochodźmy, aż ktoś zobaczy go osobiście — powiedział. — Jeśli chce, żeby go zostawiono w spokoju, to go zostawmy! Tylko ustalcie, gdzie on jest.

Westervelt zgłosił się na ochotnika, żeby pójść wzdłuż jednego skrzydła, a Parrish zajął się drugim. Kiedy wychodzili, zostali pouczeni, aby się nie spieszyć i zachowywać naturalnie. Smith kazał dziewczynom ponownie otworzyć drzwi do przyległych biur i nasłuchiwać dzwonków telefonów, na wypadek gdyby Lydman szukał jego lub Parrisha. Westervelt skręcił w prawo, minął schody i podszedł do drzwi biblioteki.

„To będzie wyglądać zupełnie naturalnie”, powiedział sobie. „Załatwiliśmy dwie sprawy. Chcę mu o tym powiedzieć, na wypadek gdyby nie wiedział. Czemu, do cholery, w końcu nie naprawią tego kabla? Ale żeby płacić na czas rachunki, to chcą, co nie?

Docierało do niego wiele wiadomości, o tym, jak trudne zadanie stoi przed elektrykami i jak napięta jest sytuacja. Westervelt postanowił nie słuchać ich.

Niedbale otworzył drzwi biblioteki i wszedł do środka. Cała wystudiowana poza okazała się niepotrzebna; Lydmana tam nie było.

Westervelt poszedł dalej, do sali konferencyjnej po tej stronie i również stwierdził, że jest pusta. Zajrzał do Joego Rosenkrantza, który, spoglądając z wejścia, wydawał się być sam. Żeby sprawdzić kompletnie wszystko, wycofał się korytarzem do drzwi z napisem „Szyb” i zajrzał do środka. Musiał pomacać dłonią w poszukiwaniu włącznika światła, a kiedy go znalazł, nagrodą był jedynie widok kilku przewodów biegnących od podłogi do niepełnego sufitu. Z tych, które skręcały, by prowadzić do gniazdek na tym piętrze, opadł na niego kurz.

— No cóż, nikt nie może powiedzieć, że cokolwiek przeoczyłem — mruknął Westervelt.

Wrócił do pomieszczenia łączności. Rosenkrantz podsłuchiwał jakąś rozmowę ze stacji na Księżycu, która go nie interesowała.

— Czy kręcił się tu może Lydman? — spytał Westervelt.

— Nie było go od czasu tej bijatyki na Yoleen — mruknął Rosenkrantz. — Tą stacją księżycową zarządza taka ładna laska. Czy nie moglibyśmy odtajnić dla nich jakichś wiadomości?

— Popracuję nad tym — obiecał Westervelt bez przekonania.

W milczeniu skręcił za róg drucianej siatki, mijając urządzenia elektryczne. Ani śladu Lydmana. Następnym krokiem było laboratorium. Spojrzał na zegarek, a potem oparł się o drucianą przegrodę na dobre dziesięć minut. Niech Parrish wybada tam grunt, postanowił.

W końcu, nie widząc ani Parrisha, ani Lydmana, otworzył drzwi i wszedł do ciemnego laboratorium. Ostrożnie ruszył naprzód, myśląc, że Lydman prawdopodobnie jest w swoim biurze. Wyczuwając w ciemności drogę powolnymi krokami i starannie unikając możliwości przewrócenia któregoś ze stosów kartonów, dotarł do środka dużej sali, kiedy zapaliło się w niej światło.

Westerveltowi zdawało się, że podskoczył na stopę w górę, a krew zapulsowała mu w żyłach.

Rozdziawiwszy szeroko usta, w końcu spotkał wzrok Pete'a Parrisha, który stał w drzwiach korytarza, wciąż trzymając rękę uniesioną do włącznika światła.

Obaj odetchnęli z ulgą. Parrish uśmiechnął się blado, eksponując nieco mniej niż zwykle swoje piękne zęby. Westervelt zadowolił się przejechaniem dłonią po czole. Było wilgotne.

— No i — spytał Parrish — gdzie go znalazłeś?

Westervelt zamknął oczy i jęknął.

— Żartujesz — powiedział. — Proszę, powiedz, że żartujesz! Jest za późno na takie wygłupy, Pete.

Parrish wyglądał na zaniepokojonego. Ruszył do przodu, pozwalając drzwiom zamknąć się za sobą. Westervelt, drżąc z zimna w przeciągu, wyszedł mu naprzeciw.

— Wcale nie żartuję — powiedział Parrish. — Szukałeś wszędzie? Jesteś pewien?

— Zajrzałem nawet do szybu energetycznego — odparł Westervelt. — Byłeś w jego biurze?

— Oczywiście. Sprawdziłem wszystko, nawet toaletę.

Cofnęli się do drzwi na korytarz, rozglądając się po laboratorium, aby upewnić się, że nikt nie schował się na podłodze pod stołem warsztatowym albo za jakąś stertą kartonów.

Parrish otworzył drzwi i stanęli, zaintrygowani pustym korytarzem.

— Nie było go nawet pod prysznicem — powiedział starszy mężczyzna.

Westervelt zamyślił się na chwilę.

— Powiedziałeś „wszędzie”? — nalegał.

— No cóż… wszędzie gdzie mógł mieć powód, aby się udać.

Stali w miejscu, w milczeniu przerzucając się odpowiedzialnością. W końcu Parrish oznajmił:

— Zajrzę jeszcze raz do jego biura i dwóch pozostałych pokoi, na wypadek gdyby tam był, i jakoś przemknął się za moimi plecami.

Westervelt obserwował, jak lekko popędził korytarzem do każdych drzwi. Wyraz twarzy Parrisha, gdy powoli wracał, był czymś godnym zapamiętania.

— Ja wejdę do łazienki — zaproponował Westervelt marudnie.

Parrish położył mu dłoń na ramieniu.

— Nie, to nie wyglądałoby naturalnie. Zadzwonię do Smitty'ego, żeby przysłał jedną z dziewczyn.

— Lepiej powiedz mu, żeby przysłał obie — zasugerował Westervelt.

— Tak — zgodził się Parrish. — To wyglądałoby jeszcze bardziej naturalnie. Pilnuj korytarza, a ja do nich zadzwonię.

Wszedł do gabinetu Lydmana. Westervelt oparł się o drzwi laboratorium, czując się przygnębiony. Po chwili dostrzegł Simonettę i Beryl skręcające z przeciwległego rogu z portfelami w dłoniach. Żadna z nich nie wyglądała na szczególnie zadowoloną, ale ich miny nieco się rozjaśniły na jego widok.

— Jesteś tam, Pete? — mruknął Westervelt.

— Stoję tuż pod drzwiami — wyszeptał Parrish z gabinetu Lydmana.

Dziewczyny zaczęły rozmawiać stłumionym chórem na korytarzu. Beryl zatrzymała się przy wejściu do damskiej toalety. Niepewnie uniosła brwi, patrząc na Simonettę. Brunetka rzuciła Westerveltowi zdziwione wzruszenie ramion, po czym przepchnęła się obok Beryl i weszła do środka. Blondynka podążyła za nią niemal depcząc jej po piętach.

Westervelt czekał. Kiedy pomyślał, że nie wytrzyma już dłużej, Parrish syknął:

— Co one tam tak długo siedzą, Willie?

— Nie wiem — odparł młodzieniec — ale może lepiej…

Drzwi się otworzyły. Simonetta i Beryl wyszły, wpatrując się pytająco w dwóch mężczyzn, którzy zrobili kilka kroków w ich stronę.

— Co to za żarty? — spytała Simonetta. — Nikogo tam nie ma. Kto zresztą miałby tam być?

Parrish zaklął ponuro, ale żadna z nich zdawała się tego nie zauważać.

— To niemożliwe! — wykrzyknął. — Jesteście pewne?

— Oczywiście, że jesteśmy — powiedziała Beryl.

— A co, jeśli włączyli prąd, a my tego nie zauważyliśmy? — zastanawiał się Parrish. — Nie wyszedłby stąd tak po prostu i nikomu z nas nie powiedział, prawda?

— Znasz go lepiej niż ja — skomentowała Beryl. — Zaczynam się zastanawiać, sądząc po tym, co nam powiedziałaś przez telefon, czy nie wyskoczył gdzieś przez okno. Wiem, że poruszanie takiej kwestii, to straszna rzecz…

Westervelt przestał jej słuchać. Przypomniał sobie przeciąg, który poczuł już dwa razy w laboratorium.

ROZDZIAŁ XX

Westervelt obserwował, jak idą korytarzem. Myślał o powrocie do laboratorium i odnalezieniu otwartego okna. W głowie niemalże widział, dwudziestopięciopiętrowy lot prosto w dół, wzdłuż ściany ciemnego wieżowca, na dach niższej części budynku.

Przypomniał sobie, że raz czy dwa zerknął stamtąd. Na dole, przed swoimi biurami, znajdowało się wyłożone płytami chodnikowymi patio. Pędzące ciało mogło...

Wyrzucił te myśli z głowy i pośpieszył, aby dogonić Parrisha i dwie dziewczyny.

Weszli do głównego biura, gdzie na zmianę opowiadali Smithowi całą historię. Przez dobre pięć minut stanowczo nie chciał im uwierzyć. W końcu przekonany, polecił Pauline, żeby co dziesięć minut sprawdzała telefonicznie obecność Rosenkrantza.

— Jeśli się mylimy — powiedział — to niesprawiedliwe, że on siedzi tam zupełnie sam. Bob mógł nas jakoś przechytrzyć, ale skoro potrafił to zrobić w takim stopniu, to znaczy, że Joe też nie jest bezpieczny, tak bez żadnego wsparcia!

Westervelt zauważył, że Simonetta zrobiła się blada. Zastanawiał się nad wyglądem swojej twarzy. Oko prawdopodobnie wyróżniało się na niej w bardzo malowniczy sposób.

— Nie wierzę w to — powiedział, kiedy wszyscy ucichli.

Popatrzyli na niego, mając nadzieję, że ich przekona.

— On nie jest taki — stwierdził Westervelt. — No dobrze, mówicie, że miał problemy w kosmosie i trochę się przez to pogubił; ale to nie brzmi jak kierunek, w którym mógłby pójść.

— Co masz na myśli, Willie? — spytał Smith z napięciem.

— No cóż… może by oszalał. Może by wpadł w desperację i coś wysadził. Wyobrażam sobie, jak podpala te drzwi i próbuje podpalić każdego, kto chciałby go powstrzymać…

Zawiesił głos, oni zaś czekali na jego dalsze słowa.

— …ale nie wyobrażam sobie, żeby tak po prostu się zabił! — mówił dalej Westervelt. — Gdyby był takim człowiekiem, nigdy by nie wrócił na Ziemię, prawda?

Smith pstryknął palcami i rozejrzał się.

— Pewnie, pewnie — powiedział. — Nie wiem, co ja sobie wyobrażałem. Wszyscy słyszeliśmy od czasu do czasu groźby Boba, kiedy jakieś ufole w głębin kosmosu łamały jakieś jego własne prywatne prawa, ale nikt nigdy nie słyszał, żeby wspomniał choćby słowem o samobójstwie. — Uśmiechnął się żałośnie i dodał: — Powinienem był sam na to wpaść – przecież czytałem jego podanie i wyniki egzaminów, kiedy do nas trafił.

— Niektóre dni — stwierdził Parrish — dają nam za bardzo w kość. Nikt z nas nie jest temu winien.

— W takim razie — dodał Westervelt — chciałbym powiedzieć, zauważyłem pewną drobną rzecz.

Opowiedział im o otwartym oknie. Kto by trzymał otwarte okno, skoro klimatyzacja w budynku działa tak perfekcyjnie?

Smith znów zaczął przeczesywać włosy dłońmi.

— No to pomyślmy! — mruknął. — Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie.

„Logiczne wyjaśnienie", pomyślał Westervelt, „to zawsze są powody, o których myślą inni, a nie ja".

Znalazł miejsce, aby usiąść na skraju pustego biurka. Simonetta przysiadła się do niego, a Beryl podeszła do okienka w kabinie centralki, aby posłuchać, jak Pauline sprawdza Rosenkrantza.

Pokręciła przecząco głową, widząc pytające spojrzenie Smitha.

Wtedy przez drzwi głównego biura wszedł Lydman.

— Co to za narada? — spytał.

Beryl krzyknęła. Kiedy wyskakiwała w górę, stała tyłem do korytarza, ale kiedy wylądowała była zwrócona w drugą stronę.

Wszyscy zesztywnieli.

Lydman stał w milczeniu, obserwując ich z ogromnym spokojem.

Po chwili Beryl zatoczyła się do tyłu, by oprzeć się o szybę okienka Pauline. Przycisnęła dłoń do splotu słonecznego, wyglądając, jakby miała za chwilę skulić się w pasie.

— Och — jęknęła. — Och, panie Lydman…

Przyjrzał się jej z klinicznym dystansem.

— Czy ktoś nie ma dla niej jakiegoś środka uspokajającego? — spytał. — Zwykle nie przerażam aż tak bardzo, ładnych dziewczyn.

— Och, nie, nie, nie… po prostu… to znaczy, wszyscy się o pana martwili — wyjąkała Beryl.

— Dlaczego? — spytał Lydman. — Nie sądzicie, że potrafię o siebie zadbać?

Po raz pierwszy Westervelt zauważył dziwny wyraz twarzy byłego marynarza kosmicznego. Do tej pory był za bardzo zajęty obserwowaniem Beryl i próbami uspokojenia własnych nerwów. Nie mógł być do końca pewien, ale wydawało mu się, że na czole Lydmana pojawił się delikatny ślad potu.

— Oczywiście, że potrafisz, Bob — rzucił Smith. — My…

Beryl, odczuwając niemal histeryczną ulgę, zabrała mu piłkę.

— Martwiliśmy się, bo winda nie jeździła — wybełkotała. — A drzwi… nigdy pan nie uwierzy, panie Lydman, ale drzwi na schody ewakuacyjne się nie otwierały!

Westerveltowi zdawało się, że słyszy padające z ust Parrisha przekleństwo, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że to jego własny głos. Zaczął ustawiać się przed Simonettą.

Parrish ruszył powoli w kierunku Lydmana, starając się wyglądać spokojnie. Nie udało mu się to, wręcz przeciwnie, wyglądał na krańcowo spiętego.

— Do diabła! — krzyknął Smith. — Beryl, jesteś zwolniona!

Wydawało się, że nikt tego nie zauważył, a już najmniej Beryl. Lydman wprawił ich wszystkich w osłupienie, mimo że stał spokojnie bez ruchu. Jego twarz nieco się ściągnęła, kiedy usłyszał nowinę, ale nie przypominała twarzy człowieka, który właśnie doznał jakiegoś bardzo silnego wstrząsu.

— Wiem — stwierdził. — Sprawdziłem to kilka razy, kiedy zobaczyłem ciemności na dole.

Smith popatrzył na niego nieufnie.

— Jak się czujesz, Bob? — spytał.

— Wiesz przecież, jak się czuję — odparł Lydman.

Pozwolił, aby jego wzrok błądził od jednego do drugiego. Westervelt poczuł dreszcz, kiedy nadeszła kolej by przystojne oczy popatrzyły na niego, ale zaakceptował pocieszającą świadomość, że spojrzenie to było przez cały czas mniej więcej takie samo.

Beryl nadal wyglądała jakby bała się głośniej odetchnąć, lecz pozostali ostrożnie się rozluźnili. Smith nawet oparł jedno biodro o róg biurka Simonetty, starając się wyglądać swobodnie.

— Wygląda na to, że całkiem nieźle ci idzie — zauważył. — Myśleliśmy, żeby poszukać w laboratorium czegoś, czym można by przeciąć zamek, ale to może być niepotrzebne. Powinni zaraz włączyć prąd.

— Myślę… — zaczął Lydman.

— Och, pewnie moglibyśmy coś tam znaleźć w naszych spisach — kontynuował Smith. — Jeśli wolałbyś, żebyśmy poszukali…?

— Mam już parę rzeczy, które mogłyby nam do tego posłużyć — powiedział Lydman.

Wszedł do wnętrza biura i rozejrzał się za krzesłem. Westervelt zsunął się ze środkowego biurka i przyniósł mu krzesło sekretarki, będącej na urlopie. Lydman usiadł przy przegrodzie, zasłaniającej szafę z aktami naprzeciwko biurka Simonetty.

— Tak prawdę — kontynuował były marynarz — to znalazłem je, kiedy zastanawiałem się jak mocne są te drzwi. Potem uznałem, że to tylko wywoła niepotrzebne zamieszanie.

Westervelt obserwował go z rosnącym zainteresowaniem. Teraz, gdy poznał tego człowieka bliżej, był pewien, że tylko ogromny wysiłek woli pozwolił Lydmanowi zachować względny spokój. Marynarz zdawał się kipieć pod swoją pełną napięcia, lecz opanowaną powierzchownością.

— Co miałeś zamiar zrobić? — spytał ostrożnie Smith.

— Och, wygrzebałem lepszy gadżet, w każdym razie taki, który bardziej mi się przydał — stwierdził Lydman. — To mały karabinek rakietowy przymocowany do pojemnika z cienką drabinką z drutu.

— Drabinka? — powtórzył Smith.

— Tak. Najwyżej jakieś sześć cali szerokości. Otworzyłem okno i wystrzeliłem ją na lądowisko. Wiecie… wiecie, że jacyś rabusie ukradli wszystkie trzy nasze helikoptery?

— Ukradli wszystkie trzy… — głos Smitha stopniowo cichł. Kiedy nikt nie przerwał ciszy, zmusił się do kontynuacji. — Tak, wiedziałem. Byłbym

niezmiernie wdzięczny, Robercie, gdybyś powiedział mi, skąd ty, do cholery, o tym wiesz!

Skończył zdanie niemalże krzycząc. Westervelt pomyślał, że wygląda to co najmniej równie źle, jak w przypadku Lydmana. Każdy, kto stałby sześć metrów dalej, kompletnie źle oceniłby tę scenę.

— Dokładnie tak, jak mówiłem — odparł Lydman z opanowaniem. — Wspiąłem się po drabince na dach.

— Wspiąłeś się? Na zewnątrz budynku?

— Oczywiście, że na zewnątrz — oznajmił Lydman, po raz pierwszy okazując odrobinę zgryźliwości. — Nie mogłem wytrzymać w środku.

Ponownie rozejrzał się po nich, zaskoczony, że wahali się z przyjęciem jego stwierdzenia.

— Musimy jednak przeprojektować tę drabinkę — powiedział. — Jest odrobinę za cienka - przecina człowiekowi dłonie!

Wyciągnął dłonie. Na każdej widniało kilka pręg. Jedna, na prawej dłoni, najwyraźniej zaczęła krwawić, od czasu kiedy Lydman wszedł do biura. Drugą ręką wyjął chusteczkę i otarł ranę.

Smith przyłożył ręce do głowy.

— Jeszcze nie potrafię tego przełknąć! — jęknął. — Czujesz się… nieswojo… tu w środku, więc wychodzisz przez okno i wspinasz się na wysokość dziewięćdziesiątego dziewiątego piętra…

— Właściwie to tylko na wysokość dwudziestu czterech pięter nad dachem — poprawił go Lydman.

— Wystarczy, prawda? Więc wychodzisz, wdrapujesz się na lądowisko helikoptera, a potem schodzisz na dół i z powrotem przez okno! I udajesz, że czujesz się lepiej. Ja bym dostał zawału!

— A kto by nie dostał? — zauważył Westervelt.

Sama myśl o tym, jak to musiało wyglądać, przyprawiała go o zawrót głowy.

— Dopóki ona tam jest — mruknął Lydman. — Dopóki wiem, że ona tam jest. Mogę w każdej chwili skorzystać z tej drogi. Tylko niech nikt czasami nie ściągnie tej małej drabinki.

— Czy…?

Ta ciche słowo wydobyło się z ust Beryl, która była w stanie już utrzymywać się na nogach, nie opierając się o przegrodę.

Wszyscy w pomieszczeniu odwrócili głowy, żeby na nią popatrzeć. Przełknęła ślinę i zmusiła się do powtórnego otwarcia ust.

— Czy gdzieś w tej szafce znalazłoby się może jakieś stare martini? — spytała. — Boję się sama do niej podejść, bo czuję, że kolana mogą ugiąć się pode mną, po pierwszym kroku.

Rozległ się ogólny wybuch śmiechu, który ujawnił ogrom ich ulgi. Parrish pośpiesznie podszedł do niej, by objąć dziewczynę ramieniem, a Smith sam podszedł do szafki i ją otworzył.

Po tym przełamaniu napięcia Beryl udało się już całkiem sprawnie chodzić, być może z nieco bardziej swobodnym kołysaniem bioder niż zwykle, jak pomyślał sobie Westervelt. Smith znalazł dla niej drinka i nalegał, aby Lydman napił się herbaty. Szef sam pociągnął za zawleczkę i potrzymał kubek przez kilka sekund potrzebnych do podgrzania napoju.

Większość z nich, podobnie jak Westervelt, miała już dość kawy oraz kanapek, i zadowoliła się tym, że może usiąść i odzyskać spokój. Westervelt był lekko zaskoczony, widząc, jak Parrish staje za Lydmanem i masuje mięśnie karku rosłego kolegi, żeby go rozluźnić.

— Przekazali ci już nowinę? — zapytał Smith. — Wyciągnęliśmy ich z dwóch planet – z Syssoki i Greenhaven!

— Nie! — odparł Lydman, zmuszając się do uśmiechu. — Opowiedz mi, ale jeśli w połowie tej historii wstanę, żeby wyjść, wolałbym, żebyś mnie nie zatrzymywał.

— Nikt nikogo dziś nie będzie zatrzymywał! — oznajmił Smith i zabrał się za opowiadanie asystentowi o Taranto i Meyersie.

Westervelt cicho wstał i wszedł do przedziału centralki.

— Pożycz mi słuchawki, Pauline — mruknął — i wybierz numer Joego.

— Jasne — powiedziała mała blondynka.

Wyłączyła ekran i pocałowała go za uchem, kiedy Rosenkrantz odebrał.

— To nic osobistego, Willie — zachichotała. — Po prostu czuję taką ulgę!

— Kto tam teraz? — spytał głos Rosenkrantza. — Zostawiłaś wyłączony obiektyw, wiedziałaś o tym?

— Tu Willie, Joe. Lydman wrócił i siedzi przy herbacie.

— Wrócił? Gdzie był?

Westervelt opowiedział mu.

Po czym powtórzył to jeszcze raz i rozłączył się. Joe, pomyślał, będzie musiał z tym żyć przez jakiś czas.

Kiedy wyszedł z boksu, wszyscy właśnie przyglądali się, jak Smith, gestykulując, opowiada o wprawieniu w zakłopotanie statecznych władz Greenhaven. Szef nie wahał się poprosić Parrisha o ocenę wdzięków Marii Ringstad, co wywołało oburzenie wśród dziewcząt. Lydman uśmiechnął się uprzejmie, lecz nie do końca szczerze. Nadal zachowywał ogromną powściągliwość.

Wszyscy patrzyli na Smitha. Nikt nie zwrócił uwagi na rudowłosego mężczyznę, który wszedł do biura akurat w chwili, gdy Westervelt przecisnął się obok Pauline i wyszedł z centralki.

Willie zmrużył oczy, widząc płaszcz przewieszony przez ramię przybysza. Spojrzał na jego falujące włosy i sięgnął do ramienia mężczyzny, żeby go odwrócić twarzą do siebie.

— Charlie Colborn! — wykrzyknął.

Smith zrozumiał jako pierwszy.

— No, dobrze — powiedział, podnosząc się z biurka. — I tak jest już późna noc, a zaraz zrobi się taki tłok, że wszyscy zaczną deptać sobie po uszach, przepychając się przez te drzwi. To ja wychodzę! Gdzie mój kapelusz, Si?

Lydman zrozumiał sytuację niemalże równie szybko i zerwał się na równe nogi, zanim podniósł się ogólny gwar.

— Chciałem tylko zadzwonić do żony — wyjęczał Colborn. — Jest już tak późno, że równie dobrze mogę tu zostać do końca nocy. Co was wszystkich ciągle tu zatrzymuje?

Popatrzyli na niego gniewnie.

— Prąd jest od piętnastu minut — powiedział im. — Byłbym tu wcześniej, ale ten wariat z zarządu budynku uparł się, żeby przetestować wszystkie windy, zanim puścił kogokolwiek na górę.

Lydman ruszył do windy, w koszuli z krótkim rękawem, z kubkiem herbaty w jednej ręce oraz zakrwawioną chusteczką w drugiej. Nie było wątpliwości, że zamierzał pójść do domu w taki właśnie sposób.

— BOB! — ryknął Smith. — Słuchajcie wszyscy!

Lydman zatrzymał się, ale nie odwrócił.

— Po pierwsze, Charlie — oznajmił Smith, — nie zadzwonisz stąd do żony, jeśli nie będziesz dobrze udawał, że jesteś tutaj sam. Jeśli się wysypiesz, przysięgnę jej, że widziałem, jak jakieś dwie rude zabierały helikopterem ciebie i wszystkie drobne z biura, jakie miałeś przy sobie.

— Ale…

— Powiedz jej, że był za duży ruch. Nie mów jej, że nie mogliśmy wydostać się na ulicę. To samo dotyczy wszystkich pozostałych!

— Ale… dlaczego? — wyrwało się Colbornowi.

— Dlaczego? Chcesz, żeby chłopaki z D.S.M. wypominali nam to za każdym razem, kiedy będę próbował wyciągnąć od nich forsę na najpilniejsze potrzeby naszych działań? Potrafimy wydobyć ludzi z lochów na planetach, których nawet nie ma w Galatlasie, ale nie umiemy wydostać się z naszych własnych domowych piernatów?

— To się nigdy nie wydarzyło — szybko zgodził się Parrish.

— Masz cholerną rację! — burknął Smith. — No dobra, Bob, naciśnij przycisk! Idź z nim, Willie! Dziewczyny - jutro ma tu nie być nikogo do południa; mamy dodatkowego operatora łączności dalekiego zasięgu, który zajmie się wszystkimi sprawami.

— Proszę posłuchać, ja… — zaczął Colborn, schodząc Westerveltowi z drogi.

— Och, a przede wszystkim, dzięki za telefon — uśmiechnął się Smith, lekko uderzając go pięścią w ramię. — Zaczekaj na mnie na dole, Willie! Zobaczymy, co da się zrobić jutro z tym Harrisem!

— Niech pan mianuje go ambasadorem — mruknął Westervelt, podchodząc za Lydmana, gdy drzwi windy gładko się otworzyły.

„Co za firma!”, pomyślał. „Mam zamiar zgłosić się do służby w terenie, gdzie człowiek lata sobie między gwiazdami i pozwala komuś innemu wymyślać sposoby na to, jak uchronić go przed kłopotami.

W jakiś niewiarygodny sposób, wszyscy oprócz Colborna zdążyli wsiąść do tej samej windy.

KONIEC